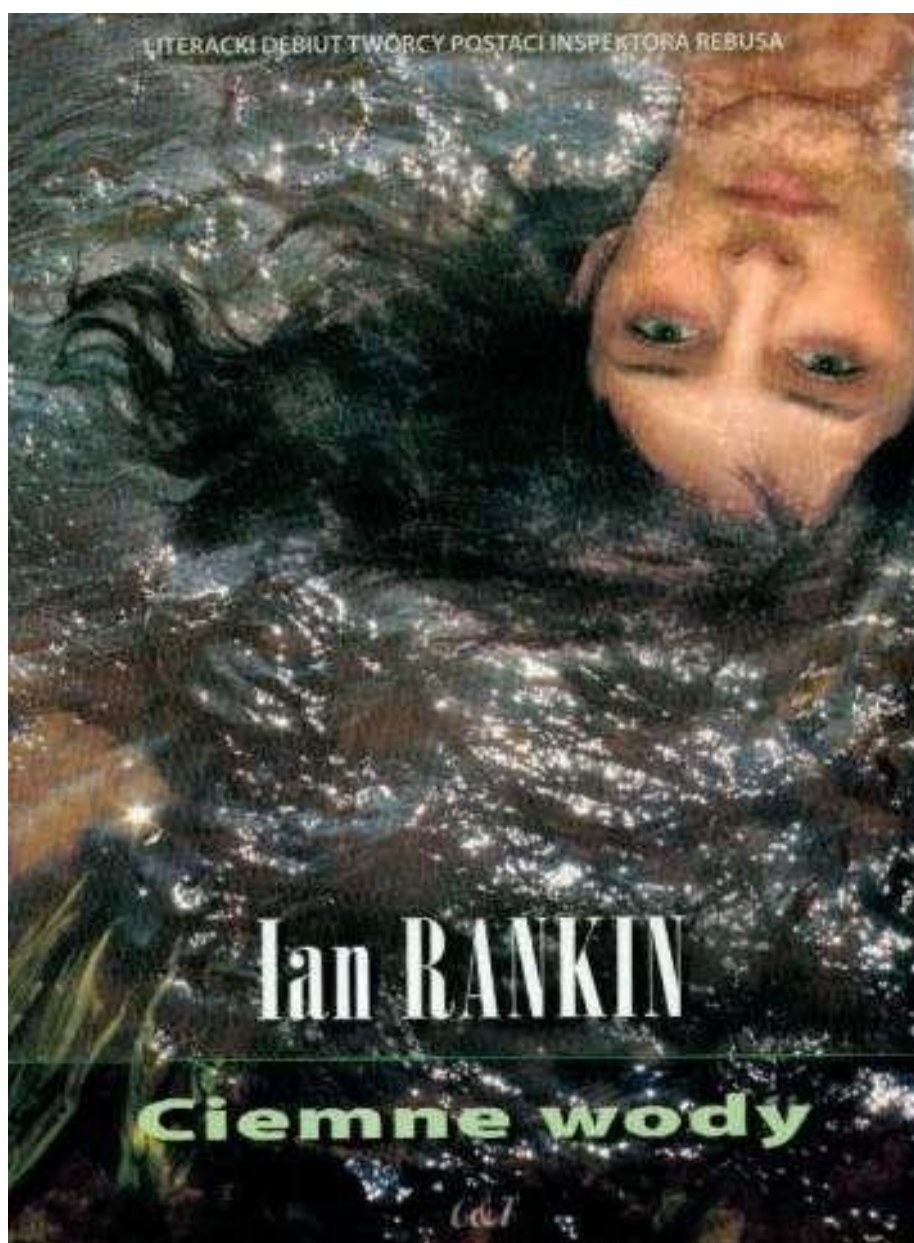




**Ian Rankin**

**Ciemne wody**

Przekład: Wiesław Marcysiak



TLR

*Ojcu i matce*

**Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki.**  
„Pieśni nad pieśniami”, Pieśń szósta

**Wszelkie wymysły to potem prawda.**  
Gustave Flaubert

**1963 - 1969**

## **Czas Rozpadu**

### **1**

Kiedy Mary Miller miała dziesięć lat i jeszcze nie stała się wiedźmą, a Carsden było kwitnącą wioską górniczą, przyglądała się, jak jej brat Tom gra w piłkę z kolegami w parku. Była młoda i chyba dlatego podobała się jej ich czupurność, sposób, w jaki podwijali rękawy, zupełnie jak ich ojcowie, i jak krzykiem dopominali się o każde podanie. Siedziała przy bramce, w której tańczył jej brat, i pocieszała go, kiedy wpuszczał gola.

W tym okresie miała lalkę, którą nazywała Missie Lizzie i przyciskała do wątlej piersi, jakby w ten sposób utrzymywała ją przy życiu. W długie, letnie wieczory słońce świeciło nisko, a łoskot kopalnianej windy usypiał ją. Kiedy lokomotywy rozjeżdżały się po torach w dal, nad parkiem snuł się ich dym. Za tamtych dni wszystko miało swój rytm, jakby za woalem, za który dziewczynka nie mogła zajrzeć, rozbrzmiewała melodia. Drzewa nad gorącym strumieniem strzelały jak palce, a szmer samego strumienia akcentował całą symfonię.

Pewnego wieczoru Mary siedziała pod żelaznym płotem za bramką Toma i przysypiała jak zwykle, z Missie Lizzie na kolanach, kiedy w czasie przerwy w grze chłopcy wyszli na środek boiska, aby podzielić się smakołykami. Powietrze było tak czyste, że ptasie głosy zdawały się docierać do jej uszu hen z daleka, zza Auki Kirk, a nawet zza gospodarstwa Blackwoodów, i właśnie przy tych dźwiękach zasypiała. Była mała i chuda, długie, czarne włosy miała związane w koński ogon, który kusząco spadał jej na plecy, toteż brat, kiedy był w nastroju, często za niego pociągał. Kiedy Tom jej tak robił, każdy włos z osobna krzyczał, jakby płonął, a Mary biegła z płaczem do mamy, która z kolei skarżyła ojcu, a ten łajał łobuza, może nawet dawał mu powąchać pasa. Potem Tom nie odzywał się do niej przez dzień albo

dwa i rzucał jej zabójcze spojrzenia. Jednak nie dzisiaj. W taki wieczór w parku panowała wyłącznie niewinność. Mary nieomal czuła za plecami ciepło gorącego strumienia, który wnosił mętne osady z kopalni do rzeki Ore i dalej do morza. Zimą nad tym gorącym strumieniem unosiła się para i ludzie ogrzewali się przy nim. Niektórzy nawet pluskali palcami albo gołymi stopami w ciemnej cieczy, żeby odzyskać czucie w kończynach. Czasami strumień robił się czerwony, czasami czarny, a bywało, że jakby czystszy, sinoszary, ale tylko wtedy, gdy kopalnia nie pracowała.

Mary spała zaledwie kilka minut, gdy za sprawą jakichś głosów w pobliżu zaczęła wracać do rzeczywistości. Za nią rozlegały się jakieś szmery i ciche pogwizdywanie, potem stłumione śmiechy i znowu szelest. Kiedy otworzyła oczy, wiedziała, że coś jest za nią, że skrada się przez pole, po którym wił się strumień, i zbliża się do płotu, o który ona się opierała, teraz cała sparaliżowana. Chociaż jeszcze widziała niewyraźnie, dojrzała Toma na środku boiska. Śmiał się i wgryzał w połówkę pomarańczy. Zostawi chyba kawałek dla niej. Odgłosy zbliżały się, ale ona za bardzo się bała, żeby krzyczeć. Mama opowiadała jej o goblinach zamieszkujących gorący strumień i zjadających małe dzieci, które nieopatrznie zawędrowały zbyt blisko ich domu, bez opieki dorosłych. Tom śmiał się z tego i powiedział jej, że to tylko bajeczka, aby trzymała się z dala od strumienia i do niego nie wpadła. A może, zastanawiała się teraz, rzeczywiście zbłądziła zbyt blisko domu goblinów. Może jeśli teraz ostrożnie odejdzie, wszystko skończy się dobrze.

Nagle coś zawarczało tuż za nią i jakaś ręka, bardzo ludzka w kształcie, przedostała się niczym wąż przez kute ogrodzenie, żeby porwać Missie Lizzie z kolan Mary. Mary krzyknęła i wstała. Chłopcy, pohukując, pomknęli już przez pole. I przerzucali między sobą lalkę! Mary była przerażona. Wydała z siebie przeraźliwy wrzask i przecisnęła się między prętami, gdzie się nieomal zaklinowała. Tom zaczął krzyczeć na nią, kiedy już brnęła przez jęczmień, co to strasznie kłuł ją w nogi. Uparcie podążała za dwoma chłopakami, którzy najwyraźniej chcieli, żeby za nimi szła. Byli starsi, starsi nawet od Toma, znała ich obu. Śmiali się do Mary i machali do niej lalką. Mary zanosila się płaczem i przez łzy prawie nic nie widziała. Wyciągała ręce do Missie Lizzie i szła za swoimi oprawcami. Jak była już zbyt blisko, chłopcy odskakiwali i uciekali dalej. Wymachiwali lalką, śmiali się i kpili, a przez cały czas dochodził do niej rozzłoszczony głos Toma, który

próbował pokonać płot.

— Oddajcie, oddajcie lalę! — krzyczała i wyciągała ręce. Lalka, z głupim uśmiechem na buzi, w czerwonej sukience, zwisała z ręki podrostka wysoko w powietrzu, na tle ciemniejącego, błękitnego nieba nad szemrzącym, gorącym strumieniem.

Mary wspięła się na palce, ignorując chłopaka, i nieomal dotknęła stopy lalki opuszkami. Chłopak puścił lalkę i wystarczyło lekkie pchnięcie Mary w plecy, aby poleciała na łeb, na szyję do gorącego strumienia i z krzykiem wpadła do wody, połykając dławiającą porcję szlamu, gorąca i ciemności. Piekły ją oczy, jakby ktoś sypnął w nie piachem. Nie powinna tu być. Usiłowała chwycić powietrze i czuła, jak jej ręka przecinająca powierzchnię wody dotyka unoszącej się lalki. Ciecz wirowała, bulgotała i pędziła. Mary nie miała prawa przebywać w tym miejscu. Tu było ciepło i ciemno, tu się umierało. Dotknęła kolanami zwirowatego, zapadającego się dna. Ręce na powietrzu, w świetle, ciało zanurzone. To było nawet dość przyjemne, znaleźć się z dala od wrzeszczących chłopaków i ich okrucieństw. Zaczęła poddawać się gęstej wodzie. Wtedy jej włosy zaczęły krzyczeć, coś je mocno szarpało. W strumieniu mieszkały gobliny, a ona wtargnęła do ich gniazda. Otworzyła oczy, ale nic nie widziała. Włosy ciągle krzyczały i wtedy poczuła, że unosi się ponad ciecz. Jej włosy płonęły i nagle znalazła się w jaskrawym świetle, na powietrzu; wymiotowała, pluła szlamem i ciemnością. Wyciągnięto ją na brzeg i włosy przestały krzyczeć. Głosy wdarły się do jej uszu, gdy wyleciała z nich woda.

— Chryste, Tom, o mały włos.

— No, wyciągnąłem ją za ogon.

— Ale trochę siedziała w tej wodzie.

— Nic ci nie jest, Mary?

— Widziałem ich. To Matty Duncan i syn Jocka McLeoda.

— Nic jej nie będzie, Tom? Zawołać twoją mamę?

Ubranie przylegało do jej ciała tak jak sukienka szmacianej lalki. Bolał ją żołądek, bolały ją oczy i bolała głowa. Dygotała, płakała i bała się.

\*

Mama wysłuchiwała jej opowieści, a potem kazała iść na górę i przebrać się.



Za chwilę przyjdzie jej pomóc. Mary zostawiła mamę z Tomem i weszła wąskimi schodami do pokoju, w którym sypiała z bratem. Miała własny pokój, ale był wykorzystywany raczej jako komórka, a to ze względu na wilgoć na ścianach i przejmujący chłód zimą. Niewyraźne głosy dochodzące z dołu były zbyt ciche, żeby naprawdę uznać je za spokojne. Mary znowu zaczęła płakać, kiedy ściągnęła zniszczoną sukienkę, i usiadła na łóżku. Nie posłuchała mamy. Zbliżyła się do potoku sama, bez dorosłego, i teraz już nigdy jej tego nie przebaczą. Może tata da jej lanie ciężkim, skórzanym pasem. Nie posłuchała rodziców, których kochała, i dlatego właśnie płakała.

Wydawało się jej, że siedzi w pokoju bardzo długo. Słyszała, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają kilka razy. Była tu uwięziona. Zupełnie tak, jakby powiedziano jej w szkole, że ktoś ją pobije i przez cały dzień musiała się bać końca lekcji i powrotu do domu. Wpatrywała się w brudną sukienkę i czekała. W końcu ciężkie kroki na schodach powiedziały jej, że tata wchodzi na górę. Otworzył drzwi i spojrzał na nią. Trzęsa się, naga. Tata nadal był pokryty pyłem węglowym; torba zwisała mu na ramieniu. Oczy mu płonęły, ale podszedł i pogładził córkę po włosach. Zapytał, czy dobrze się czuje, a ona skinęła głową i pociągnęła nosem.

— Tylko się umyję — powiedział — a wtedy doprowadzimy cię do porządku i ubierzemy.

Przez resztę dnia w domu panowała konspiracja. Nikt nie mówił o tym, co się stało. Ojciec umył ją i pomógł założyć nową sukienkę. Potem siedziała przy kominku, a on czytał jej książkę. Dopiero dużo później, kiedy tata zrobił grzanki z dżemem, a ona powiedziała, że nie jest głodna, no i do tej pory nie dostała bury, drzwi do domu otworzyły się delikatnie i wszedł Tom. Usiadł z nimi przy stole i pił herbatę. Potem wróciła mama, zdjęła płaszcz i weszła do salonu.

— Na Boga, powiedziałam im — odezwała się mama. Twarz miała zarumienioną i nienaturalnie wymachiwała rękami, kiedy parzyła świeżą herbatę. — Powiedziałam im.

Rodzina usadowiła się przy stole i zaczęli rozmawiać. Zdaje się, że mama poszła do pana Duncana i pana McLeoda, i rozmówiła się z nimi. Tom uśmiechnął się dwa razy, kiedy mama tak opowiadała, ale ojciec skarcił go za każdym razem.

Tego wieczoru folgowano Mary; nie musiała iść do łóżka o zwykłej po-

rze. Sąsiadki zaglądały do nich, aby jej współczuć i zapytać panią Miller, co z tym zrobiła. Kobiety siedziały z rękami ciasno splecionymi na piersiach i uważnie przysłuchiwały się opowieści sąsiadki. Spoglądały na dziewczynkę i uśmiechały się do niej. Mary, zanim poszła spać, zorientowała się, że nie dostanie bury za swój udział w tym całym wydarzeniu. Poszła spać z lekkim sercem, ale dwa razy w nocy budziła się z powodu koszmaru, w którym znowu tonęła, ale tym razem twarze zgromadzone nad nią były ponure i nieprzyjazne. Jakiś starzec obserwował ją, a nawet przytrzymał pod wodą, a za nim stał chłopiec i krzyczał. Chłopiec przypominał Toma, choć był trochę starszy. Mary nie słyszała, co krzyczy, ale widziała, że bije tamtego mężczyznę w plecy. Wtedy schwyciły ją gobliny. Krzyczała przez wodę i obudziła się w poplątanej pościeli cała złana potem.

Nazajutrz rano pani Miller z przerażeniem patrzyła na córkę.

W nocy włosy Mary zrobiły się siwe.

## 2

Mama Mary otuliła jej głowę swoją chustą i zaprowadziła do lekarza. Padał deszcz i wielki dom, w którym doktor McNeill mieszkał i przyjmował pacjentów, spowijała delikatna mgiełka z kropel. Było jeszcze wczesnie, ale pani Miller przekonała gospodynię, że to nagły przypadek. Gospodyni przyglądała się przez chwilę szlochającemu, przerażonemu dziecku, a potem kazała im poczekać w holu, a sama poszła po doktora, który właśnie jadł śniadanie.

Łzy zostawiały krwawoczerwone strużki na policzkach Mary. Miała zapuchnięte oczy i zaniepokojoną minę. Mama głaskała ją po ramionach, sama bliska płaczu. Wpychała kosmyki jej włosów pod wielką chustę i szepotała słowa pocieszenia, które udawało jej się odnaleźć w swoim słowniku.

Doktor McNeill, siwy, po pięćdziesiątce, w końcu wyłonił się z jadalni. Zapinał kamizelkę i założył na nos okulary z połówkami szkielec.

Mama Mary zaczęła przeproszać za najście. On ruchem ręki wstrzymał jej przeprosiny.



— No — powiedział, poklepując Mary po ramieniu — z czym mamy problem?

Znał je obie bardzo dobrze, gdyż od lat leczył Toma i Mary na typowe dziecięce choroby. Wiedział, że matka stroniła od lekarza, dopóki stare metody, mity i zioła przynosiły skutek. A zatem teraz musiało to być coś dla niej ważnego, skoro znalazła się tu o tak wczesnej porze, chociaż sprawy, trzeba przyznać, tak naprawdę nie wyglądały poważnie.

— Pani Miller, chyba wygodniej nam będzie w gabinecie, prawda?

Poprowadził je przez nieznaną geografię domu, aż dotarli do dużego pokoju pełnego szafek, szklanych słoików, ze stołem, krzesłami i kozetką, gdzie przeprowadzał zabiegi. Tutaj przeważnie wchodziło się z poczekani, do której wejście znajdowało się w tylnej części domu. Mary pomyślała, że pokonując tę drogę, jest jakby badaczem, który trafia na znajomy znak. Z zadowoleniem usiadła na znanym jej krześle przed wielkim biurkiem. Uśmiechnięty pan o wyszorowanych dłoniach siedział naprzeciw niej, a mama przysiadła nerwowo na krześle obok. Mama pociągnęła lekko za chustę, jakby to był bandaż zakrywający ranę, i ściągnęła ją z głowy córki. Lekarz, pokaszując, wyszedł zza biurka, aby przyjrzeć się włosom Mary. Pogładził je delikatnie, podczas gdy pani Miller wyjaśniała okoliczności wczorajszego wypadku. Lekarz skinął głową i westchnął kilkakrotnie, zanim wrócił za biurko.

Kiedy dorośli zajęli się rozmową, Mary wędrowała wzrokiem po gabinecie, przyglądała się dziwnym słoikom na półkach. Niektóre zawierały fioletowy płyn albo galaretowatą substancję. Chciałaby się tym wszystkim rzeczom przyjrzeć z bliska, ale powstrzymał ją dreszcz. Wcale nie lubiła galaretki na deser. Raz w sobotę po południu, kiedy mama poszła na zakupy na Kirkcakiy High Street, tata zabrał ją i Toma na plażę. Piasek nie był biały. Tata wytłumaczył jej, że zmieszany jest z pyłem węglowym. Na skraju wody leżały setki wyrzuconych na brzeg galaretowatych meduz. Tom naciskał je kijem, a wtedy wydobywały się z nich bąble wody. Mary płakała i tata musiał zabrać ją na promenadę na lody, a w oddali Tom z kijem badał odcinek zabrudzonej plaży.

— No nie — mówił lekarz. — O takim czymś to nie słyszałem. Na pewno pani zna kogoś, pani Miller, kto doznał odmiany po przeżytych szoku. Wdowy, osoby po długiej chorobie albo ktoś, kto po prostu się przestraszył... No nie, to po prostu rzecz niesłychana i zupełnie nie jestem przekonany,

czy ten proces jest odwracalny. Mary może mieć takie włosy do końca życia. Oczywiście przywyknie do nich, tak samo jak koleżanki w szkole. Nie trzeba się martwić jakąś przyczyną natury fizycznej. Mogło jednak dojść do urazu psychicznego, utajonego lub innego. Czas pokaże, chociaż czas leczy rany.

To coś we fioletowym płynie wyglądało, jakby utopiło się w słoju. Mary wyobrażała sobie, jak skręca się i napiera na szkło, ale nie może uciec, pod pływa do powierzchni, ale wieczko jest mocno zamknięte. Bez powietrza, tylko haust fioletowej wody i ciemność, gobliny. zasłona ciemności, dławienie w gardle i ostatni ruch. Wieko nie ustępuje.

Mary krzyknęła.

Położyła się wcześniej. Mama wytarła jej czoło i powiedziała, żeby spróbowała zasnąć. Zostawiła jej włączone światło. Nadal zaglądali do nich sąsiedzi, aby zapytać o nią, ale zostawali na dole i chociaż Mary wychylała się z łóżka i przykładła ucho do podłogi, to słyszała tylko stłumioną rozmowę. Czowała się jak trędowata. Cisza panująca w całym domu przypominała żalobę i Mary miała nadzieję, że wkrótce umrze. Przeszła na palcach do sypialni rodziców i zabrała kosmetyczkę z lusterkiem mamy. Z powrotem w łóżku, przyglądała się swoim włosom, widziała, jak postarzały jej bladą twarz, jakby to były włosy kogoś innego, nawet kiedy za nie pociągnęła. To nie były włosy dziewczynki, ale staruszki, staruchy, której nikt nigdy nie poślubi.

Kiedy znowu usłyszała ciężkie buty taty na schodach, schowała lusterko pod poduszką i udawała, że śpi. Tata wszedł do pokoju po cichu, z trudem panując nad oddechem, i jak najdelikatniej dotknął jej srebrnych włosów. Mary podskoczyła i mocno przytuliła się do niego. Łzy wezbrały jej w gardle. Tata płakał razem z nią i usiadł na krawędzi łóżka.

— Dobry Boże — powiedział. — Ciii, cii.

Poklepał ją delikatnie, ukołysał i w końcu uspokoił, aż położyła się znowu. Wtedy ułożył się na boku obok niej i powiedział, że ci dwaj duzi chłopcy dostali lanie od własnych ojców, a mama też im swoje dołożyła. Powiedział jej, że jeden z nich, Matty, za kilka tygodni zacznie pracę w kopalni, a wtedy on da mu wycisk, żeby wiedział, kto tu rządzi. Tata opowiedział jej także bajkę o królewnie o długich, srebrnych włosach i o księciu, który ją uratował, ale opowiadanie szło mu kulawo i Mary wiedziała, że to nie jest prawdziwa historia, że wymyśla coś, co nigdy nie było prawdą. Cza-

mi tata traktował ją, jakby była małym dzieckiem. Miała dziesięć lat, często mu to powtarzała, i już nie wierzyła w zmyślane historyjki. Opowieści powinny być prawdziwe, autentyczne. Opowieści taty były takie, jakby mówiło je małe dziecko, które bardzo chciało w nie uwierzyć, i chyba tylko takie znał. Znowu poklepał ją po głowie jak małego kotka i powiedział, że musi spróbować zasnąć, bo jutro trzeba iść do szkoły.

Nie, pomyślała, kiedy poszedł. Nie pójdzie do szkoły tak od razu. Choć taka była prawda. Lato się skończyło. Będzie jednak chorować. Będzie chorować, aż włosy na powrót zrobią się czarne. Nie mogła chodzić do szkoły, skoro była taka chora. Koleżanki będą ją odwiedzać i nic nie będą mówić o jej włosach, ponieważ taki kolor pasuje tak bardzo chorej osobie. Kiedy mama obudziła ją krzykiem nazajutrz rano, Mary zerwała się z łóżka i przetarła oczy. Ubierała się i pogwizdywała. Tom jeszcze spał, a ona uderzyła go poduszką, przypominając mu, że zaczął się nowy rok szkolny, a on idzie dzisiaj do szkoły średniej. Nie cieszy się? Tom jęknął z głową pod poduszką.

Przy śniadaniu mama siedziała w pięknej chuście na ramionach. Mary usiadła i ugryzła grzanekę ze swojego talerza. Mama uśmiechnęła się pomimo widocznego zmęczenia.

— Jak się dzisiaj czujesz, kotku? — zagadnęła.

Dopiero wtedy, jakby ją ktoś oparzył, przypomniała sobie w jednej sekundzie: gorący strumień, srebrne włosy, choroba... Wypluła szare okruchy chleba i pobiegła na górę chorować.

### 3

Mary szybko nauczyła się zasad gry. Aby pokonać tę wadę, musiała wpięrw do niej przywyknąć, a w towarzystwie zamieniać to w żart. Nigdy nie przyznawać się do bólu. Zrobić z niej swoją zaletę. Dzięki temu koleżanki znowu były takie jak wcześniej i odkryła, że ludzie ją akceptują, chociaż nie kryją współczucia.

Nadal były podejrzenia, naturalnie, chociaż niektórzy wątpili, że szok może doprowadzić do osiwienia. Prawdę mówiąc, to pojawiały się u niej

czarne włosy. Miała teraz w zwyczaju szczotkować je przed nowym lustrem. W szkole pełnej przeciętniaków o wiele łatwiej było jej zachować tożsamość. Stała się jakby gwiazdą. Mama nie zabrała jej więcej do doktora McNeilla i jego fioletowych słoików.

Dwa tygodnie po rozpoczęciu szkoły w kopalni doszło do strasznego wypadku. Matty Duncan pracował jeden dzień. I pierwszego dnia tata Mary uderzył go tak mocno, że Matty prawie stracił przytomność. Pewnie, że się tego spodziewał, ale myślał, że na tym będzie koniec. Przyszedł do pracy na drugi dzień z niepewnym uśmiechem i niezdecydowaną miną. Teraz zarabiał. Jego rodzice byli zadowoleni, że będą dodatkowe pieniądze, a Matty cieszył się, że w końcu nie musi chodzić do szkoły i że znalazł należne mu miejsce obok innych mężczyzn z wioski. Patrzył, jak nad kopalnią obraca się koło dźwigu, trzeszczy i wyciąga żelazną kabinę windy na powierzchnię. Wszedł do środka i razem z innymi mamrotał zwyczajowe uwagi, pamiętając, żeby cały czas okazywać szacunek. Zjeżdżał pod fedrowaną ziemię, poniżej poziomu zerowego, poniżej odkrywki, głębiej, jak się wydawało, od wszystkiego na świecie. Zjazd trwał całe wieki, liny skrzypiały i drżały. Matty myślał o swoich pierwszych zarobionych pieniądzach, a potem jakby mu się otworzyły jakieś okropne drzwi, które pospiesznie zamknął. — pomyślał o tych wszystkich dniach, tygodniach i latach, kiedy będzie zjeżdżał tym szybem. Całe życie grzebania w ziemi, kaszlu, płucia i zapijania się na śmierć w sobotę. Nie, pomyślał, to nie dla mnie. To tylko ochłap, a nie pieniądze. Jak oszczędzi dosyć, pojedzie do Anglii, albo nawet do Ameryki. Nie da się uwięzić na całe życie pod ziemią jak te biedne gnojki dookoła. Ale na początek, zanim zacznie oszczędzać, musi sobie kupić gramofon i motocykl, i zbiera pieniądze na wakacje w Butlins, gdzie pojedzie z Tam Corrie.

Kabina zatrzymała się z szarpnięciem. Ktoś odciągnął bramkę i wyszli w zimną, kapiącą wodą ciemność. Matty, idąc tunelem, głowę miał pełną pomysłów, co zrobić z pieniędzmi. Papierosy. Piwo. Nie ma problemu.

Z przodu rozległ się grzmot. Spojrzał przed siebie i zaświecił latarką po ścianach tunelu. Przeszedł na przód grupy, pokazując swoją śmiałość. Inni coś mamrotali pod nosem.

— Chryste — zawołał któryś z górników. — To może być zawał...

— Przesunęli się trochę do przodu, ale grzmot przybierał na sile. Coraz bardziej.

— Kurwa, wracać do windy!

Biegli i nagle Matty znalazł się w tyle grupy, która zbyt wolno uciekała ku światłu na końcu tunelu. Nie mógł się precyzyjnie przycisnąć obok starszych, gramolących się mężczyzn. Torby na ich plecach odbijały się od ścian w wąskim przejściu. Wszędzie kładły się wielkie cienie, jakby ich górnicze latarki były szperaczami lustrującymi nocne niebo. Wtedy światło zrobiło się jaśniejsze, jak nagły wybuch słońca. Matty odwrócił się w stronę grzmotu i ognista kula uderzyła go w twarz i ciało, zanim wzleciał szybem ku odjeżdżającej i pustej kabinie.

Stali potem dookoła ciała chłopaka. Plecy i włosy mieli popalone, niektórzy mocno, ale chłopak przyjął na siebie główne uderzenie. Cały przód miał czarny, zwęglony, jakby całe piekielne życie spędził na kopaniu węgla. Zapach spalonego ciała był wszechogarniający. Nic nie zostało z włosów, kilka skręconych, kruchych badyli. Twarz stopiła się w surowe ciało. Jeden z mężczyzn zwymiotował po cichu gdzieś w kącie. Zjechała winda, a tłum na górze nawoływał z niepokojem przez dym i niosący echo szyb pełen słońca.

Ten chłopiec uratował mi życie — powiedział później tata Mary. — Byłem tuż za nim, kiedy upadł. Gdyby nie on, ja bym tam leżał. Jednego dnia ja go uderzyłem, a na drugi uratował mi życie. To nie wygląda na sprawiedliwe...

Po śmierci Matty'ego zaczęły się plotki, a Mary, która przeżyła topiel i która osiwiła w jedną noc, była tak naznaczona jak górnicy z poparzonymi plecami i wspomnieniem tego gorącego, spieczonego zapachu.

#### 4

Włosy Mary nie rozjaśniły się ani nie ściemniały. Dorastała tak jak koleżanki i w ciągu pięciu lat wydarzenia z dzieciństwa stały się przeszłością. W jej oczach pojawiły się błyski zdradzające kobiecą wiedzę, a głos przystosował się do tonów tych, którzy stojąc pod ścianą wiejskiej kawiarni, omawiali randki i przeboje muzyczne. Mary miała gęste i długie włosy, a

brwi tak ciemne jak oczy. Miała w sobie zmysłowość, którą podziwiał nie jeden chłopak, a chłopców miała sporo. Nigdy nie wracała myślą do tej nocy, kiedy powiedziała sobie, że żaden chłopak na nią nie spojrzy, taka jest brzydka.

Właściwie nie zauważała, że Carsden powoli traciło siły, gdy ona dorośla. Te zmiany były zdecydowanie potajemne i niedostrzegalne, i nie tylko ona zignorowała ten fakt i jego konsekwencje. Górnicy rozglądali się za innymi, bardziej wydajnymi szybami. Kopalnia w Carsden okazała się trudna. Złóża węgla były rozdrobnione i dlatego praca była mało wydajna. Ekonomia stała się nowym słowem na ustach kobiet robiących zakupy w nowo otwartym supermarkecie. Był rok 1968. Rozmowy o rewolucji i radykalnych zmianach oddaliły się. Świat stawiał pierwsze kroki w nowej erze komunikacji. Carsden spało dłużej i mocniej od innych. Domy nadal były urządzone w nijakim stylu późnych lat pięćdziesiątych, a mężczyźni i kobiety nadal nosili ubrania z tego samego okresu. Rozmawiali i myśleli o tych samych sprawach co zwykle. Nie było miejsca na dyskusje i zmiany w mieścinie, która walczyła o przetrwanie na zupełnie podstawowym poziomie. Wkrótce jednak stało się jasne, że dobre czasy, takie jak kiedyś, skończyły się, nawet dla takich społeczności jak Carsden, które nie przyjmowały tego faktu do wiadomości. W miejscowej kopalni skończyło się złożo. Kaput. Nic nie można było zrobić, aby poprawić sytuację, ani zupełnie nic powiedzieć, więc nikt nic nie mówił. Ludzie jedynie konspiracyjnie mruzczeni coś pod nosem zimnymi, drętwymi głosami, obwiniając wszystko, co im podeszło pod rękę... wszystko poza samymi sobą.

Przyczyną całej tej sytuacji było położenie geograficzne, tak przynajmniej podawała miejscowa gazeta. Płyta skalna w okolicy wioski została ściśnięta, tworząc w ciągu tysiącleci dziwaczne rozwarstwienia, i to do takiego stopnia, że niektóre złoża były wąskie i miewały nieraz zaledwie dziesięć stóp. Krajowa Rada Węgla stwierdziła, że koszt wydobycia tego surowca w Carsden przewyższa jego cenę.

Ludzie klęli więc na przyrodę i gospodarkę, które pozbawiły ich środków do życia. Węgiel był siłą życiową, królem ziemi, a kiedy król umierał, nie zostawało nic, tylko anarchia, walka o pracę i pospieszna emigracja. I rzeczywiście, emigrowali. Wielu spośród młodszych mieszkańców Carsden spakowało się i przeniosło o te dwanaście mil, które miały zapewnić im pracę w przemyśle lekkim albo elektronicznym. Starsi, ci bez szans na za-



trudnienie, zostawali i patrzyli, jak wyprowadza się pierwsza fala dzieci. Musieli sobie uświadamiać, że teraz od ich wnuków dzieli ich jazda autobusem. Miasteczko, pozbawione tych ludzi, schło, pękało i twardniało, a budynkom jakby szkodził każdy przejeżdżający samochód.

Przeprowadzka jednak stwarzała problemy emigrantom. Trudno im było znaleźć przyjaciół w pionierskich Nowych Miastach. Urodzili się w Carsden, gdzie ich rodziny tworzyły niby plemię. Tutaj chodzili do szkoły, zawierali przyjaźnie, tutaj się pobierali. Nagle znajdowali się na nowych terenach, gdzie tynk był biały, centrum handlowe przykryte dachem i do tego przestronne, a małe fabryczki otwierały się wszędzie dookoła, oferując pracę na liniach produkcyjnych. Ta praca nie zapewniała bezpieczeństwa. Owszem, były to społeczeństwa szyte na miarę, ale brakowało im tego, co konieczne, ciepła łona, które stanowiło podstawę starej wsi. Nagle sąsiedzi przestawali się znać. Co najwyżej chłodno kłaniali się sobie przy mijaniu, a od czasu do czasu klócili, kiedy przyjęcie albo telewizor były za głośne. Ale ulice jednak były względnie czyste, a udogodnienia dobre, choć bezosobowe: raczej stworzone dla społeczności, a nie przez nią.

Cała ta obywatelska troska zastępowała coś niejasnego, niedotykalnego, coś, czego migrującym rodzinom brakowało, ale nie potrafiły wyrazić tego słowami.

Wkrótce niektórzy z pierwszych kolonistów wrócili do wioski, aby spróbować pojąć to, co niepojęte i znowu pchać dziecięcy wózek do domu rodziców w weekendy. Wszyscy opowiadali podobne rzeczy o życiu poza Carsden: to nieprzyjazny świat. Później, dla większości z nich najdalszą podróżą okazywała się ta do Blackpool w lipcu.

Pomimo to zapanowało dążenie, aby się stąd wydostać, a jeżeli ludzie nie mogli wyjechać na zawsze, to wyjeżdżali na weekendy i odwiedzali rozwijające się miasteczka, których wcześniej nienawidzili, i wydawali pieniądze na tygodniowy zapas jedzenia w przestronnych i nienaganych supermarketach. Kupowali buble w wielkich sklepach i pili w pubach obiecujących coś lepszego, bardziej światowego od tego, co mają w domu.

Autobusy do Kirkcaldy i Glenrothes odchodziły co godzinę, a Mary z fascynacją przyglądała się zapadłym twarzom jadącym w czerwonych pojazdach w stronę wybrzeża albo w głąb lądu. Oczy podróżnych były różowe i puste, cera ziemista. Starsi mieli na sobie tanie ubrania i bez opamiętania

mówili o telewizji i sąsiadach. Młodsze rodziny rzucały się na siebie jak lwy pod uschniętym drzewem. Nastolatki ubierały się tak, jak nakazywały im czasopisma, ale ich włosy były gładkie, ulizane. Wszyscy mówili głośno, gdy ich oczy śmiały się do otaczającego patosu, w który tak bardzo chciały wrosnąć. Tak będą wyglądać w każdą niedzielę, będą siedzieć z całą resztą na wąskich siedzeniach, podrygując przy każdej zmianie biegu przez kierowcę.

Takie Carsden odziedziczyła Mary, kiedy miała piętnaście lat i wchodziła w dorosłość. Ojciec przez większość czasu siedział w swoim fotelu. Całkiem niedawno zwolniono go z pracy, przez co zgorzkniał, przeklinając swoją niemoc okazania najskrytszych uczuć. Mama Mary nadal robiła na szydełku chusty i ubrania, które jeszcze dobrze się sprzedawały. Były dobrze wykonane. Lecz nawet ona cierpiała, powoli traciła wzrok i popełniała błędy, których nie zrobiłaby przed pięciu laty. Mary widziała to wszystko, ale niewiele się nad tym zastanawiała. Była nastolatką i musiała wyjść z domu zaraz po wieczornym posiłku, żeby iść do parku na papierosa i pogadać z chłopakami i koleżankami. Jeżeli musiała przechodzić obok mrocznej strużki wody, która kiedyś była gorącym strumieniem, robiła to bez zastanowienia, śmiechem pokrywając wszelkie wspomnienia tamtego dnia. Rozmawiała w spożywczym z nową rodziną z Azji, pomimo oporów ojca, i kupowała słodycze w cukierence u pana Pattersona, chociaż w supermarkecie był lepszy wybór. Teraz świadomie dokonywała wyborów, ponieważ była już prawie dorosła.

Nadal była blisko z bratem, Tomem, który pracował w firmie produkcyjnej w Glenrothes, ale nadal mieszkał w domu, gdyż miał tylko siedemnaście lat. A ona skończy szkołę za jakieś dziewięć miesięcy. Ta perspektywa podniecała ją, chociaż Tom tylko potrząsał głową, gdy ona się entuzjasmowała. Teraz nie wyglądał tak radośnie jak wtedy, kiedy chodził do szkoły. Stopniowy proces wyobcowania kilka razy pchnął go do kłótni z ojcem. Mary przeważnie nie rozumiała przyczyny lub przedmiotu tych kłótni, ale i tak brała stronę Toma przeciw sapiącemu, temu drugiemu o czerwonej twarzy, a później czuła się winna. Ojciec całymi tygodniami pozostawał w ponurym nastroju, a ona robiła mu herbatę i uśmiechem próbowała wprowadzić w pogodny nastrój. Myślała, że może kiedyś zostanie pielęgniarką.

Miała też chłopca. Kolegę Toma, chociaż rok młodszego od niego. Nie była pewna, czy jej się podoba, ale był od niej starszy, więc nie re-

zygnowała z niego. Rozmawiał z Tomem o wyjeździe, a Tom słuchał uważnie. Aż raz przy kolacji powiedział, że emigruje do Kanady, na co Mary pobiegła na górę i zamknęła się w łazience. Tom przesiedział cały wieczór przy stole w kuchni i rozmawiał z rodzicami. Ojciec wyciągnął butelkę whisky i dwa kieliszki, z tych dobrych, żeby mogli omówić sprawy w należyty sposób. Mama pobladła i milczała. Przez większość czasu przyglądała się swoim dłoniom. Tom też spojrzął na jej ręce, ręce zdolne wykonywać skomplikowane robótki, i czuł, że podda się ich milczącemu naporowi. Lecz ta decyzja nie przyszła mu z łatwością. Rozmawiał o tym z różnymi ludźmi i skontaktował się ze starym przyjacielem rodziny, Jimmym Gallacherem, który pracował w Kanadzie i zająłby się Tomem, dopatrzyłby, aby dostał pracę w jednym z wydziałów jego fabryki. Jak mawiano, Szkot zawsze odnajdzie się w Kanadzie. Tom pragnął jedynie szansy, aby móc zacząć. Potrzebna mu jednak była zgoda rodziców, bo inaczej wyjazd będzie o wiele trudniejszy. Ojciec zgadzał się z większością jego postulatów, a Mary wstrząsał szloch, kiedy siedziała zamknięta w łazience.

Tej nocy, kiedy Tom w końcu się położył, wpieryw upewniwszy się, że Mary jest do niego odwrócona plecami, zanim przebrał się w piżamę, cały dom sprawiał wrażenie, jakby doświadczył śmierci. Powietrze pełne było dławiącego napięcia. Na stole w salonie równie dobrze mogła stać trumna.

Gdy tylko Mary usłyszała nieomyślne skrzypnięcie łóżka Toma i szelest kołdry naciąganej pod brodę, odwróciła się i usiadła.

— Tom, naprawdę wyjeżdżasz?

Tom założył ręce za głowę, podpierając się na poduszkach. Wyglądał na osobę, która nie chce już nic przemyśleć, na osobę, która nie pozwoli sobie na sen jeszcze przez dłuższy czas.

— Na to wygląda. Będiesz za mną tęsknić?

— Och, Tom. — Nie wiedziała, co innego mogła powiedzieć, co by miało jakiś sens. To było dziwne uczucie, wiązało język na supeł.

— To dobrze — powiedział Tom. — Jak ktoś będzie za mną tęsknił, to powroty do domu będą miłsze, co? — Zachichotał. A Mary podbiegła do łóżka brata i uklękła na zimnym linoleum. Płakała cicho, łzy płynęły z jakiegoś ostatniego, ukrytego miejsca. Zanurzył dłonie w jej włosy, gładził ją i pocieszał. Zabrakło mu słów, ale było to miłe. Zawsze był jej starszym bratem, ale nigdy nie uświadamiał sobie, co ta więź za sobą pociąga.

Siedzieli razem w milczeniu jakiś czas. Mary w końcu przestała szlochać, a po chwili Tomowi przyszło do głowy coś, co może powiedzieć swojej siostrzyczce.

— Wszyscy musimy podjąć taką decyzję, prędzej czy później, Mary. Sama będziesz musiała ją podjąć, jak zdecydujesz się wyprowadzić z domu i wyjść za mąż, albo zrobić cokolwiek innego.

— Nigdy stąd nie odejdę — powiedziała, szukając w jego oczach jakiegoś słabego punktu. Ale Tom potrząsnął głową.

— Daj spokój — powiedział. — Masz piętnaście lat. Nie jesteś już dzieckiem. Już niedługo będziesz chciała się wyprowadzić, kiedy zobaczysz coś więcej niż szkołę. Nagle przestajesz być kimś wyjątkowym. Wszyscy twoi przyjaciele odchodzą, żeby stać się dojrzałymi dorosłymi z nudną pracą. Brakuje nam sprytu, żeby dostać naprawdę dobrą pracę, taką, dzięki której wyprowadzisz się stąd. Więc co nam zostało? Kopalnie zamknięte. Ta wiocha to dziura. Nie zamierzam tu gnić. Nie ja. Może nie dojdę do niczego w Kanadzie, ale tutaj to już na pewno nie, więc co za różnica?

— Ale masz nas! — wyszeptała Mary, pełna gniewu i sfrustrowanej miłości.

Tom milczał przez chwilę, w końcu musiał odwrócić wzrok od rozognionej siostry.

— Tak — powiedział — ale co będzie, jak to nie wystarczy? Jak to nie wystarczy, a ja będę za stary i wykończony, żeby coś z tym zrobić? Nie będziesz tu zawsze...

— Będę, Tom, będę.

— ...a mamie i tacie zostało najwyżej dziesięć albo dwadzieścia lat, nie? Wszyscy umierają, Mary. To jedyny pewnik w życiu.

— Jesteś nienormalny! — krzyknęła.

Tom wzruszył ramionami.

— Może i jestem — odpowiedział i zamknął oczy.

Mary pobiegła do okna i stała tam, załzawionymi oczyma wpatrując się w ciemność. Noc była spokojna. Z tego okna zawsze było widać obracające i ię koło windy nad kopalnią, ale już je rozebrano. Znaleziono dla niego dobre miejsce, w muzeum górnictwa w Lothian.

W dole jakiś staruszek szedł, pociągając nogami. Zatrzymał się i oparł o latarnię, najwyraźniej próbował złapać oddech, aż w końcu zmusił się, żeby iść dalej. Jego buty szurały o chodnik. Za nią Tom coś mówił. Zbliżał się do

okna. Nie chciała, żeby wyjrzał na ulicę. Odwróciła się i podeszła go objąć. Stali tak w uścisku, milczący, jak dzieci, aż Tomowi zrobiło się zimno w stopy na linoleum i kazał Mary wracać do łóżka.

## 5

Dziwna była ta jesień. Tata Mary pił, i to dużo, i chociaż mama starała się ukryć ten fakt przed wszystkimi, udało jej się ukryć to jedynie przed samą sobą. Hugh Miller przesiadywał w fotelu aż do bladego świtu, a wtedy mówił, że idzie na spacer, i wracał dopiero późnym wieczorem, kompletnie pijany, i krzyczał na całą ulicę o zdradzie Krajowej Rady Węgla, ich krętowniach i okrucieństwie. Mary, przerażona, w koszuli nocnej, obserwowała go z okna sypialni. Patrzyła na mamę z włosami rozpuszczonymi do pasa, szykującą się do snu, jak musiała wyjść z domu i doprowadzić wrzeszczącego pijaka spod latarni, rzucającej trywialny krąg światła na całą scenę, którą widzieli jak na niewyraźnym ekranie. Mary patrzyła, jak idą zygzakiem do domu, słyszała, jak ojciec wymiotuje do muszli albo umywalki. Tom oddychał ciężko, udając, że śpi, z poduszką na głowie. Mary była przekonana, że traktuje to jedynie jako spisek, aby powstrzymać go przed wyjazdem, i przez to stawał się jeszcze bardziej zdeterminowany.

— Po co to? — krzyczał ojciec. — Po co to wszystko, co? Gdzie w tym sens? Zamknęli kopalnie, zamknęli to, zamknęli tamto. Co człowiek ma zrobić? Nikomu już nie jest potrzebny. To cały ja...

Mama Mary szeptała do niego, cierpliwie i przekonująco, kiedy w końcu udało się jej położyć go do łóżka, z miednicą obok. A potem szła zajrzeć do Mary i Toma, którzy leżeli w półmroku, w pełnej napięcia ciszy. Brak równych oddechów potwierdzał jej najgorsze obawy.

Nad ranem wszystko powtarzało się od nowa. Mary posepniała. Powodem było wiele rzeczy, nie tylko nowy nałóg ojca. Niektóre wiązały się z dominującym w mieście nastrojem. Pokolenie nastolatków w miasteczku wychowało się w latach sześćdziesiątych i nasłuchiwało się o dobrobycie, który ma nadejść. A teraz, kiedy zbliżały się lata siedemdziesiąte, pokazywano im coś innego. Ujrzeni wreszcie, że za każdą obietnicą kryła się zła wiado-



mość. Na nic już nie było nadziei. Wszystko umykało coraz dalej. W szkole nie rozmawiali o niczym innym. Owszem, mówili o pracy i karierze, ale za tym wszystkim kryła się świadomość, że upadające miasteczko wciągało ich za sobą, jakby to miejsce i urodzeni tutaj tworzyli niepodzielną jedność.

A kiedy to się działo, Mary stawała się kobietą. Po szkole siadała w swoim milczącym pokoju, czasami nudząc się nad zadaniem domowym, ale częściej wpatrując się w ściany i przypięte do nich plakaty, plakaty zespołów muzycznych, które teraz uosabiały ten nieosiągalny sen. Płakała bez wyraźnego powodu. W nocy zaczęły nawiedzać ją koszmary, których sens zapominała po przebudzeniu. Dzień wyjazdu Toma zbliżał się nieubłaganie: 6 stycznia 1969. Było tak blisko.

W poranek Bożego Narodzenia Mary starannie szczotkowała swoje długie, srebrne włosy. Siedziała po turecku na łóżku z lusterkiem opartym na udach i patrzyła, jak naelektryzowane pasemka włosów unoszą się dookoła, jakby owiewał ją wiatr znad morza. W radiu leciały kolędy Mary nuciła melodie. Nie chciała zejść na dół, ponieważ byli tam jej rodzice, a poprzedniej nocy ojciec krzyczał na mamę i uderzył ją. Mary słyszała wszystko przez podłogę. Nie potrafiła spojrzeć na żadne z nich, a już w ogóle nie wyobrażała sobie, że odezwie się do ojca. Tom całą noc spędził u jakiegoś kolegi. Teraz wrócił już w domu. Był na dole, gdzie nikt nie rozmawiał. Nastawiła głośno radio, żeby nie słyszeć krzyków, gdyby do jakichś tam doszło. To była ostatnia Gwiazdka przed wyjazdem Toma. W szkole zajrzała do atlasu, aby zobaczyć Kanadę. Była wielka, w zasadzie ogromna, a miejscowości fajnie się nazywały. Niektórzy mówili tam po francusku, ale Tom nie umiał. Po co jechał do Kanady, skoro nie umiał mówić po francusku? Teraz było już za późno, żeby mu to wytknąć, więc Mary szczotkowała włosy i nuciła kolędy.

Mama krzyknęła z dołu schodów, głos miała nijaki. Lunch gotowy. Mary czuła się, jakby właśnie zjadła talerz tostów, a jednak musiała iść na dół. Nie miała wymówki.

Zeszła na dół, w ciszę. Pod choinką zostały tylko prezenty dla niej. Ojciec palił w swoim fotelu. Tom leżał na wersalce i czytał książkę. Z kuchni dochodził cichy śpiew mamy. Duży stół był odświętnie przybrany. Mary odsunęła jedno z krzeseł i usiadła. Pod choinką leżało sześć prezentów. Były dwa od mamy i taty, jeden od Toma, i jeszcze trzy od dwóch cioć i wujka. Jej dziadkowie zginęli na wojnie. Całe pokolenie zostało zlikwidowane.



Mama wniosła wazę z parującą zupą.

— No, proszę bardzo — powiedziała, a Mary pomyślała, że jej uśmiech na posiniaczonej twarzy to najsmutniejsze, co musiała w życiu znieść.

W drugi dzień świąt mama Mary pojechała odwiedzić siostrę w Leven. Zabrała ze sobą rzeczy na noc. Mary udawała, że jest chora, i nie dała się namówić na wyjazd. Tom umówił się z kolegami, podobnie jak tata, więc mama wyszła z domu sama. Drzwi zamknęły się za nią. Mary nie spodziewała się więcej jej zobaczyć. Widziała to jako jej ostateczne odejście i nie winiła jej za to. Kiedy mama wróciła nazajutrz po południu, nikt poza Mary się nie zdziwił.

Wtedy jednak była zbyt zdenerwowana, żeby się cieszyć. A dwa miesiące później, gdy rodzina dostała pierwszy list z Kanady od Toma, Mary powiedziała mamie, że chyba jest w ciąży.

— Tylko nie mów tacie — Mary błagała przez łyżę.

Mama długo się nie odzywała.

— Nie zamierzam pytać, kto to był — rzekła w końcu. — Powiedz mi tylko jedno: ożeni się z tobą?

Mary zacisnęła powieki i pokręciła przecząco głową. Mama siedziała i przyglądała się swoim dłoniom. Nie miała łatwego życia. Najpierw jej mąż zaczął pić, potem musiała patrzeć, jak jej jedyny syn wyjeżdża do odległego kraju, a teraz to. Syn i córka. Natychmiast domyśliła się, kiedy do tego doszło. W drugi dzień świąt. Cały dom był zmieniony, kiedy wróciła następnego popołudnia. Mogła się domyślać. Ludzie zawsze mówili, że oni byli z sobą bardzo blisko, nawet jak na brata i siostrę. Nienaturalnie blisko. Powinna wiedzieć. Pogłaskała córkę po srebrnoczarnych włosach i rozważała, czy przekazać wiadomość mężowi. Czy on domyśli się tego samego co ona?

Jak się okazało, ojciec Mary nic nie powiedział, a jedynie jeszcze bardziej osunął się w swój odrętwiały świat, gdzie nic, jak się wydawało, nie mogło go zranić. Mamy Mary to nie dziwiło. Zawsze postrzegała siebie jako silniejszą z tej pary. Ojciec często nazywał ją „wojowniczką” (przynajmniej we wcześniejszych latach małżeństwa). A mama uważała, że jest to bliskie prawdy. Odporność, jak się nauczyła, była tu najbardziej potrzebna. Chodziła regularnie do kościoła i wiedziała, że każde doświadczenie to coś więcej, niżby się mogło wydawać — jakby wyższa próba i osąd. Modliła się do Boga. Klęcząc przy łóżku, modliła się do Boga w tę noc, kiedy

przekazała mężowi tę gorzką wiadomość. Jego też zmusiła, żeby uklęknął.

— Hugh, tu trzeba naszych wszystkich sił — powiedziała, ale jego słowa przeszły w bełkot.

Osunął się głową na łóżko i po kilku chwilach, bezgłośnie szlochając, zasnął. Mama Mary uniosła głowę ku niebiosom i modliła się jeszcze żarliwiej. Musieli być silni, Boże, musieli być silni.

— Panie, ale skąd tu brać siły. Wspomagaj nas w naszych potrzebach. Pomóż Mary przejść przez to wszystko. To młoda dziewczyna. Wybacz jej, jeśli możesz. Pobłogosław memu synowi i mężowi, Panie. To w głębi serca dobrzy ludzie. I, dobry Panie, pozwól, niech to dziecko umrze przy porodzie. Błagam Cię, niech to dziecko umrze. Amen.

## 6

O ile niewyobrażalne wydarzyło się, to najgorsze dla matki Mary miało dopiero nadejść. Przez jakiś czas jej mąż przyjaźnił się z George Pattersonem, czterdziestoletnim kawalerem, który prowadził jedyną w mieście, zakurzoną i przestarzałą cukierenkę. Często wybierali się gdzieś daleko na pijaństwo. Jeździli do Lochgelly albo Kirkcalky na wieczorne rozrywki i kiedy spóźnili się na ostatni autobus, musieli wracać piechotą do domu całe mile, trzeźwiejąc po drodze. Na początku kwietnia, kiedy miasteczko już wiedziało, co było nie do uniknięcia, że Mary jest w ciąży, a matka upierała się, że mimo to musi przystąpić do egzaminów, Hugh Miller wracał do domu ze swoim przyjacielem, George'em Pattersonem.

Była północ. Obaj mężczyźni, spowici lekką mgiełką, niepewnym krokiem szli trawiastym poboczem w stronę Carsden. Spędzili wieczór w Kirkcalky i po zamknięciu pubów poszli na promenadę, aby zaczerpnąć morskiego powietrza. Hugh usiadł na murowanym falochronie i opowiadał George'owi o tych czasach, kiedy z dziećmi spacerował po plaży i kupował im lody, w teraz już nie istniejącej kawiarni. Kiedy skończył swoją historię i już spóźnili się na ostatni autobus, zaczęli wracać pieszo główną szosą. Próbowali złapać jakąś okazję, ale byli za bardzo pijani i nikt nie miał ochoty ich zabrać, i obaj o tym doskonale wiedzieli. O północy znaleźli się w

połowie drogi między obydwoma miastami. Przez mgłę nie widzieli siebie nawzajem, ale utrzymywali wykrzykiwaną rozmowę, której sens gubił się na wietrze i przejmującym chłodzie. Od strony Kirkcakiy nadjechał samochód. Oświetlił reflektorami George'a Pattersona i nieco zwolnił. George odskoczył z drogi i zamachał przejeżdżającemu samochodowi. Pojazd znowu nabierał prędkości, kiedy George usłyszał, jak Hugh coś mówi głośno, a potem rozległo się głucho i ciężkie uderzenie. Samochód zatrzymał się. George Patterson widział przez mgłę tylne, czerwone światła i pobiegł w ich stronę. Na poboczu leżał jego przyjaciel.

— Na miłość boską — mówił najwyraźniej przerażony kierowca, stojąc nad ciałem. — On wyskoczył znikąd. Na miłość boską...

— Hugh, Hugh, człowieku, nic ci nie jest? — Patterson ciężko oddychał, kiedy przyklęknął niepewnie obok przyjaciela.

Ojcu Mary udało się podnieść głowę ledwie na kilka cali nad zamrzniętą ziemię.

— Mimo wszystko ją kochałem, George — wymamrotał, a potem zakaszłał i już nie żył.

Dla mamy Mary był to prawie koniec. Sama dziewczyna była zbyt odrętwiała po tym, co już się wydarzyło, żeby przyjąć nową tragedię, a jej matka wiedziała, że Mary potrzebuje jej sił. Faktycznie, sama ta myśl — że Mary potrzebuje sił swojej matki — powstrzymywała panią Miller przed oddaniem się obłędowi i hysterii. Ale jej pacierze do Pana Boga miały w sobie coraz więcej goryczy, a płaczki, które bardziej interesowały się stanem jej córki, przyjmowała z uśmiechem niczym żelazna sztaba. W trakcie przygotowań do pogrzebu, po nim i wobec nadchodzącego terminu porodu, matka i córka coraz bardziej zbliżały się do siebie. Z Tomem nie można było się skontaktować; najprawdopodobniej wyjechał daleko na północ z zastępem drwali, ale pani Miller miała nadzieję, że syn i tak nie przyjedzie do domu, na pewno, przynajmniej do czasu narodzin dziecka. Zupełnie zarzucała robótki ręczne, ale nadal przygotowywała swoją słynną ziołową miksturę, gdy tylko ktoś o nią poprosił. Chociaż chętnych było coraz mniej. Starczy im pieniędzy na życie, powiedziała córce. Mary przystąpiła do egzaminów, słabo jej poszło, ale komisja, przy wystawianiu ostatecznej oceny, wzięła pod uwagę śmierć jej ojca. Po tym wszystkim została w domu, więc zaoszczędziła sobie szalonych i okrutnych plotek, jakie zaczęły krążyć. Jej ojciec popełnił samobójstwo, mówili jedni, a zrobił to ze wstydu

przed ciężką córką. Tylko chłopak — ktokolwiek to był — jest winny, mówili drudzy, bo ucieka przed odpowiedzialnością. Wtedy ludzie przypomnieli sobie Matty'ego Duncana, przypomnieli sobie małą, wiedźmowatą dziewczynkę, która przeżyła topiel i która wysłała Matty'emu ognistą kulę, aby go zniszczyć. To ojciec Matty'ego był źródłem tych nowych dowodów. Mary przynosiła pecha, zgadzali się niektórzy. Lecz Matt Duncan potrząsnął głową. Pech nie odgrywał tu żadnej roli. Ona miała siłę, władała pogodą, może nawet miała wpływ na swojego ojca i brata. Te coraz bardziej dociekliwe dyskusje ożywiały mroźne poranki spędzane na zakupach w mieście, podczas gdy wszystko wokół Carsden ulegało rozkładowi i zmianie, gdy okna kolejnego sklepu zabijano deskami, drucianą siatką zasłaniano stoisko z gazetami, a salę z bilardem zamknięto na cztery spusty.

Sandy urodził się w połowie sierpnia. Pierwsze, co zrobiła Mary, kiedy wyszła ze szpitala i wróciła do domu, to zabrała chłopczyka na ciągle świeży grób dziadka na miejskim cmentarzu. Trzymała małego na rękach i patrzyła na nagrobek ze lśniącego, szarobłękitnego marmuru. Obok niej stała matka, trzymała jej rękę na ramieniu i nie uroniła ani jednej łzy, gdy słońce świeciło nad głowami, a mały unosił twarzyczkę ku niebu, by wpatrywać się w jasność. W oddali skrzeczały wrony. Dziecko uświadomiło sobie ich obecność i wyczekiwało jakiegoś ruchu. A kiedy nic takiego nie nastąpiło, chłopiec zmarszczył buzię. Potem wracali do domu pieszo w milczeniu. Przeszłość została w pewien sposób wymazana. Mogła nastać przyszłość. ,

1985

SANDY

1

Jednego z tych — powiedział, a mężczyzna pulchną dłonią wyszukał w szklanym słoju jedną sztukę.

— Na koszt firmy, Sandy — oznajmił mężczyzna, podając mu cukierka i sięgając ręką ponad zastawioną ladą, aby zmierzić chłopcu włosy, nie poddające się temu zabiegowi. — Tylko nie mów kumplom, bo zlecą się tu i będą protestować, że ich dyskryminuję. — Mężczyzna puścił oko. — I mamie też nie mów. Wiesz, jaka jest. Z mojej strony to nie jest żadna jałmużna.

Sandy uśmiechnął się nieśmiało. Wstydził się roli ulubieńca pana Pattersona. Wiedział, że za tym gestem kryje się akt łaski. W ten sposób pan Patterson chciał być dobry; wszyscy tak uważali. Stare i młode kobiety rozmawiały na jego temat na ulicy z siatkami pełnymi zakupów, wyciągającymi im ręce niczym wahadła. Nazywały pana Pattersona „kochanym” i „skarbem”. Pan Patterson był kawalerem, właścicielem cukierni, jedyne sklepu z łakociami w Carsden. Poza tym, w małym pokoju na tyłach sklepu strzygł włosy, gdy tylko ktoś go o to poprosił. Czasami obcinał włosy Sandy'emu, a robił to bardzo ostrożnie. Sandy wiedział, że pan Patterson przyjaźnił się z jego dziadkiem i że był razem z nim tej nocy, kiedy dziadka przejechał samochód. Mama nigdy nie rozmawiała z nim o tamtej nocy, więc uznał, że to coś, o czym nikt nie chce pamiętać. Wiedział, że właśnie dlatego pan Patterson daje mu słodycze za darmo, a czasami nawet pieniądze, szczególnie na Gwiazdkę, ale zawsze z upomnieniem: „Nie mów mamie. Wiesz, jaka ona jest”. Tak, Sandy wiedział. Dobroć pana Pattersona przypominała jej tylko o czasach, które zepchnęła w przeszłość, żeby

o nich zapomnieć. Sandy uśmiechnął się, dziękując panu Pattersonowi za cukierka.

— No, to cześć, synu — powiedział pan Patterson, zacierając pulchne dłonie, jakby chciał usunąć z nich lepkość cukierków.

Kiedy Sandy wyszedł ze sklepu, poruszył dzwonek w drzwiach i jakieś panie na ulicy przerwały rozmowę, i skierowały na niego wzrok. Kiedy minął milczącą grupkę, ssąc twardego cukierka, zastanawiał się, czy rozmawiały o jego mamie, i zarumienił się. Nie będą tak szczodre jak pan Patterson w swoich słowach. Sandy był synem miejscowej wiedźmy i chociaż wydawał się dość miłym chłopcem — cichym, dobrym, grzecznym — nigdy nie można było być pewnym. Użały się nad jego losem, jakikolwiek był, ale wzrokiem zdzierały z niego ubranie, dopatrując się brudu pod spodem.

Sandy mógł im powiedzieć, że ma już piętnaście lat i często się ką- j pie. Mógł im powiedzieć, że biorą go za brudasa, bo ma włosy czarne i jak ziemia, przesiane niebieskimi pasemkami. Miał też ciemne oczy i gęste rzęsy, zawinięte jak u dziewczyny.

To nie jego wina, że jest taki ciemny

Mama miała włosy srebrnoczarne, ale głównie srebrne. Spływały jej po plecach, kiedy szczotkowała je przed lustrem. Mama miała takie same czarne rzęsy jak on, a twarz jasną i delikatną. Jednak ludzie w miasteczku uważali ją za wiedźmę, a ona, jak mu wiadomo, nigdy temu nie zaprzeczała. Ale na pewno nie była wiedźmą, wiedział o tym, kiedy machał tornistrem i zamyślony wracał do domu. Nie była wiedźmą.

Zaczęło się, jeszcze zanim poszedł do szkoły. Nie dziwiło go, że nie ma kolegów. W swojej samotności uważał, że wszyscy są tacy sami. Potem zaczęły się drwiny. Cygan czarny, los ma marny; matka czarowała, aż diabła ujrzała. A on, maluch, zdziwiony tym wszystkim, wracał z chlebem do domu, do mamy i babci. Cygan. Czarownica. Kiedy wracał cały ubłocony od upadku, wtedy babcia strzepywała przód fartucha, stawała przed nim, przyglądała się dobrze i wyśmiewała go: —

No, no — mówiła — i kto tu tak się uczernił jak Cygan, co? — Cyganie jeździli samochodami z przyczepami i wyłudźali pieniądze, udając biednych. Zjawiali się pod drzwiami i proponowali naostrzenie noży, a potem uciekali ze sztućcami i sprzedawali je komuś innemu.



Próbowali sprzedawać kwiaty, które zrywali na grobach. Byli brudni, przebiegli i nie można im było ufać.

— Nie jestem Cygan czarny! — odkrzyknął pewnego razu grupie, która go przezywała. Na to zatrzymali się kilka kroków dalej, jakby spodziewali się, że ich zaatakuje. Poczerwieniał na twarzy. Zaprzeczył jeszcze raz, a niektórzy zaśmiali się. Zaczął ich gonić, ale rozsypali się niczym liście od nagłego podmuchu wiatru. Dotknął jednego albo dwóch. Wrzeszczeli, uchylali się i uciekali poza jego zasięg.

— Mam pchły! — zawołał jeden. — Cygan mnie dotknął!

Inni śmiali się, a on dalej ich gonił. Chłopak, który krzyknął, stał teraz, łapiąc oddech, i próbował dmuchać na miejsce, gdzie Sandy go dotknął, jakby to mogło usunąć skazę. Sandy podszedł do niego z chlebem pod pachą i znowu go dotknął. Chłopak wrzasnął. Ktoś powiedział „Gonisz!” i tamten zaczął gonić ich wszystkich. Sandy wkrótce zrównał się z nimi i biegł z najlepszymi, uchylał się i za każdym razem unikał dotknięcia. Aż z końca ulicy zawołała do niego babcia. Wszyscy zatrzymali się i spojrzeli w jej stronę.

— Chodź, Sandy. Kolacja czeka.

Zaczął odchodzić.

— To cześć — powiedziała jedna z dziewczyn.

— Cześć, na razie.

Sandy zaczął truchtać w stronę odchodzącej babci. Spieszył się, żeby powiedzieć mamie, że bawił się z przyjaciółmi.

Czy wkrótce potem zmarła babcia? Nie pamiętał dokładnie. Wtedy raczej po raz pierwszy jej się pogorszyło. Pierwszy raz, przy którym był obecny. Przestraszyło go to na kilka dni. Opisał to nowym kolegom, kiedy bawili się za kinem.

— W ogóle nie mogła mówić ani nic — opowiadał im. — Siedziała tylko w fotelu. Buzię miała otwartą i śliniła się. Ślina jej ciekła po swetrze. — Dzieciaki stroiły wtedy śmieszne miny. Jeden albo drugi zaśmiał się. Dziewczyny były bardziej zaintrygowane od chłopców. — I ręka jej się trzęsła, jakby miała dreszcze, ale się pocila. I długo to u niej trwało. Czasami miała otwarte oczy. Potem je zamykała.

Dziewczęta wstrzymały oddech w przerażeniu.

— To tak jak z moim wujkiem — powiedział jeden z chłopców i napisał kamieniem jego imię na ścianie. — Jednego dnia siedział w domu i czytał,

a potem w jednej chwili leżał na podłodze. Zakaszłał i krew wylała mu się z ust.

Spojrzał na dzieci, aby sprawdzić, jaki efekt zrobiły na nich jego słowa. Jedna z dziewczyn złapała się za gardło i powiedziała „Błę”, a inna zamknęła oczy i ostentacyjnie zatkała dłońmi uszy. Nawet Sandy spocił się trochę, kiedy wyobrażał sobie tę scenę. Żeby krew leciała z ust! To było okropne. Stukał palcami w kamienną ścianę i starał się nie wyglądać jak mięczak. Zauważył, że inni chłopacy robią mniej więcej to samo. Ktoś zaproponował grę w piłkę i uznali to za dobry pomysł, ale chłopak miał piłkę w domu, w Dundell, a Sandy'emu chyba nie wolno było chodzić tak daleko. Patrzył, jak wszyscy odchodzą, nawołując go, żeby szedł z nimi. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Jadę gdzieś z mamą — skłamał. — Chyba do Edynburga. — Natychmiast się zarumienił, zawstydzony tak wielkim kłamstwem.

Powoli wracał do domu, kopiąc przez całą Main Street kamyk, który ani razu nie spadł mu na jezdnię. Zostawił kamień przed bramą i wszedł do środka. To był dobry kamień. Zatrzyma go. Do następnego ranka zapomniał o nim, a kiedy w końcu przypomniał sobie po kilku dniach, kamień znikł. Znalazł inny, lepszy i w ten sposób dał początek swojej kolekcji kamieni. Myślał teraz o włosach mamy, kiedy szedł ulicą przy cukierni. Czarne i srebrne, opadające grubymi pasmami. Czarne jak noc, przesiane pasemkami księżycy. W taki sposób je opisał w jednym wypracowaniu na angielski. Lubił angielski, a szczególnie pisanie wypracowań. Dostawał za nie dobre stopnie. Zdenerwował się więc, kiedy jego mama zaczęła się umawiać z nauczycielem od angielskiego, panem Wallace'em. Teraz ludzie będą myśleć, że wszystkie dobre stopnie, jakie dostanie, to dzięki tej znajomości, a nie dlatego, że potrafi pisać. Widział, jak pan Wallace głaskał mamę po włosach, jakby sprawdzał, czy są prawdziwe.

— Nie wyrywaj ich — mówiła mama, kiedy Sandy wplatał w nie ciekawskie palce. — Wtedy odrastają jeszcze gęstsze.

Kiedy to powiedziała, pomyślał, że może rzeczywiście jest wiedźmą. Było w niej coś magicznego, kiedy w złe dni porozumiewała się z dawno zmarłymi i w małym pokoiku, gdzie przebywały wspomnienia, śpiewała święte pieśni, z chustą zarzuconą na kolana. W niektóre ciepłe niedziele, jeżeli był u siebie w pokoju z uchylonymi drzwiami i odrabiał lekcje, słyszał, jak śpiewa duchom kołysania. Włosy spływały dookoła niej w taki sposób,

aż coś poruszało się niespokojnie w dojrzewającym ciele Sandyego. Gryzł długopis i gapił się w ścianę. Nie miał żadnych egzaminów ważnych na tyle, żeby warto było tak uczyć się w takie dni, a te dni niedługo znów będą przychodzić, co było widać po pąkach na drzewach, chociaż słońce jeszcze świeciło chłodno, jak rozwodniona, rzadka owsianka.

Wspiął się przez mur i obszedł skraj pola. Mama czeka na niego w domu, ale teraz nie była już tak nie niespokojna, gdy się trochę spóźniał. Skończył piętnaście lat i mógł zostać na dworze do dziesiątej wieczorem, jeżeli zechciał; mógł powiedzieć, że był u kolegi i nawet nie musiał kłamać. Miał w szkole przyjaciół — Marka, Clarka, Colina

— ale nie mógł swobodnie odwiedzać ich w domu. Czasami rumienili się, próbując znaleźć jakąś wymówkę, dlaczego nie może wejść do ich domów. Był teraz na tyle duży, żeby nie przejmować się niechęcią do niego. Wiedział, że to za sprawą staromodnego uporu rodziców musi czekać gdzieś na rogu ulicy, zgarbiony, z rękami w kieszeniach. Wiedział, że niektórzy kole-dzy musieli nawet okłamywać rodziców, żeby mogli się z nim spotkać. Pieprzyć to. Pieprzyć. Czy mógł pofarbować sobie włosy i zmienić mamę w kogoś innego? To bez sensu. I tyle. Buty zapadały mu się głębiej w miękką ziemię, kiedy zmierzał ku wyznaczonemu miejscu. Przynajmniej mógł być pewien, że tu będzie przyjęty bez wstydu. Nawet jeżeli miało to być niebezpieczne. Nawet gdyby ktoś go zobaczył i powiedział jego mamie. Czy ktoś naprawdę tak bardzo nim się przejmował albo troszczył o niego? Wątpił.

Na polu golfowym po lewej stronie jacyś mężczyźni krzyknęli ostrzegawczo przed wybiciem piłki z zadowolającym świstem z pierwszego tee. Sandy chciałby dostać kije na urodziny, ale to dopiero we wrześniu, jak lato minie. Gdyby miał pracę, mógłby zaoszczędzić pieniądze i samemu sobie kupić. Musiał poczekać tylko do Gwiazdki. Do Bożego Narodzenia nie mógł rzucić szkoły. Potem kupi sobie wszystko ze swojej listy: kije do golfa, motocykl i całą resztę. Znajdzie pracę w Glenrothes, jak mu się uda, i pewnego dnia wyprowadzi się stąd. Mama chciała, żeby został w szkole aż do matury. A co to za przyszłość? Jedyne przyszłość to znaleźć się przy pierwszym tee z połową zestawu kijów, albo nawet całym, no i resztą dodatków. Potem wybicie i piłka leci ze świstem w niebo jak miniaturowy satelita. To była przyszłość. Wszedł na kolejny mur, wyższy od pierwszego i znalazł się w ogrodzie opustoszałego dworu.

Jej babcia robiła najpiękniejsze chusty, szydełkiem uchwycone zawłóści przyrody. Odłożyła je z powrotem do kufra. Mama też robiła rzeczy z wełny. Pozostał jej sweter, tak świeży jak pranie na lince. Odłożyła go starannie na miejsce na chustach i poklepała. Do krawędzi skrzyni zostało jeszcze sporo wolnego miejsca. Chyba nigdy go nie wypełni, bo nie miała rąk odpowiednich do talach delikatnych robótek. Nie zazna spokoju umysłu, jaki przynoszą takie wzory. Zamknęła ciężkie wieko mosiężnego kufra i usiadła na nim, nucąc cicho. W pokoju czuło się wilgoć, nawet wiosną i latem. Zimą robiła się z niego lodownia, zupełnie do niczego. Elektryczne piecyki usuwały jedynie powierzchniowy chłód, ale głęboko ukryty lód pozostawał, głęboko poza fizycznym zasięgiem. Spojrzała na zegarek. Zaraz wróci ze szkoły jej syn, jednak, bękart. Urodzony ze wstydu... Ale po co właściwie myśleć o tym wszystkim? Wstała ze skrzyni i ruszyła na dół, trzymając się poręczy ręką, długą i niezdarną. Czuła się dzisiaj słaba. Będzie miała okres. Będzie musiała uważać, żeby ostro nie odzywać się do syna. Ostatnio zawsze był nie w sosie. Przypuszczała, że to taki wiek. Przeważnie całe wieczory spędzał poza domem, albo przesiadywał w swoim pokoju z ryczącym adapterem i nawet kiedy raczył zejść około dziesiątej, to mówił, że się uczył. Co miała mu powiedzieć? Wplatała palce w swoje srebrnoczarne włosy. Żeby tylko była tu jej mama. Porozmawiałyby z nim, a on by jej słuchał. Czarowała go długimi, pogmatwanymi opowieściami, aż do dnia, kiedy zmarła. Sandy płakał na pogrzebie babci. Czy na jej też będzie płakał? Och, oczywiście, że tak. Znowu jej odbija.

Sprawiła garnki na kuchence, zamieszała w jednym z nich i odłożyła pokrywkę. Wszystko było gotowe, tylko gdzie on jest? Wyglądało na to, że znowu się spóźni. Westchnęła, ale mimo to nakryła do stołu i nie zapomniała, żeby podać marynowane pomidory, które ostatnio tak bardzo polubił. Znalazła na nie przepis w jednym z czasopism i niedługo przygotuje swoje własne. Siedziała przy stole i tańczyła palcami po obrusie. Zatańcz nam tutaj, chłopcze, dla tatusia... Najlepiej czuła się wieczorem, kiedy Sandy czy-

tał w łóżku, światła były zgaszone, ogień nadal jasno płonął, a ona rozmawiała z mamą, a czasami nawet z tatą. Rozmowa ze zmarłymi przynosiła ukojenie, i był to dowód, że się o nich nie zapomniało. Jak ludzie mogą zapominać o zmarłych? A jednak tak było. Po pewnym czasie, kiedy od pogrzebu mijało kilka tygodni, po prostu przestawali o nich rozmawiać, a wszelkie oznaki żałoby znikwały z ich twarzy, aby życie znowu mogło rozpocząć się w pełni. To było niemądre. Wiedziała, że to niemądre. Trzeba było utrzymywać ogień ich pamięci, a wtedy tak naprawdę nie umierali, wtedy można było z nimi rozmawiać na ich grobach albo we własnym domu. Wtedy właściwie niczego się nie traciło.

Teraz już za bardzo się spóźniał. Za długo. Pewnie stoi na rogu z kolegami i dziewczynami, które się przy nich kręcą. Jeszcze się rumieni, kiedy zagaduje go o możliwość istnienia tej jednej, specjalnej dziewczyny w jego życiu. Ciągle potrząsa głową. Ładny z niego chłopiec. Już niedługo straci niewinność. Piętnaście lat. No tak. Tyle miała lat, kiedy została... Ale jaki to ma sens? Cholera, żaden. A teraz miała prawie trzydzieści dwa lata, nie zrobiła w życiu nic poza wychowaniem Sandy'ego. Nie potrafiła ująć tego słowami, jaki przez to stał się dla niej ważny. Był wszystkim i dziękowała Bogu, że ludzie w miasteczku w końcu zaakceptowali go i pozwolili, aby stał się jednym z nich. Od niej zawsze stronili i z tym nie mogła się pogodzić. Czasami ją to nawet bolało. Te lata były trudne. Mogły chyba być jeszcze trudniejsze, tak, ale byłoby dużo łatwiej, gdyby została zaakceptowana, a nie stała się tematem głupich plotek o tym, że jest wiedźmą i takich tam podobnych rzeczach. Miała ochotę im wszystkim powtykać szpilki. Żeby ją zaakceptowali albo odrzucili całkowicie, ale nie, zamiast tego były spojrzenia i szept, szydercze dowcipy. Posuwali się jeszcze dalej. Kiedy na nich naciskała, tłumaczyli, że to tylko dla zabawy, że bez złośliwości. Tchórze. Ani zimni, ani ciepłi. Gardziła nimi, a jednak to było jej miasto, a to jej sąsiedzi. Ksiądz był bardzo miły, no a Andy to już zupełnie co innego. Czy odwiedzi ją dzisiaj? Nie pamiętała, czy umawiała się z nim, ale i tak może się zjawić. Zaczęło jej burczeć w brzuchu.

Usiadła przy stole i zjadła w milczeniu. Nałożyła sporą porcję na talerz Sandy'ego, przykryła go i schowała w ciepłym piecu. Potem umyła i wytarła naczynia, garnki i sztućce, zrobiła sobie kawy i poszła z nią do pokoju. Przez moment wyglądała przez okno, potem zaciągnęła zasłony i włączyła telewizor. Stała przed telewizorem i popijała kawę. W końcu siadła w fote-



lu, najpierw westchnąwszy. Poddała się i będzie tak siedzieć kilka godzin. Ponura perspektywa. Na ekranie teleturniej sięgał punktu kulminacyjnego. Małżeństwo z zachodniego wybrzeża było przebrane za króliki i odgrywało jakąś pantomimę. Pomyślała, że jak będą oglądać siebie w domu, to się zawstydzą, ale obróćą to w śmiech, ponieważ wygrali serwis do herbaty i duży zegar stojący, a do tego karafkę z sześcioma kryształowymi szklankami. Wtłoczą te nagrody do już i tak zagraconego domu i jeżeli nagrali na wideo swoje wysiłki, to będą je pokazywać wszystkim gościom od teraz aż do Nowego Roku. Karafkę ustawią na półce na meblościance i także tam, w mrocznej hibernacji trwać będzie serwis do herbaty, czekając na wiecznie umykającą „specjalną okazję”. Będą przepychać się obok cierpliwie tykającego zegara w wąskim korytarzu, gdy zbiorą się do spania. Ich życie było nasycone. Mary zastanawiała się, dlaczego właściwie ogląda te programy. Nie ciekawiły jej. Nazajutrz rano w sklepie ludzie będą je omawiać, będą z podziwem wymieniać nagrody w teleturniejach. Ich to wszystko tak bardzo ekscytowało. Prawdziwi ludzie, jak przypuszczała, byli pokazywani jako zwycięzcy, ale to zwycięstwo było puste.

Rozległo się stukanie do drzwi: raz, dwa, trzy, szybko jedno po drugim — Andy Przełączyła program na film dokumentalny i przyjrzała się sobie w lustrze. Było już za późno, aby mogła coś zrobić ze swoim wyglądem. Podbiegła i otworzyła drzwi. Latarnie już się paliły, chociaż niebo nadal było niebieskie, coraz ciemniejsze, bardziej podobne do morza niż nieba. Andy uśmiechał się.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedział, ale ona już go niezgrabnie wpuszczała do środka. — I że tak późno. Mam nadzieję, że nie...

— Nonsens, Andy. Już prawie zwariowałam. Kolejny cichy wieczór przed telewizorem. — Poczowała się bardziej zrelaksowana, gdy zamknęła drzwi, oddzielając ich od zewnętrznego świata spojrzeń i szeptów, szeptów i spojrzeń. Czowała, że on też się odprężył. — Sandy jeszcze nie wrócił, więc przez cały dzień nie było żywej duszy, do której mogłabym się odezwać.

To było małe kłamstewko. Rozmawiała z tymi osobami, co zwykle, które spotykała na zakupach. Rozmawiała też ze swoją mamą, która przewróciłaby się w grobie, gdyby usłyszała, że jej córka kłamie. Mary zachichotała na tę myśl, a Andy nadal się uśmiechał.

— Nadają coś ciekawego? — zapytał, nadal w pewnej odległości od niej.

— Nie — odpowiedziała, zbliżając się do niego i obejmując go w tali.



— Wyłączymy go. — Ich usta zetknęły się.

Spotkali się raz na zebraniu rodziców. Tamtego wieczora spędziła wieczność przed lustrem, aby dobrze się prezentować. Zawsze chciała, aby nauczyciele wiedzieli, że Sandy ma mamę miłszą, niż utrzymywała to miejscowa ludność. Pan Wallace był wtedy nowy w szkole i w miasteczku. Obcy, pomyślała, trochę tak jak ona. Dobrali się wyśmienicie. Ale dopiero kilka tygodni później, gdy wpadli na siebie w Kirkcakiy, zaprosił ją drinka kiedyś wieczorem. Zapytała go, czy to wypada, chociaż już się zgodziła. On wymamrotał jakiś komplement. I to spotkanie zapamiętała bardziej od tego pierwszego, jakby tak formalnego. Zastanawiała się nad stosownością tego całego spotkania, ale Sandy nawet nie mrugnął okiem, kiedy odkrył ich związek. Wieść rozeszła się jak ogień, oczywiście, i miasto uznało to za czary. Skłoniła nauczyciela, aby złamał niepisaną zasadę. Dyrektor szkoły rozmawiał z Andym dwukrotnie, ale jak dotąd młody mężczyzna nie ulegał żadnym naciskom. Nadal spotykał się z matką i nadal uczył jej syna, a miasto nadal syczało jadownicę za ich plecami. Od tamtej pory Carsden stało się nieco chłodniejsze, ale Andy o to nie dbał. Wiedział, że jest zakochany i wiedział, że to uczucie warte jest wszystkiego, nawet jeżeli oznaczało to konieczność rezygnacji z pracy. Czasami zastanawiał się, czy ta kobieta o młodej twarzy i starych włosach, która potrafiła opowiadać tyle gorzkich historii, naprawdę jest wiedźmą. Czasami wydawało się, że nie ma wytłumaczenia. Wtedy znowu zaczynał racjonalnie myśleć i śmiał się ze swojej głupoty. Tak samo jak teraz, kiedy siedział z kubkiem kawy w jednej ręce, a drugą oplatał plecy Mary. W radiu leciały stare piosenki. Świeżo rozpalony ogień strzelał iskrami, nabierając życia.

— Dzisiaj dostałam list od brata — powiedziała Mary. — Bardzo się tobą interesuje. Interesuje go wszystko, co się dzieje.

— On nigdy tu nie wracał? — zapytał Andy, naciskając lekko na sztywny zarys jej kręgosłupa.

— Długo go nie było — powiedziała.

Chwasty rozrastały się obficie na trawnikach wokół dworu. Pełzły wszcz i wdrapywały się po szczelinach i obłazących ścianach. Milczące i bezwzględne znaczyły powietrze zapachem zgnilizny i rozkładu, rzucały na dom smugę bezużyteczności.

Dwór milcząco przyjmował ich napaść, niczym wyczerpany i umierający słoń, niegdyś majestat. Ogromne okna na parterze zabezpieczono okiennicami, które schły i mokły w ciągu zmieniających się pór roku, skrecając się w sobie i pętłąc własne ścięgna, zupełnie jak żywa istota. Piętro, z nieco mniejszymi oknami, też miało drewniane okiennice, które częściowo rozsypały się albo odpadły, fragmentami odsłaniając szyby i czyniąc z nich wieczorny cel dla niespokojnych dzieciaków z nadmiarem energii. Te ostre krawędzie szkła odbijały czerwono wczesny zachód słońca, aż wydawało się, że rdzawe strużki spływają z nich na drewno poniżej.

Ludzie przeważnie odwracali oczy od tego domu, kiedy go mijali, gdyż zakryte drewnem okna, jawne i zarozumiałe przechwalanie się tym, co w sumie było powolną śmiercią, przyprawiało ich o dreszcze. Przednia iluzja własności.

Dwór, zbudowany w końcu dziewiętnastego wieku na zlecenie, jak mówiono, bliskiego przyjaciela hrabiego Wemyss, najbardziej znany był z funkcji szpitala. Nikt z miejscowych nie znał jego pełnych dziejów, ale wiadomym było, że kiedyś był to pierwszy szpital w hrabstwie Fife leczący gruźlicę płuc i wielu pacjentów zgłaszało się tu, by poddać się obiecany, rewolucyjnym metodom leczenia. Sale wkrótce wypełnili pacjenci skierowani przez miejscowego lekarza oraz ci z daleka, którzy ukrywali się w małych, prywatnych pokojach, odwiedzani w ciągu dnia przez dobrze ubrane osoby z naręczami kwiatów

i wykwintnymi bombonierkami. Co ciekawe, wszyscy pacjenci wyglądali tak samo. Te same ziemiste twarze i te same zapadnięte piersi, te same zrezygnowane oczy. Siedzieli cały dzień przed wielkimi oknami, korzystając ze słońca, takiego, jakie tu docierało. Tak było na początku dwudziestego wieku. Później, kiedy gruźlica stała się przeszłością, szpital zamieniono na dom dla weteranów wojny z nerwicą frontową. Rozrastającą się wioskę przenikały krzyki, krzyki ludzi, których wojna nadal nawiedzała w koszmarach sennych. Jeszcze później, miejscowy lekarz wprowadził się do rozległego domostwa, ale kiedy okazało się, że dom jest nawiedzony przez duchy i trudno go ogrzać, wkrótce przeniósł się do mniejszego domu, który

kiedyś należał do jednego z miejscowych dyrektorów kopalni. Już wtedy, w latach sześćdziesiątych, ludzie w jakiś sposób wyczuwali, że miasteczko przygotowywało się do ostatecznego boju, a dwór stał się symbolem nieuchronnego upadku i zaniedbania. Nikt, jak się wydawało, nie chciał upiornego domu, wielkiego, wilgotnego gmachu, rozsypującego się szpitala, zachlapanego niegdyś krwią i żółcią, gdzie echo niesło jęki szaleńców i umiarkujących. Tak więc, po niezliczonych najazdach dziecięcych gangów, budynek zabito gwoździami. Miejscowy prawnik nadal przechowywał dane dotyczące właściciela i wartości posesji, gdyby zjawił się jakiś oferent, ale był to jedynie pokryty kurzem papier, pożółkły na brzegach. Ołowiane pokrycie dachu już dawno znikło, a zastąpił je brezent i polietylen, więc dwór stał się zapuszczonym reliktem, nieprzewidywalną bestią spoglądającą na zadmione miasto ze swej niewiele znaczącej i teraz już anachronicznej wysokości, z odległości ćwierć mili.

Jednak dla kogoś był to dom. Prawie dom dla Sandy'ego, który idąc rozbuchanym trawnikiem, wymierzał kopnięcia pąkom chwastów, wycierał błoto z butów o trawę, piętą lewej stopy wygrzebywał z korzeniami osty o fioletowych główkach. Wziął na cel dmuchawiec, który w pierzastym buch rozpadł się w nicość, rozsypując nasiona w powietrzu w stronę samego domu. Sandy poczuł, że jeden z puszków łaskocze go w nosie. Kichnął i wytarł nos w rękaw swetra, wyciągnąwszy rękę daleko poza mankiet kurtki. — Na zdrowie — powiedział do siebie. Przeszedł na tyły dworu. Stąd miał widok na całą okolicę i pole golfowe za niskim murkiem. Latem, bardzo rzadko, można było zarobić jakieś pieniądze, najmując się jako caddy u tych golfistów, którzy chcieli popisać się przed przyjaciółmi, jak to im się dobrze powodzi. Będzie musiał pamiętać, że cieplejsza pogoda wyciągała te typy z hibernacji. Teraz widział na polu jakieś postacie, które już odchodziły od pierwszego tee, były zatem odwrócone do niego plecami. Sandy dokładnie oplótł dłońmi swoją rynnę, sprawdził, jak wytrzymałe ciężar, i zaczął się wspinać, mocno trąc nogami o ścianę, szukając podparcia, odłamywał kawałki tynku, przez co jeszcze bardziej odsłaniał nagie cegły pod spodem. Otarł się policzkiem o zardzewiałą rurę. Była zimna i chropowata. Kiedy spojrzał do góry, słońce próbowało go oślepić, kierując promienie na kawałki szkła w oknie powyżej. Na szczęście już niedaleko.

Kiedy pierwszy raz wspinał się po rynnie, był przerażony, potrzebował zachęty, pchnięcia od dołu i wyszeptanej rady, aby nie patrzeć w dół. Tak

było, kiedy dom był jeszcze kryjówką dla dzieci. Wędrowali korytarzami, wtargnąwszy w uświęcony, dorosły świat. Urządzili sobie plac zabaw z pokojów i schodów. Teraz Sandy wspinał się szybko i zręcznie, nogi ślizgały się za nim, gdy mięśnie pracowały mechanicznie i na pamięć, niosąc go do parapetu o Ima. To zawsze była najtrudniejsza część. Na górze musiał rozbijać się i przerzucić ciało do okna; kątem oka dostrzegał fragmenty okolicy i czuł, jak przestrzeń pod nim próbuje go ściągnąć. Zahaczał ręką o parapet, naciskając na drewnianą okiennicę, aż odskakiwała z klekotem w mrok i kurz domu. Wtedy lekka woń pleśni zatykała mu gardło, a serce zaczynało szybciej bić. Wyrzucił w bok stopy, chwycił nimi parapet, zwisał na nim, jedną ręką nadal trzymając się rynny, drugą złapał framugę okna. Wtedy musiał puścić się rynny i podciągnąć się do wnętrza. Przez sekundę będzie wisiał nad przepaścią, a nogi będą odmawiały mu posłuszeństwa, gdy zaciskały się na parapecie. Tych kilka ostatnich cali jego powolne ciało pokonywało między innymi za sprawą strachu. Ramiona bolały go z przesielenia, ale był bezpieczny. Patrząc na zewnątrz, widział jedynie pionową przepaść, od której jeszcze nie dawno kręciło mu się w głowie. Założył z powrotem drewnianą okiennicę i nagle ogarnął go głęboki, zwodniczy półmrok.

Znajdował się w dużym pokoju, który kiedyś służył jako oddział szpitalny. Deski skrzypiały, nie przyzwyczajone do nacisku. Ściany były szarozielone, same stanowiły historię. Drzwi były zamknięte. Wstrzymał oddech i nacisnął klamkę, a potem szybko otworzył drzwi, aby mieć to za sobą. Był w pustym korytarzu. Szereg okien rzucał namacalne cienie na jego ścieżkę. Stapał niepewnie, mijając kilka otwartych drzwi, dzięki czemu mógł zerkać do środka i upewnić się, że nic tam nie ma. W końcu znalazł się przed zamkniętymi drzwiami, które trzeba było otworzyć, jeżeli miał iść dalej. Teraz jednak stało się to prawdziwą zabawą. Żadne niespodzianki nie były na dzisiaj zaplanowane i mógł się rozluźnić. Z łatwością otworzył drzwi, jak do dużego pokoju we własnym domu, i wszedł do środka, gdzie znajdowały się dwie ciemne postacie. Odsunęły się od niego, powłócząc nogami.

Sandy uśmiechnął się do nich. Mężczyzna podszedł do niego

i zmierzwił mu włosy.

— Jak się miewasz Sandy, chłopcze? — Głos miał czysty i głęboki. To mógł być irlandzki akcent, jakby szczególnie dobrany na tę okazję, tak samo jak urządziła się pokój na przyjazd gości. Gładki jak suknia z aksamitu,

znikał z nim, gdy jego właściciel wychodził z pokoju.

— Tylko się wysikam. — Drzwi zostały dociągnięte, aż została tylko cienka strużka karmazynowego światła, by utrzymać tę scenerię w rzeczywistości.

Jednak została ona, kuciała przy kominku, sięgając rękami do podłogi, gdy balansowała na palcach stóp. Tak jej było wygodnie, mówiła mu to wcześniej. Była czarnym kotem, gotowa zaatakować. Sandy uśmiechnął się do jej rozmazanej twarzy, odtwarzając ją wewnętrznym okiem, zanim się zbliżył. Przykucnął przed nią.

— Cześć, Rian — powiedział.

Odgarnęła włosy, które zasłaniały jej poważną twarz. Jej oczy cięły przestrzeń między nimi, zupełnie jakby metal ciął wodę. Jak zawsze, wabiła go, odkaszlnął nerwowo i pochylił głowę, wchodząc w medytacyjne milczenie. Pieprz się, pomyślał. Nie odezwę się więcej, najpierw ty. Siedzieli więc i czekali na powrót brata. Sandy już chciał się odezwać, kiedy drzwi za nim otworzyły się.

— Łapy precz, Sandy. To, cholera, moja siostra, a ty jej dokuczasz. — Wchodząc, poprawiał sobie krocze, jakby rzeczywiście oddawał mocz. Sandy uśmiechnął się, a mężczyzna zachichotał. — Znam ja was, młodzieńszki — mówił dalej — i wszystkim wam chodzi o jedno. Nie ustąpicie, dopóki nie dostaniecie tego, co chcecie. Ale nie od mojej siostry.

Znowu zachichotał, a Sandy spojrzał uspokajająco. Mężczyzna spoglądał nerwowo w stronę dziewczyny. Sandy wiedział, że pomimo całej jego zdziorności, tych wszystkich szturchańców w ramiona i żartów, Robbie tak naprawdę bał się dziewczyny. To strach powodował, że posuwał się zbyt daleko w żartach, w przekomarzaniu się, to strach sprawiał, że ona wydawała mu się czymś więcej niż w rzeczywistości. Sandy uważał, że to daje mu pewną przewagę nad jej bratem. Siedział, milczący i szczerzy, czekał. Czekał cały czas. Szukał teraz wzrokiem oczu dziewczyny, ale jeszcze ich nie było.

Robbie zapalił świeczkę między nimi i gdy klęczał tak, tworzyli trójkąt zgarbionych postaci.

— Tak lepiej — powiedział. — Chociaż zdecydowanie jest jaśniej w te wieczory, Sandy.

Chłopiec skinął głową. Robbie, pomimo tego całego zachowania, był tylko pięć lub sześć lat starszy od niego. Zapuszczona broda była rzadka i



rosła powoli, a oczy figlarne i pełne życia, które jeszcze w nich zostało do spełnienia. A jednak bronił swojej siostry i w tym był mężczyzną. Stał się mężczyzną nieomal w dniu, kiedy urodziła się Rian. To prawda, że ich ciocia dostarczała im jedzenie, ale ten mały chłopiec, który przyglądał się twarzy niedawno zmarłej matki, przykrywanej koronkową chustą, który dotykał jej zimnego czoła, jednocześnie słysząc kwilenie nowonarodzonego dziecka, wiedział od razu, że stał się dla siebie ojcem, chociaż nie wolno mu było uciekać, jak zrobił jego ojciec, tak okrutnie. Siostrę i jego łączyła nierozzerwalna więź krwi. On będzie małym żołnierzem, do czego nieustannie namawiała go ciocia Kitty, i będzie bronił siostrzyczki, aż nadejdzie pora, żeby rozstali się jak dorośli. Potem trzymał na rękach ostrożnie, jakby to był porcelanowy talerz, drobną Rian o ciałku jak z gumy. Patrzył, jak ssała butelkę, opierał ją sobie o ramię i pocierał uspokajająco, zachęcając do śmiechu, chociaż rzadko dawała się namówić. Czasami jednak zdobywała się na uśmiech małego żołnierza w odpowiedzi dla brata.

— Stałem się ojcem w wieku sześciu lat — tak zaczął opowiadać Sandy'emu — i to ku własnemu, małemu, przerażeniu! — Pokazał kciukiem na słabo uśmiechającą się dziewczynę. Zawinięta w kocyk jak kociak, przypominał sobie Sandy, ssała jego brzeg, jakby nadal ząbkowała. Nauczył się nie spuszczać oczu z twarzy Robbiego, gdyż nie chciał, aby tamten dostrzegł jego zainteresowanie dziewczyną. Dopiero kiedy ona odezwała się, odwrócił się do niej, wciągając ją dużymi łykami, jakby chciał nią ugasić pragnienie, niczym wodą.

Zakochał się tego pierwszego dnia i wiedział o tym, bo myślał o niej w szkole przez cały następny tydzień, a kiedy potem często przechodził obok dworu, to miał nadzieję, że gdzieś ją dostrzeże. W następny piątek, jak ustalono pierwszego dnia, po niespodziewanym spotkaniu (w starym szpitalu spodziewał się znaleźć jedynie duchy i wspomnienia), wrócił do nich. Robbie popijał piwo z puszki i palił papierosa, zauważył jednak, jak mocno Sandy był zażenowany, przebywając w tym samym pokoju co ona. Pochylił się w stronę chłopca i wymierzył mu piekącego klapsa w udo.

— Och, Sandy, Sandy, zaraziłeś się, co? Kiepsko, chłopie, i to bardzo. Przytrafia się to najsilniejszym, kiedy patrzą na Rian, kiedy widzą jej promienną niewinność, to porozumiewawcze spojrzenie, tę tajemnicę. — Wstał. Skierował spojrzenie na siostrę, która siedziała na swoim kocu. Zachwiał się lekko, szurając nogami, gdy świeczka rzucała na ściany grote-

skowe, roztańczone cienie. —Ja też, ja też. Usidliła mnie, zanim zdążył ktokolwiek inny, jeszcze zanim nauczyła się chodzić, i tylko myśl o mojej... — zmagął się ze słowami, potrzebował ich magii, ale jej nie znał i zmarszczył się — ...misji, albo o czymś w tym rodzaju, tylko ta świadomość i oczywiście to piwo, powstrzymują mnie... utrzymują mnie przy zdrowych zmysłach.

Pochylił się nad siostrą i przyglądał się jej twarzy, zupełnie jakby był malarzem, a jego słowa zawisły w mętym powietrzu. Sandy uznał, że pora się zbierać. Policzki mu płonęły. Głowę miał pełną pytań i emocji. Robbie bezgłośnie osunął się pod ścianą i zwiesił głowę na piersi. Ona wstała. Bez słowa odprowadziła go do okna, pozwoliła mu wyjść na parapet, zanim wychyliła się do niego i pocałowała w policzek. Jej twarz nadal pozostawała maską. Równie dobrze mogła całować księdza. Sandy ześlizgnął się po rynn timer zaniepokojony. Serce mu drżało. I będzie tak drzeć jeszcze długo, a ten pocałunek będzie rosnać w jego płodnym umyśle...

To działo się cały miesiąc temu. Teraz Robbie uważał Sandy'ego za część scenariusza, aczkolwiek za element ruchomy i niegodny zaufania; czyli coś, co Cygan mógłby docenić.

— Jak to jest być Cyganem? — To było pierwsze pytanie, które Sandy zadał Rian.

Wzruszyła ramionami. Robbie odpowiedział za nią.

— Jeżeli Cyganie zostaną wyrzuceni poza własne plemię, to stają się cieniami w ciemnościach, czyli inaczej, są bezużyteczni.

Sandy wiedział, że Robbiego wypełnia samotność. Czuł, że dzięki jego odwiedzinom młody mężczyzna odnajduje coś w rodzaju celu. Teraz byli jakby przyjaciółmi. Rian nie była przyjaciółką Sandy'ego ani nie mogła nią być. Za tą, teraz wątłą, ale coraz silniejszą więzią, kryło się coś więcej. Było to coś, czego kiedyś Robbie nie będzie miał siły powstrzymać. Sandy wiedział, że jego związek z Rian będzie rozwijać się odwrotnie w stosunku do związku z Robbiem, a te sznurki, z którymi zmagają się jego zręczne palce, choć też niezdarny umysł, były zasupłane. Coś się rozwijało i Sandy odrzucał możliwość, że na końcu może czekać ból, rozpacz albo frustracja. Po prostu nie dopuszczał takich myśli. Jednak wiedział. I Robbie też wiedział, że jego wizytom towarzyszy nieuniknione napięcie: psychologiczny pojedynek, na który Rian patrzyła tak biernie, niczym jakaś nadobna księżniczka. W tej rozgrywce nie będzie faworytów. Jeszcze nie.

Tego wieczoru Robbie opowiadał o niektórych wydarzeniach z tego dnia. Rian zebrała w Craigore, pobliskim mieście. Mieli trochę sera i chleba, jeżeli Sandy jest głodny, i jeszcze kapkę mleka.

— Bywało — mówił Robbie — że szło się nad rzekę i z tej wody można było sobie nagotować herbaty, ale nie teraz. Same zanieczyszczenia. Cygan kiedyś potrafił się ustrzec przed tym wszystkim... tym... plastikowym gównem.

Sandy przyjrzał się puszcze piwa, którą Robbie trzymał i wymachiwał. Sandy czuł, że Rian nie pochwała, że brat pije. To może być jego bronią. Jeszcze nie przyjął łyka piwa od Robbiego, chociaż miał ochotę, gdyż trzeba było to zrobić w jego wieku. Opierał się, żeby zrobić wrażenie na Rian, a za każdym razem, kiedy odmawiał, ona spoglądała na niego, jakby ją niezwykle frapował.

— Jak sobie chcesz — odpowiadał Robbie i kończył zawartość puszki szybko i hałaśliwie, cmokając na zakończenie wyzywająco, z zadowoleniem.

Dzisiaj Sandy miał ochotę powiedzieć: „I co, zawsze starcza ci pieniędzy na to picie, co, Robbie?” Zarobiłby punkty, ale wydawało mu się to zbyt okrutne. Sandy nic więc nie powiedział, tylko słuchał i miał nadzieję, że jego księżniczka odezwie się.

Robbie opowiadał o sali bilardowej w Craigore. — Czasami można zarobić kilka szylingów na grze, ale nie zawsze i nigdy nie za dużo. Same skapiradła w tej dziurze. No i kiepsko grają w bilard. Żenada. — Spojrzał na Rian, potem na Sandy'ego i jedną ręką zgniótł puszkę, a drugą podrapał się w nos.

— Swędzi cię nos — odezwał się Sandy. — Mama mówi, że to oznacza, że czekają cię pieniądze. — To powiedziawszy, poczuł się głupio. To takie banalne.

Jednak Robbiemu rozzarzyły się oczy i energicznie potrząsnął głową.

— Twoja mama się myli. Na pieniądze to dłoń swędzi. Swędzący nos nic nie oznacza. Nie, czekaj. Nieprawda. To coś znaczy, tylko nie pamiętam co. — Zmarszczył brwi, zasłonił dłonią oczy, jakby czytał w czyichś myślach. — Ciocia Kitty opowiadała mi o tym wszystkim, jak byłem mały, ale większość zapomniałem. Same bzdury te przesady. No niestety. — Potrząsnął głową i machnął rękami w powietrzu.

— Zapomniałem. Ona by jednak pomogła. Ciocia Kitty z taboru.

— Z taboru? — zdziwił się Sandy.

— Z taboru — potwierdził Robbie. — A jak myślisz, skąd myśmy się wzięli? Chyba nie z powietrza, człowieka. Nie mówiłem ci? Rian też nie? Pochodzimy z obozu druciarzy u stóp Wzgórza Craigie.

— To dlaczego tu się przenieśliście? — Robbie jakby był zaskoczony przy tym pytaniu. Spojrzał na siostrę, potem na Sandy'ego. Sandy skinął głową, chociaż poczuł, że ma tylko połowę obrazu. — No dobrze — powiedział zaraz.

— O tak — kontynuował Robbie — powinniśmy kiedyś odwiedzić moją ciocię.

Znowu spojrzął na Rian, która nagle ożywiła się.

— To też *moja* ciocia! Nie tylko *twoja*! — Wściekłym wzrokiem mierzyła brata, który drapał się w brodę, potem zarumieniła się i spuściła oczy.

Robbie zachichotał.

— O? — powiedział. — Dobrze, może wtedy ją o to zapytamy, po tym, co się wydarzyło. Może powinniśmy iść tam w trójkę, teraz, i zobaczyć, co na to powie ciotka Kitty. Zdaję się, że przypominam sobie jej słowa: „Ona nie jest moją krewną”. Mam rację, Rian?

Dziewczyna już wstała. Poruszała się szybko, a Sandy'emu podobały się kształty jej ciała w ruchu. Zatrzasnęła za sobą drzwi, jak najdokładniej umiała. Robbie zahuczał głośno, uśmiechnął się do Sandy'ego, potem skierował wzrok w podłogę i zamyślił się.

— Chyba powinienem iść — zdecydował Sandy.

— Ale dopiero co przyszedłeś! — poskarżył się Robbie, szczerze zmartwiony.

— Tak, ale mama czeka z kolacją. Paskudnie jestem spóźniony.

— Sandy doznał nagłego olśnienia. — I chcę ją zapytać o swędzący nos. Wtedy będziemy mogli pojechać do waszej cioci. Dobra? — Przez sekundę Sandy myślał, że popełnił błąd, wspominając to, ale Robbie skinął głową.

— Dobra — odpowiedział. — Zrób tak. Przyjdiesz jutro?

— Może. — Sandy już wstał.

— To dobrze.

Na korytarzu nie było widać ani śladu Rian.

— No, to cześć, Sandy — rzucił jeszcze Robbie; Kiedy drtWIł się za nim zamykały, szukał w kieszeniach papierosa.

— Cześć, Robbie.

Długo siedział na parapecie. Rian nie pojawiła się. Robbie gwizdał w oddległym pokoju. Sandy nie chciał, żeby Robbie wyszedł i zastał go siedzącego w oknie. Zupełnie jakby się przyznał, że interesuje go Rian. Policzył do sześćdziesięciu. Golfiści zeszli z pola. Zrobiło się za ciemno na grę, chociaż niebo jeszcze pokrywała czerwona poświata. Sięgnął do rynny i zjechał na dół, zeskakując z ostatnich pięciu stóp.

Spadając, czuł w żołądku dreszcze. Wylądował ze stęknieniem na trawniku. Z plecaka wyleciało mu parę zeszytów. Przykucnął i włożył je z powrotem. Kiedy wstał, ona odezwała się za nim:

— Sandy, nie wierz mu. Nie wierz, cokolwiek mówi. Kryje się w nim coś złego. — Głos miała spokojny i słodki.

Odwrócił się do niej, a ona zrobiła krok w jego stronę. Z zupełną łatwością przyszło mu opleść ją rękami w talii. Dotknęła palcami jego ramion. Dotykała piersiami jego klatki piersiowej. Jest chuda, pomyślał Sandy. Sama skóra i kości.

— Obiecuj mi, że nie obrócisz się przeciwko mnie. Nie pozwolisz, żeby cię przekabacił. Obiecuj, Sandy... — Miała łzy w oczach.

Położyła mu głowę na ramieniu. Sandy poczuł nabrzmiewającą erekcję i nieco odsunął biodra, żeby ona nie poczuła. Wstydził się bardziej, niż kiedyś, podczas tańców w szkole, kiedy jedna dziewczyna zauważyła jego erekcję podczas wolnego kawałka i powiedziała o tym koleżankom, które potem chichotały przez resztę wieczoru. Przy Rian nie chciał popełnić błędu.

— Sandy, nie zrozum mnie źle — mówiła. — Nie chcę, żebyś odniósł złe wrażenie. Robbie to mój brat i za nic nie chciałabym go zranić, ale zgorzkniał, opiekując się mną cały czas, czuje, że mnie traci, a jednak nie pozwoli mi odejść, ponieważ opiekę nade mną uważa za swój obowiązek. Ma w głowie mętlik, ale będzie próbował nastawić cię przeciwko mnie. Wiem to na pewno. Próbował tego wcześniej...

Sandy chciał ją szybko o coś zapytać, ale nie dała mu okazji.

— Zrobi wszystko. Będzie opowiadać kłamstwa, jakie mu tylko przyjdą do głowy. Nie wierz w nic.

Kiedy trzymał ją w talii, jej włosy łaskotały go w nadgarstki. Miała dłuższe włosy, niż sądził. Sięgały jej do pasa i jeszcze niżej. Spojrzał na jej pochyloną głowę, tak swobodnie opartą na jego ramieniu.

— Obiecuję — powiedział — jeżeli mnie pocałujesz. — Łatwo mu to





na kąpiel. Nie będzie ciepłej wody i mama będzie coś podejrzewać. Jutro rano będzie musiał wyprać spodnie, jak mama będzie szykować śniadanie. I majtki. A jej majtki. I ten pocałunek... Zabrał go z sobą do domu i z każdym krokiem, kiedy górę brała wyobraźnia, stawał się czymś więcej, niż był. Po raz pierwszy miał nadzieję, że będzie u nich pan Wallace. Wtedy mama będzie zajęta, a on wbiegnie na górę. Rian... Będzie uważać na Robbiego. Będzie wsłuchiwać się w oskarżenia i przeciwstawi się każdemu kłamstwu. W końcu Rian była jego dziewczyną. Musiał jej bronić. Polegała na nim.

#### 4

Droga Mary,

Przepraszam, że tak długo nie pisałem. W pracy gorączka jak zwykle. Tylko takie wytłumaczenie mogę dla siebie znaleźć i chyba nie jest ono najlepsze, ale mam nadzieję, że mi wybaczysz, jak zawsze! Cieszę się, że wygrywasz z młodym Sandym „wojnę okresu dojrzewania”. Pozdrów go ode mnie, dobrze? Musi być już z niego prawdziwy mężczyzna. Może przysłałabyś mi zdjęcie was obojga? Ciągle chcę znaleźć moją najświeższą fotografię, ale sama wiesz, jak to jest. Chyba zmieniłem się trochę od ostatniego zdjęcia, które tobie wysłałem. To było na Gwiazdkę 1980 roku, o ile mnie pamięć nie myli. A może w 1979? Szare komórki poddały się! Jeszcze tylko ciało jakoś nie szwankuje i brnie naprzód jak piechota. Ale było kilka zwycięstw. Siedzę przy biurku cały dzień i podpisuję różne skrawki papieru. Czasami wolno mi wstać z krzesła i przespacerować się po zakładzie. Pomyślisz, że mam ważną pracę, co? Czasami sam siebie wprowadzam w błąd, myśląc, że rzeczywiście moja praca jest ważna. Prawda jest taka, że jestem nikim więcej, jak tylko gloryfikowanym urzędnikiem. Czasami żałuję, że nie pracuję bezpośrednio na budowie, zamiast siedzieć w tej budzie. (Bo tak, piszę do ciebie z pracy. To moja firmowa papeteria). W zeszłym tygodniu odwiedził mnie tu stary Emerson. Widziałem go pierwszy raz od mojego awansu, co prawdopodobnie znaczy, że idzie mi dobrze, a przynajmniej nie popełniam widocznych gaf. Emerson polewał kilka razy głową

i zapytał mnie, czy nie zamierzam się ożenić. Cholera, pyta mnie o to przez całe cztery lata! Któregoś dnia może go zaskoczę, chociaż chyba nie. Jestem zatwardziałym kawalerem, zdaje się, więc nie ma sensu namawiać mnie do ożenku!

Ten belfer wygląda w porządku. Masz moje błogosławieństwo, siostra, cokolwiek postanowisz. Na pewno teraz martwisz się głównie Sandym, ale on wkrótce wyfrunie z gniazda. Masz tylko trzydzieści jeden lat, Mary. A jak się czyta list od ciebie, to jakbyś miała pięćdziesiąt. Rusz się i złap jakiegoś faceta! Baw się, póki jesteś młoda! Popatrz na mnie. Mam dopiero trzydzieści trzy lata, ciągle jestem kawalerem i dobrze się bawię z nieustannie wykruszającą się bandą wesołych kawalerów. Dookoła jest pełno miłych facetów, Mary, więc nie ma przebaczyć. Gdybym mógł, przepłynąłbym Atlantyk i sam się z tobą ożenił... ale oczywiście nie mam czasu! (Tylko żartowałem, siostra!)

Zapytałaś Sandy'ego, czy ma ochotę przyjechać do Kanady na wakacje w tym roku? Uważam, że to dobry pomysł... *nie*, nie próbuję ci go skraćć! Ale może poszczęści mu się tutaj, jak wujkowi Tomowi. (No dobra, nie jestem milionerem). W każdym razie, dobrze mu zrobi przerwa po maturze. Musi mieć czas, żeby zastanowić się nad przyszłością, nie sądzisz? Tylko na ten rok! Super specjalna oferta! Cena bardzo przystępna. Do diabła, oddamy za darmo! Kanada nie ma strasznie wielu kurortów, ale jest parę miejsc, które sam chciałbym jeszcze zobaczyć, miejsc, które na pewno spodobać się Sandy'emu. Daleko na północy. Pamiętasz, jak gdzieś tam rąbałem drzewo, zaraz po przyjeździe? Jakież to było doświadczenie. A trwało tylko cztery dni! I obiecuję, że będę strzegł Sandy'ego przed psotami, jak przyjedzie. Masz na to kawalerskie słowo honoru! (Warte sto procent z *niczego!*)

Jak starcza ci pieniędzy? Nie daj się tylko wrobić w żadne kredyty z banku i proszę, pamiętaj, że masz moje pieniądze na koncie jako rezerwę. Naprawdę będę się dobrze czuł, jeżeli swobodnie z nich skorzystasz. Już ci mówiłem. Załatwiłem to w banku na wieczność. Nigdy nie ruszę tych pieniędzy, niepotrzebne mi, a mama i tata na pewno chcieliby, żebyś z nich skorzystała. Wiem to na pewno. Proszę.

No, Mary, wolno mi wyjść na świeże powietrze budowy na pięć minut, więc muszę kończyć. Ucieszyłem się na twój list, Mary. Dziękuję. I pisz dalej. I jeszcze powiedz Sandy'emu, że jak do mnie zaraz nie napisze, to zro-

bię mu coś przykrego, jak będzie spał! Uściskaj go ode mnie i siebie też, mocno. Kończę już.

Kocham was, Tom Całusy

## 5

Pozostałe wiosenne dni zlewały się w jedno. Ciepły wiatr przynosił zapach trawy do nozdrzy tych, którzy zachowali jeszcze tyle świadomości, aby doceniać takie drobiazgi. Wszystko otwierało się na przyjęcie przemijającego lata. Sandy wstawał wcześniej w obawie, że zaśpi na egzaminy. Potraktował je poważnie i robił sobie godzinne powtórki przed śniadaniem. Potem, gdy mama żegnała go na progu, szukał kamyka, który mógł kopać całą drogę do szkoły.

W sali egzaminacyjnej było duszno. Wypełniali ją uśmiechnięci i niepoważni zdający. Bał się podnieść wzrok, żeby się nie zdekonzentrować i by jego zapełniona pamięć nie wyparowała całkowicie. Od tygodni przetrzymywał w pamięci zakute odpowiedzi. Wystarczyła jedna śmieszna mina Bebecha Martina, żeby wyleciał mu z głowy tuzin równań. Wbił więc wzrok w ławkę, chociaż leśne powietrze było wilgotne i obezwładniająca. Oto jego szkolna kariera: bazgrały na porysowanej ławce; trzeszczące krzesło; lista odpowiedzi do wyboru; szansa jedna na pięć; nogi ślizgające się na zakurzonych kafelkach podłogi. Jeden nauczyciel siedział z przodu i czytał gazetę. Inny gapił się w okno, spacerując między rzędami ławek. I już. Wszystko. Śmiechu warte. W żaden sposób nie przekładało się to na dziesięć lat nauki. Sandy nagle poczuł zadowolenie, że zakuwał — nie żeby chciał tu zostać na dłużej, ale stopnie miały znaczenie. Zostało mu to wbite do głowy, aż stało się zwyczajną wiedzą, taką samą jak przypowieści z Biblii, które poznał jako dziecko i tak jak one, ta nowa wiedza — nie wiedza, ale *fakty* oczywiste i proste — z czasem uleci z pamięci.

Egzaminy nie były zbyt trudne. Między nimi następowały dni puste, czas lenistwa i smakowania wolności, i zakucia kilku zdań, które były destylatem z kilku lat nauki. Sandy nosił przy sobie listę ważnych sentencji i rów-

nań. Wyciągał ją z kieszeni w przypadkowych momentach i uczył się. Te klejnoty wiedzy na kilka tygodni zastąpiły jego kolekcję prawdziwych kamieni.

Po każdym egzaminie był mile zaskoczony kompletnym wyczerpaniem i potrzebą snu. Wracał do domu i drzemał w fotelu do kolacji. Po przebudzeniu nie potrafił przypomnieć sobie większości pytań. Usuwał ze swojej listy niepotrzebne już informacje, a potem wyciągał z kieszeni arkusz egzaminacyjny i oglądał go, jakby to był przedmiot nie z tego świata. Nie znał już tych odpowiedzi. To był zupełnie nie ten sam egzamin, który ostatnio zdawał. Nawet słowa były nieznajome. Dziwne uczucie, którego inni też doświadczali. Bebech Martin śmiał się z nich, kiedy raz omawiali ten problem.

— To macie przerabane, co? Jak tak się dzieje, to znaczy, że nie koncentrowaliście się. Mogliście napisać cokolwiek. Dobrze wam tak, pieprzone kujony. Na co wam się to przyda, jak pójdziecie ze szkoły?

1 tak nie ma pracy. Po co sobie tym zawracać głowę?

Martin, z brzuchem obscenicznie zwisającym poza spodnie, pulchnymi palcami wybierał resztki z talerza sąsiada i wrzucał w rozdziawioną gębę. Z grubasów przeważnie kpi się w szkole, w komiksach i w rzeczywistości, ale Bebech był tak paskudny, że ten los go ominął. Nie był typowym grubasem. Rzeczywiście, Sandy często wzdrygał się, kiedy porównywał różnice. Bebech był przerażający. Potrafił przyciągnąć cię do siebie w klinczu i przynieść ci twarz do swojej piersi, aż się dusiłeś. Koszula śmierdziała mu octem, jakby nie prał jej od bardzo dawna. Kłamał, kradł i oszukiwał, a kiedy miał tłumaczyć się przed nauczycielem, chował się za archetypem typowego grubasa — sponiewieranego, niekochanego, niechcianego, niewinnego. Ku rozgoryczeniu całej kiasy, tę rolę opanował perfekcyjnie. Rozkładał ręce jak nieboraczek, rozdziawiał buzię i otwierał szeroko oczy zdziwiony. Potem odgrywał jak z automatu wyuczoną rolę, aż nauczyciel marszczył brwi i szukał winowajcy. Bebech wkrótce się podśmiewał, sięgał głęboko do kieszeni spodni, grzebał i grzebał, aż znalazł jakiegoś zleżalego cukierka. Rozgryzał go na kawałeczki i ciągle się śmiejąc, rzucał złośliwe uwagi pod adresem tych, którzy na niego naskarżyli.

— Ha! Może następnym razem lepiej wam wyjdzie. Idźcie sobie, kurwa, naskarżyć. Ha!

Sandy nie cierpiał tego chłopaka. Od zawsze. Najwyraźniej był nieczuły



na ból, psychiczny czy fizyczny, jak brnący przed siebie stary dinozaur. To było wkurzające. Sandy uważał, aby nie siadać obok niego podczas egzaminu. Bebech drapał się po zdumionej twarzy, wydając przy tym chrzęst, jakby rozwijał ciasno zapakowanego cukierka toffi, i uprzykrzał życie wszystkim wokół.

Nieraz planowano wobec niego zemstę, kolosalną w zamiarach, ale nigdy jej nie zrealizowano w jakimkolwiek zadowalającym stopniu. Sandy miał też kilka własnych planów. Najprostszy polegał na walnięciu go w łeb pustą butelką w ciemnym zaułku. Te bardziej już skomplikowane wymagały urządzeń mechanicznych, jak ciastko tortowe nafaszerowane tłuczonym szkłem albo gniazdo szcurów. Sandy przechowywał te plany w skradzionym zeszycie w tajemnej szufladzie w domu, ale z poczucia winy podarł go tuż przed egzaminami, na wypadek gdyby istniał Bóg i on (albo ona, albo ono) postanowił ukarać go słabymi stopniami. I tak była to dziecinada. Porządna zemsta musiała być prosta i niespodziewana. Ale jaka? Na tym polegał problem.

Po egzaminie z ekonomii kilku z nich wybrało się do parku z piwami wykradzionymi z barku ojca Colina. Przeskoczyli przez pozostałości gorącego strumienia — marną strużkę, pozbawioną wody, wypełnioną surową, rdzawą gliną — i pobiegli przez boisko w stronę stawu w Buszu. W podwiniętych kurtkach nieśli puszki z ciepłym piwem. Byli już prawie mężczyznami, tylko tygodnie dzieliły ich od zasiłku i darmowych pieniędzy, które niósł ze sobą.

Wszyscy poza Sandym.

— Byle do Gwiazdki! — krzyczał Colin. — Chryste Panie! Sandy też musi zostać do Gwiazdki!

Kiedy Sandy wycierał wilgotne czoło, nie mógł wyobrazić sobie śniegu, wielowarstwowych ubrań i grzania się przy kominku. Ta myśl była sama w sobie tak idiotyczna, że nie miała zupełnie żadnego oparcia w realnym świecie. Był kompletnie zdezorientowany i już chciał zapytać kolegów, czy rzeczywiście wierzyli w coś tak obcego jak śnieg. Potem oprzytomniał nieco, w samą porę, aby uświadomić sobie, że przechodzą po rurociągu nad rzeką. Patrzył, jak inni udają akrobatów, balansując na wąskiej rurze, a potem przeszedł, wbrew sobie, na drżących nogach. Czekali na niego po drugiej stronie, śmiejąc się i prosząc, żeby spadł. Próbował się uśmiechać, ale nie spuszczał oczu z długich, zielonych macek wodorostów w wodzie poni-

zej. Gdy już się przedostał, zeskoczył z rury na grudkowatą, brązową ziemię. Poczłł się lepiej. Resztę drogi przez pole do sadzawki pokrytej algami pokonali biegiem. Nagle jeden z nich, Clark, rozebrał się i machając penisem niczym komik różdżką, wbiegł do wody. Wrzeszczał, ale nikt nie kazał mu być cicho. Byli tu w prawdziwej dzicy. Nikt nie słyszał ich krzyków, śmiechów i wrzasków. Clark wybiegł z pluskiem z wody, zielona tapioka przylgnęła do jego białego ciała. Starł ją z obrzydzeniem.

— Zimno tu jak piorun — powiedział. — A wy tchórzycie? — Rozejrzał się, ale reszta zajęła się otwieraniem puszek i połykaniem uciekającej piany. Wytarł się koszulką. — Tylko każdemu po równo — ostrzegł, podchodząc do nich.

Leżeli w wysokiej trawie i wpatrywali się w niebo, jakby wyświetlano tam film. Każdy trzymał w ustach źdźbło trawy. Przyszła pora leniuchowania. Zmęczyli się bitwą w wodzie.

— Zasiłek za osiem tygodni — powiedział Clark. — Nie mogę uwierzyć.

— Lepiej byłoby jednak, gdybyśmy wszyscy dostali pracę — zauważył Colin.

— Och, w końcu jakaś pracę znajdziemy — odezwał się Mark. — Ale teraz zasłużyliśmy na odpoczynek. Całkowity odpoczynek i relaks. Żadnego wstawania rano, chyba że trzeba coś podpisać w pośredniaku. Tak zalecił lekarz.

— O? — powiedział Sandy. — Chodzisz do lekarza, Mark? Ciekawe, na co się leczysz?

— Na syfa, jak go znam.

— Spokój, panowie. Nie potępiajmy zbyt pochopnie tego zatraconego biedaka. Potępiajmy go *powoli*.

— Ale, kurwa, śmieszne — odparł Mark.

— A jest jakaś poprawa? — zapytał Sandy.

— Już tak na poważnie, panowie. Koniec ze szkołą! To jak wyjść z więzienia po trzydziestu latach ciężkich robót.

— No, no, Mark. Pamiętaj, że jeden z nas tam chce wrócić.

— O, tak. Sorry, Wiedźmin. Zapomniałem.

— Nie lubię, jak mówi się na mnie Wiedźmin, Marcus.

— Nie lubię, jak mówi się na mnie Marcus, Wiedźmin.

Sandy wyciągnął rękę w powietrze i Mark ją schwycił. Uścisnęli sobie

prawice. Na pewien czas zapanowała cisza. Sandy leżał z koszulą zwiniętą na genitaliach. Trzeba je było chronić, tak powiedział kolegom, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy się przydadzą. Sandy ciężko pracował nad każdą wypowiedzią skierowaną do tej grupy. Jego żarty jednocześnie służyły mu za obronę i właśnie dzięki nim wszedł do gangu. Nie chciał tracić przywileju.

— Wolność — powiedział Clark. — To cudo, Sandy. Nie masz żadnych egzaminów. Żadnej roboty. Tylko przesiedzieć jak w więzieniu podczas gry w monopoli. — Wszyscy parsknęli śmiechem, nadal ze źdźbłami trawy w zębach. Słońce świeciło zbyt ostro. Od patrzenia na nie Sandy'emu kręciło się w oczach. Gdy tylko je zamykał, widział czerwony jak krew kształt płodu.

— A tego śmierdziela, Bebecha, trzeba by dorwać. I dać mu dobry wy-cisk. Zostawić mu coś na pamiątkę.

— Masz rację, Colin. Ale jak? — Zastanawiali się przez chwilę.

— Sprowadzić go tutaj — powiedział Sandy, rozsmakowując się w słowach powstających w bolącej głowie — i wrzucić do stawu. A potem zostawić na golasa, mokrego, zagubionego w ciemnościach i wrócić do domu. — Ktoś usiadł. Jego cień zasłonił słońce. Sandy wytężył wzrok, ale nie wiedział, kto to jest.

— Sprytnie, Sandy, ale jak go złapać? — zapytał Colin.

— Porwać go wieczorem, jak będzie wychodził ze smażalni — zasugerował Sandy, znowu zamykając oczy.

— Fajny plan — powiedział leniwie Clark.

— Wspaniały — dodał Colin. Wszyscy przyznali mu rację. — Tak wspaniały, że chyba trzeba go przeciwiczyć! — Colin natychmiast znalazł się na Sandym. Sandy chwycił powietrze, nieomal dławiąc się trawą. Jedną ręką kurczowo trzymał koszulę, a drugą drapał ziemię. A Colin ciągnął go już za nogi do sadzawki. Sandy puścił koszulę i próbował złapać Colina. Za późno. Zatoczył półkole w powietrzu i z pluskiem wylądował w wodzie. I szedł na dno. Wydawało się niemożliwie głęboko, o wiele głębiej niż dwadzieścia minut temu. Zupełnie jakby spadł do morza ze śmigłowca. Obracał się bez końca. Zachłysnął się ciecżą i zaczął parskać. Z początku woda była kwaśna, a potem bez smaku. Wypełniała mu usta i ściekała do gardła, które broniło się przed wodą. W dole było ciemno, ale walczył z ciemnościami. Dotknął stopami dna. Odepchnął się mocno i wy dostał głowę nad po-

wierzchnię wody. Ktoś krzyczał.

— Chryste! Zbliża się potwór z Loch Ness!

Wyłonił się i przez minutę kaszlał i wymiotował. Chłopcy stanęli na brzegu i pomagali mu się wydostać. Widzieli, że doszło do czegoś przerażającego.

— Przepraszam, Sandy — powiedział Colin, klepiąc go w plecy.

— To był tylko żart. W porządku?

Sandy skinął głową. — Wszystko dobrze — powiedział. A potem, przechyliwszy się nieco nad krawędzią sadzawki, zwrócił mieszaninę piwa, lemoniady, alg i wody.

— Cóż — odezwał się Mark — przez jakiś czas chyba nie będziemy tu pływać.

Znowu się położyli i oddawali się zadumie. Sandy wpatrywał się w trawę i wysychał na słońcu. Czuł się dobrze, ale był trochę roztrzęsiony.

— Widujesz się jeszcze z Shoną McKechnie? — Mark zapytał Colina. W oczach każdego z nich pojawił się błysk zainteresowania: seks.

— Cóż, chłopaki — odpowiedział tamten — to poufne. Cichosza. Naprawdę, nie chcę nic mówić.

— To znaczy, że puściła go kantem — stwierdził Clark w nadziei, że to prawda.

— Myśl sobie, co chcesz, Clareczku dzieciuchu.

— No to powiedz nam, Colin.

— Dobra, chłopaki. Siedzicie wygodnie? — Przesunęli się bliżej Colina.

— No, to pewnego razu — rozpoczął — był sobie seksowny młodzieniec nazwiskiem Colin McLintock. I ten Colin przypadkiem natknął się na przepięknej urody księżniczkę...

— Raczej potknął! Byłeś nachlany jak szewc.

— Dobra, Mark — odparł ze złością Colin. — To ty opowiadaj. — Ale chłopacy dali Markowi kuksańce w żebra i prosili Colina, aby opowiadał dalej. — Tylko więcej nie przerywajcie — ostrzegł. — No, to jak mówiłem, ten przystojny młodzieniec spotkał na przyjęciu damę, a ta dama nazywała się Shona McKechnie. Miło im było w swoim towarzystwie i zaczęli całować się tam, na kanapie. Potem odprowadził ją do domu. Na progu namiętnie pocałowali się na dobranoc i Colin pomyślał, że to wszystko. Ale nie! Tak nie miało być, moje dzieci. Bowiem, okazało się, jak mówili starsi chłopcy, że ta Shona miała ognisty temperament. Otóż po szkole chodziła

do Buszu, gdzie zabawiała się z całym gangiem Carsów. Rozeszła się też wieść, że Shona nabrała ochoty na młodego Colina i tak Carsi, w swej bezdennej głupocie, postanowili go przegonić od księżniczki, mniej więcej jak brzydkie siostry w „Kopciuszku”...

— Chryste, Colin, lepiej uważaj, bo mogą się teraz chować w trawie. Gdyby ciebie słyszeli...

— Więc — Colin podniósł głos — wspomniany wcześniej gang Carsów, czyli banda śmierdziuchów, ścigał biednego Colina całymi tygodniami i czekał na niego przed szkołą, przez co Colin musiał wykradać się i wracać do domu okreśną drogą, aż jego życie zamieniło się w takie piekło, że zrezygnował z widywania Shony, chociaż ona nadal goniła za nim w szkole. Tak więc, widzicie, panowie, znalazł się w ślepym zaułku. Ścigały go dwa przerażające żywioty. — Colin teraz stał i żywo odgrywał scenę. — Co miał począć? Zrobił to, co powinien zrobić mężczyzna.

— Święta racja — wtrącił Sandy.

— Znowu zaczął spotykać się z Shoną, ale jak tylko było to możliwe, trzymał to w tajemnicy. Powiedział o tym jedynie swoim najbardziej zaufanym przyjacielom. I tak, moi najbardziej zaufani przyjaciele, nadal się z nią spotyka. Zdaje się, że umówił się z nią na dzisiaj.

I regularnie dostaje od niej, co mu się należy.

— Masz farta, gnojku — powiedział Mark.

— No, to jaka ona tam jest, Colin? — dociekał Clark.

— O księżniczkach nie mówi się w ten sposób — odparł Colin, siadając. Na co rozległy się jęki sprzeciwu.

Sandy znał się na tych grach. Były stare i ich wartość użyteczna, jak ujęliby to na egzaminie z ekonomii, najwyraźniej zmniejszała się przy każdym powieleniu. Wszyscy wiedzieli, co to seks. Dowiedzieli się od chłopaków, którzy mieli starszych braci, z kolorowych magazynów przeglądanych popieszczeni w publicznych toaletach, od przypadkowych dziewczyn na prywatkach albo szkolnych dyskotekach. Lecz prawdopodobnie, pomimo przechwałek, Colin był jedynym z nich, który należycie stracił dziewictwo. Reszta ich szarpała się na smyczy niczym psy z wybałuszonymi oczyma. Ich seks to toaleta w domu albo własne łóżko, kołdra i chusteczka, a potem lekki zawrót głowy i poczucie winy. Przerazenie, że matka odkryje albo już odkryła jakąś zdradliwą plamę. Nie wszyscy chłopcy w szkole byli tacy nie-



winni. Carsi, miejscowy gang, na pewno też nie byli niewinni, ale w końcu byli to starsi kolesie, już po szkole.

Sandy zerwał nowe źdźbło trawy i żuł je, wyciskając sok zębami. Pomyślał o swojej księżniczce. Ciemnozłote pocałunki, warte tyle, co klejnoty. Pisał dla niej wiersze, ale nigdy jej żadnego nie pokazał. A jeśli nie umiała czytać? Tym lepiej. Wiersz był straszny.

Czas rozpadu, a ty wołasz mnie,  
Młody czas, a ty wołasz mnie,  
Jesteśmy tu razem, ja i ty,  
Więc nie roń łez,  
W czas rozpadu.  
Włosy masz długie Mógłbym po nich wejść,  
Do zamku, gdzie skarb ukryty.  
Twe kształty tajemne są jak droga do skarbu.  
Pokażesz mi drogę,  
W ten czas pokusy?

Wstydził się tego wiersza, ale przechowywał go w tajemnej szufladzie razem z innymi, oraz opowiadaniem, które napisał i miał nadzieję, że mama ich nie znajdzie. Koledzy śmialiby się z niego, gdyby się dowiedzieli. Wiedzieli jedynie, że dobrze mu szło pisanie opowiadań i wierszy, kiedy zadawał mu je na lekcji angielskiego nauczyciel, który chodził z jego matką.

Tymczasem raz w tygodniu odwiedzał dwór. Czekał, aż Rian zaproponuje spotkanie w jakimś potajemnym miejscu. Jeszcze tego nie zrobiła. Musiał się zadowalać całusem, skradzionym, kiedy Robbiego nie było w pobliżu, a to i tak tylko wtedy, gdy Rian była w nastroju. Jeżeli nie, siedziała z posępną twarzą, czarną jak skrzynia na węgiel i z rękami założonymi na piersiach. W te dni więcej rozmawiał z Robbiem i był miłszy dla niego, tylko po to, żeby zrobić na złość swojej okrutnej księżniczce...

Kumple rozprawiali właśnie o filmach wideo — o tych, które widzieli niedawno i tych, które oglądali, kiedy nie było rodziców w domu. Sandy pomyślał, że pójdzie i zajrzy do cukierni. Pan Patterson obiecał mu całą furę czekoladek, kiedy będzie po egzaminach. Jednak teraz Sandy nie jadł zbyt dużo słodyczy. Ich smak osłabiał. Spowalniał go, wszystko w środku

miął odrętwiałe i mdławe. Wolał owoce. Tak, pójdzie do sklepu z owocami. Ale wtedy padło pytanie.

— A ty, Sandy? Nie miałeś ojca, co? To znaczy, nie wiedziałeś, kto jest twoim ojcem. — Wspomnieli przedtem o kimś, komu nagle zmarł ojciec. Teraz skierowali rozmowę na niego. Spojrzał po ich poważnych twarzach, trądziku i chudych, bladych ciałach.

— Nie — odparł. — Nie wiedziałem.

— A próbowałeś kiedyś się dowiedzieć? Nie pytałeś mamy?

— Nie.

Jak mógł pytać? Minęło trochę czasu, zanim odkrył, że dzieci powinny mieć ojca. Kiedy o tym się dowiedział, żal mu było matki. Jak mógł zadać jej takie osobiste i niepotrzebne pytanie? Jednak często rozważał, czyją o to zapytać. Znał plotki, które krążyły, jak był mały. To jego wujek Tom, który potem czym prędzej uciekł. To sam Diabeł, bo jego matka w końcu była wiedźmą. Albo że to jeden z kolegów wujka Toma. Albo jakiś król elfów. Czy powiedziała mu, gdyby zapytał? Może tak, skoro już dorósł, ale jakie to miało znaczenie? Co najwyżej raz na kilka miesięcy zastanawiał się nad tym przez moment. To nic ważnego.

— To jak to jest, nie mieć ojca?

— To nic takiego. Nie ma specjalnej różnicy.

— A skąd możesz wiedzieć, skoro nie miałeś ojca? — Colin potrafił argumentować.

Sandy nie miał wyboru, jak tylko wzruszyć ramionami.

— Hm, nie wydaje mi się, żeby była jakaś różnica — powiedział.

— Różnię się od ciebie?

— No, ty przecież jesteś wiedźmowaty — zaśmiał się Clark.

— Gdybym był, to użyłbym czarów — odparował Sandy. — I odczarowałbym cię z żaby. — Na to wszyscy się zaśmiali. Sandy znowu poczuł się bezpiecznie. Kusiło go, żeby zajrzeć do dworu, ale wiedział, że o tej porze prawdopodobnie będzie pusty. Miał też ochotę odwiedzić obóz cygański pod Wzgórzem Craigie. Z cukierni było tam tylko dziesięć minut drogi. I tak już zaczynało wiać. Nie mogli dłużej tu leżeć. Sandy nacisnął palcem gęsią skórę. Guzki rozpląszczyły się na moment, a potem znowu się wybrzuszyły. Kiedy przechodziły go dreszcze, czarne włosy na rękach stawały prosto, jak morze przetaczające się przez esplanadę w Kirkcakiy.

— A może pojedziemy do Kirkcakiy? — zaproponował.

— Nie ma kasy — stwierdził Clark. Colin i Mark skinęli głowami.

— No, to pojedźmy, jak będziemy mieć pieniądze. Żeby uczcić maturę. I możemy tam pójść do Harbour Tavern. Dicky Preston mówił, że obsłużą cię, nawet jak nie jesteś pełnoletni. Bez problemu.

— Jasne — zgodził się Colin. Inni przytaknęli. — Pasuje. Jednak potrzeba będzie sporo tej kasy, więc zacznijcie sprawdzać portmonetki mamom i przeszukiwać kieszenie tatom. Dobra?

— No, super.

## 6

Cmentarz leżał na szczycie Wzgórza. Był całkiem duży, pełen nagrobków po katastrofach w kopalni i wielu innych, mniej nagłaśnianych śmierciach. Matty Duncan leżał tu w zaniedbanym, choć często odwiedzanym narożniku. Mary przechodziła obok i zerkała na nagrobki. Gdyby nie *umarł, to byłby mój ojciec...*

Na cmentarzu leżała większość rodziny Mary. Wiele grobów było zaniedbanych nazbyt długo i żółto kwitnące chwasty rozpoczynały poważną inwazję, nadając cmentarzowi bujny i chaotyczny widok, a dławiący zapach przypominał urynę.

Po drodze do rodziców Mary pochylała się nad jednym czy drugim grobem i wyrywała niektóre z tych bezgłośnie upartych chwastów. Rzadko wychodziły z korzeniami. Mary wiedziała, że to tylko tymczasowy zabieg.

Kamień rodziców nadal błyszczał. Za kilka lat straci połysk, ale jeszcze nie teraz. Litery były koloru matowego złota, wyraźnie wyżłobione. Mary przykucnęła przy grobie i położyła na trawie bukiet kwiatów. Podniosła dwa słoje, stojące po obu stronach grobu. W jednym były jeszcze na wpół wyschłe łądygi. Drugi był pusty; ktoś zabrał kwiaty, które ona tam ułożyła, tak delikatnie, w zeszłym tygodniu. Nie powiedziała nic i nic nie pomyślała, tylko poszła z obydwoma słojami do szopki, gdzie mieścił się pojemnik na śmieci i pionowa rura z kranem. Wyrzuciła łądygi. Wylądowały na stercie poplątanych i gnijących resztek roślin. Wypłukała oba słoje pod kranem, a potem napełniła je wodą. Woda była lodowata i lepiała się do jej dłoni, mro-

ziła je, aż czucie przechodziło w jakiś obcy rejon. Chuchała na palce, próbując je ogrzać, gdy niosła słoje do grobów, do rodziców i jej małego ołtarza z kwiatów.

Mary ustawiła słoje na pierwotnych miejscach, oznaczonych bardziej zieloną trawą pod spodem, usiadła wygodnie na lekko wilgotnej ziemi w nogach grobu i uśmiechnęła się. Długo już się tak nie uśmiechała. Najwyraźniej też przyglądała się grobom, jakby studiowała staranny haft. Kiedy usatysfakcjonowała ją aranżacja grobu, zaczęła mówić po cichu i z szacunkiem.

W królewskim tempie, stosownym do spokojnego popołudnia, nadciągnęły chmury. Gdzieś w oddali wrony prowadziły sprzeczkę, chyba na drzewach przy kościele. Powiedziała o tym mamie. Mama interesowała się szczegółami, tym, jak wyglądał dzień, widokami i dźwiękami, od których była odcięta. Mama Mary kochała przyrodę przez całe życie, zabierała dzieci na długie wędrowki w niedzielne popołudnia, a wieczorami latem i podczas wakacji. Pokazywała dwójce swoich dzieci dzikie kwiaty i drzewa, mówiła, jak się nazywają, i kazała im powtarzać te nazwy, żeby zapamiętały. A potem, niespodziewanie podczas spaceru, pytała je: —Jeszcze raz, jak to się nazywało? — i wskazywała coś, a kiedy wykrzykiwały odpowiedź, śmiała się i mówiła, że tego dnia nauczyły się więcej, niż w ciągu całego tygodnia w szkole.

Śmiali się w trójkę i biegli stromym zboczem, ręka w rękę, z krzykiem, aż w końcu, w domu, padali na kanapę, a ich spocone głowy przypominały im o wydarzeniach tego dnia. Uśmiechali się i zerkali na tatę, który udawał, że nie przeszkadza mu to, że wykluczyli go ze swojego towarzystwa.

To były dni niewinności, dni, które nazbyt szybko stały się przeszłością. Nigdy nie rozmawiała z mamą o dniu, kiedy została wepchnięta do gorącego strumienia, ani o tych dniach po wypadku. One przycupnęły w ciszy, w myślach Mary, za zastygłym grymasem, i jątrzyły się.

Rozmawiała z matką o kwiatkach, strumieniach, spacerach wśród pól, o krajobrazie, który kiedyś tu mógł istnieć, ale już go nie było. Ojciec słuchał w milczeniu, na pewno ujęty ich związkami, bardziej przypominający ten między siostrami, a nie matki i córki, dzieląc z nimi ich myśli i wizje, zupełnie jak u dziewcząt skulonych razem pod kołdrą w ciemnej sypialni. Ojciec kiwał głową i słuchał, ale niczego nie komentował, poza burknięciem, kiedy się do niego odezwała. Najwyraźniej był dalej od mamy i Mary wie-

działa, dlaczego tak jest. Jego twarz znikła z jej pamięci, a pozostała jedynie sylwetka ciężkiego mężczyzny, powłóczącego nogami, z fajką między zaciśniętymi zębami. Lecz Mary знаła twarz matki lepiej od swojej. Tę dobroć, rumiane policzki i zimny kompres na bolącej głowie. I miłość. Przemawiała do tej miłości, teraz, kiedy siedziała przy zimnym grobie i gładziła kępy szorstkiej trawy, jakby to były splątane włosy.

Czerwieniąc się niczym uczennica, opowiedziała mamie o An- dym.

— Tak, mamó, jest kochany. Naprawdę dba o mnie. Zawsze robi różne drobne rzeczy, przynosi czekoladki albo kwiaty. Zupełnie jak zalotnik starej daty. Ma samochód i czasami jeździmy na wieś do małych pubów i w ciekawe miejsca. Ludzie patrzą na nas jak na małżeństwo. — Przerwała. — Może kiedyś pobierzemy się. Sandy ciągle rośnie, chociaż mówi, że nie. Teraz zdaje w szkole egzaminy. Uczył się całymi tygodniami. Wraca do domu wyczerpany. No, w końcu jeszcze z niego dziecko. Czasami wraca bardzo późno. Nie, nie jestem wystarczająco surowa wobec niego, mamó, ale dzisiaj trzeba im dawać trochę wolności, bo inaczej zwariują. Nigdy nie popada w żadne kłopoty. I zdaje się, że ma dziewczynę. Rumieni się jak uczennica, kiedy go o to pytam. — Zachichotała. — Jeszcze nie wiem, kto to jest. Mam nadzieję, że to jakaś miła dziewczyna, a nie jedna z tych zdzir, które kręcą się po ulicy. Ale Sandy chyba ma dosyć rozumu, żeby w tych sprawach nie wplątać się w coś...

Milczała przez chwilę. Wrony dalej prowadziły swój dialog. Mniejsze ptaki zaczęły jazgotać gdzieś w krzakach nieopodal.

— Ptaki dzisiaj ładnie śpiewają, mamó. Nie wiem, jakie to ptaki. Są tu wrony i wróble oczywiście, ale Bóg wie, co jeszcze. Ty byś je znała. Zapomniałam tych wszystkich ptasich piosenek, których uczyłaś mnie i Toma. Ä propos, Tomowi idzie dobrze. Ostatnio dostałam od niego list. Byłam u ciebie od tamtej pory? Zapomniałam. Płacze mi się wszystko ostatnio... A Sandy to kończy szkołę. Uparł się przy tym. Sama nie wiem, co on z sobą pocznie. Gdybyś tu była, mamó, posłuchałby twojej rady. Swojej mamy to on prawie nie zauważa. Jest niezależny, jak mało kto, a ma dopiero piętnaście lat. Piętnaście, mamó. — Zamilkła, jakby czegoś nasłuchiwała. — Tak, mamó, to była dla mnie katastrofa. Ale kocham mojego Sandy'ego i nie mogłabym żyć bez niego. Nie mogę myśleć już inaczej. A ty, co sądzisz, tato? Co ty myślisz? — Rozpląkała się. Wstała i wycierając oczy w cienką chusteczkę, odeszła pospiesznie od grobu. Kwiaty w słojach drżały od lek-



kiej bryzy.

Kiedy Mary wychodziła z cmentarza, zobaczyła, jak George Patterson mozolnie wdrapuje się na Wzgórze. Wzięła nogi za pas i pobiegła, uciekając między domy, żeby jej nie zauważył.

Pan Patterson wracał do domu na obiad. Zamknął cukiernię o wpół do drugiej, założywszy, że mały Sandy nie pojawi się po egzaminach. Popołudnie było spokojne i pogodne. Patterson napawał się świeżym powietrzem. Dla niego skiep był jak grób. Sprzedawał coraz mniej, co oznaczało mniejsze dochody, ale co gorsza, mniej klientów, z którymi mógł jakoś spędzić czas. George Patterson skończył już pięćdziesiątkę i czekał na śmierć. Był to powolny proces. Jadł słodczyce całymi paczkami, palił papierosy i zapijał się w samotności, ale nadal nie mógł umrzeć. Może to wzgórze dokona tej sztuki.

George Patterson chciał umrzeć, ponieważ nie sądził, aby było to gorsze od życia. Czasami chodził do kościoła, ale już nie wierzył w Boga. Łatwiej mu było pragnąć śmierci. Jedyne, czego pragnął, to przestać istnieć. To, że był lubiany w mieście, sprawę tylko pogarszało. Chciał, żeby go nienawidzono, ale ludzie na to nie zezwalali. Co gorsza, on sam nie pozwalał się nienawidzić. Kiedy spotykał ludzi, czuł, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech, chociaż wolałby marsową minę, i dorzucone do niej jakieś przekleństwo. Czuł, że musi okazywać szlachetne gesty, cały czas świadom ogromu własnej hipokryzji.

Pan Patterson był kawalerem. Mieszkał w małym domu w Cardell, na skraju miasta. Czytał dużo magazynów i gazet, słuchał radia. Nie miał zwierząt. Nie miał gosposi. Dom sprzątał sam. sam prał i prasował. Był przy kości od jedzenia zbyt wielu słodczy przez całe życie, ale jeszcze zachował jakąś kondycję. To, że wyłysiał i był rumiany na twarzy, jedynie przysparzało mu sympatii ze strony innych. Nienawidził tego wszystkiego. Życie było śmiechu warte, a ludzie byli wybrykiem życia. Trzeba kolejnego potopu, o ile ten pierwszy w ogóle był, potopu, który zmyje wszystkie śmieci, a pozostawi jedynie szczere dzieci i kilku poczciwych ludzi, którzy gdzieś muszą żyć. George Patterson modliłby się o to, gdyby wierzył w Boga. Skoro był niewierzący, jedynie o tym myślał.

Gramolił się cały spocony w stronę swojego cienistego domu i miał nadzieję, że ból w boku nie przybierze na sile. Minał starego pastora, a raczej starał się go minąć. Pastor, jak zawsze, zatrzymał się, aby porozmawiać z

jednym z szanowanych i zacnych parafian. Co prawda takim, który nie był widywany w kościele tak regularnie, jak być powinien, który jednak okazywał prawdziwego chrześcijańskiego ducha.

— Ładny dzień, panie Patterson. Wraca pan do domu na obiad?

— Tak, pastorze, niestety. — Pan Patterson nienawidził siebie za uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, i przymilny ton. Zatrzymał się obok pastora Davidsona, staruszka o twarzy cherubinka i siwych włosach wijących się w jego nozdrzach, co obwieszczało ludziom, że jest człowiekiem w służbie Boga, ale jednocześnie twardym mężczyzną, z którym można się realnie porozumieć.

— A jak tam słodki interes, panie Patterson? Nadal bałamuci pan naszą młodzież i naraża na próchnicę? — Na twarzy staruszka pojawił się uśmiech, ale wzrok miał szczery.

Pan Patterson uśmiechnął się nerwowo.

— Każdy ma swoje grzeszki, pastorze. Nie twierdzą, że cukierki nie szkodzą, ale inne przyjemności są dużo gorsze.

Pastor uśmieł się serdecznie.

— Prawda, święta prawda, ale słaba to wymówka, jeżeli to wymówka. Zgadzam się, że są różne pokusy. Mnie samego od czasu do czasu kusi kieliszeczek, ale z pewnością uznaję uległość temu jako coś mniej ohydneho niż pokusa popełnienia zbrodni i dokonanie jej. Ale popatrzmy na to z innej strony. Sprzedaje pan coś, o czym pan wie, że jest złe...

Ty też jesteś zły, staruchu, pomyślał Patterson w chwili złości, ty też.

— ...więc czy jest pan przez to lepszym człowiekiem?

Pan Patterson, zagubiony w myślach, nie usłyszał części wywodu pastora, koniecznej dla zrozumienia wypowiedzi. Uśmiechnął się i potrząsnął głową. — To mnie pastor zaskoczył. To co mam zrobić? Sprzedać źródło utrzymania?

Pastor zaśmiał się i potrząsnął przecząco głową. Wziął George'a Pattersona za rękę i poklepał ją lekko. Uścisk miał delikatny i suchy.

— George, ależ nie, tylko żartowałem sobie. Lepiej już idź i zjedz obiad. Niech cię nie zniechęci gładzenie starucha. Zobaczymy się wkrótce w kościele?

Pastor nagle przestał przeszukiwać wzrokiem domy dookoła i skupił się na oczach Pattersona, który zareagował na to uczuciem mrowienia w po-

liczkach.

— Tak, oczywiście — odparł tak ochoczo, jak tylko potrafił. — Prawdopodobnie w tę niedzielę. Nie mogę się doczekać. Ostatnio byłem bardzo zajęty, rozumie pastor...

Tym razem duchowny poklepał go po ramieniu. — Nie musisz przeproszać, George. Będę zadowolony, jak ciebie zobaczę, jeżeli tylko dasz radę przyjść. Będę czekał. Może wpadnę kiedyś do ciebie na miętówki.

— Bardzo proszę — odparł Patterson na odchodnym. Stary pierdoła, pomyślał sobie. Pewnie będzie chciał, żeby były na koszt firmy. Chociaż jednak ten stary pastor nie był taki zły. Po swojemu paskudnie czepiał się ludzi o to, co robili, co myśleli, o grzechy i słabości. Znalazł się tu w samym środku gniazda żmij. Carsden upadło nisko. Patterson pamiętał, jakie było kiedyś, a przynajmniej, jakim mu się wydawało, za czasów jego młodości. Było ciężko, owszem, ale ludzie byli otwarci i szczerzy. W końcu te miasta były dla ludzi. Patterson upadł tak samo jak inni, a może dalej niż wielu z nich. Nikt nie znał jego grzechów. Ludzie uznawali go za sól ziemi. Śmiał się gorzko przez resztę drogi do domu. Pragnął śmierci. Nie mógł popełnić samobójstwa. Na to był zbyt wielkim tchórzem. Pragnął... chciał... naturalnej śmierci, ale szybkiej. Oby umarł szybko.

A nazajutrz rano od pierwszego klienta Patterson dowiedział się, że stary pastor zmarł we śnie. Potrzęsnał głową, niedowierzając. Taki więc był świat. Gorzka ironia oddaliła wszelkie myśli o żałobie. Zupełnie jakby złośliwy stwórca postanowił pokazać mu fragment prawdziwie bezosobowej władzy. Przez cały dzień stał za starą, drewnianą ladą i słuchał tylko samych dobrych słów o tym człowieku. Zanurzał rękę w szkianych słojach z kolorowymi słodkościami i pełen winy napełniał nimi papierowe tutki. Nikt nie kupował miętowych draży. One zostawały na niedzielę do kościoła.

Sandy zjawił się o czwartej po południu. Pan Patterson milczał prawie cały czas, zapomniawszy o słodyczach, które obiecał chłopcu. Jednak starannie podstrzygł mu grzywkę. Potem Sandy poprosił ćwierć funta miętówek dla mamy. Pan Patterson mierzył go wzrokiem. Zupełnie jakby patrzył na własne sumienie, wielokrotnie powiększone. Powinien tamtemu starszemu powiedzieć coś więcej. Teraz już za późno, za późno. Powinien powiedzieć coś więcej staremu pastorowi... Dał Sandy'emu miętówki i nie wziął pieniędzy.

Nie widział jej prawie od tygodnia. Czuł się zupełnie tak, jakby coś pożerało mu żołądek od środka. Myślał, że ma wrzody albo coś podobnego, ale nic z tym nie robił, bojąc się, że okaże się to prawdą. Większość czasu spędzał w swoim pokoju i bazgrał po papierze w starych zeszytach. Czytał dużo książek z biblioteki. Kiedy matka łajała go umiarkowanie za to, że siedzi w domu, kiedy tak ładnie jest na dworze, bez słowa zbierał książki, wyłączał gramofon i zbiegał na dół. Siedział milczący na progu z książką blisko twarzy, a mama obserwowała jego protest z coraz większym rozgoryczeniem. Stawał się dla niej jak zombi. Naturalnie, martwiła się, ale nie wiedziała, jak go zapytać, w czym leży problem, żeby nie zamknął się w sobie jeszcze bardziej. Znowu pragnęła, aby jej matka żyła. Sama pragnęła być silniejszą matką, kiedy Sandy dorastał. Pragnęła wielu rzeczy. A potem zabierała się za sprzątanie.

Sandy siedział na progu. Gotował się jak jajo w rondlu na wolnym ogniu. Żar był nieznośny. Męczył go i nie pozwalał myśleć. Musiał mrużyć oczy przed słońcem, żeby widzieć druk, a od tego bolała go głowa. Dał za wygraną. Czytał śmieszna, amerykańską powieść. Zaśmiał się z kilku żartów. To znaczy o tyle, o ile śmiech mógł wydobyć się z jego ciała. Myślał o Rian. Fantazjował o niej, a w tych fantazjach ona nie była tą Rian, którą znał, ale postacią dzikszą, zwierzęcą. Gryzła, drapała i spiskowała. Robbie zaglądał Sandy'emu w twarz, gdy Sandy przyciskał ją do ziemi i śmiał się. Te obrazy przerażały go. Nie wiedział, co myśleć o prawdziwym związku brata z siostrą (pamiętał plotki o jego matce i jej bracie), ale jednocześnie wypełniała go cudowna miłość do nowej wersji Rian, dziewczyny, która wiedziała to, co on chciał poznać, i która nauczy go zasad nowej gry. Ciągnęła go za włosy, kiedy zbliżał do niej twarz. Niczym koń na uwięzi przebierał nerwowo nogami, aby iść do dworu. Z początku nie pozwalały mu na to egzaminy, a potem musiał odwiedzić chorą i bardzo starą ciocię w Leven. Mógł iść dzisiaj, ale coś go powstrzymywało — pęta, które sam sobie narzucił. Jutro jechał do Kirkcaldy, na wyprawę zaplanowaną kilka dni temu. Na tę okazję wyciągnął trochę pieniędzy ze swojego małego konta

bankowego.

Mama podała mu szklanę lemoniady, chociaż o nią nie prosił. Postawiła ją na progu, a jego całe ciało napięło się.

— Proszę — powiedziała.

Wpatrywał się w książkę. Zastanawiał się, czy nie zignorować lemoniady, nie ruszyć jej wcale. Zawsze robiła dla niego takie rzeczy. Ale poddał się.

— Dzięki, mamó — odpowiedział, przysłuchując się, jak kostki lodu podzwaniają w podnoszonej szklance.

Mama uśmiechnęła się i wycofała do kuchni. Może pomyślała, że odniosła małe zwycięstwo.

Sandy popijał słodki napój i czuł, jak zęby natychmiast robią się ziarniste. Kamień, to cały wróg. Nie chciał mieć sztucznych zębów. Próbował pić tak, żeby nie trzymać płynu zbyt długo w ustach. Zakaszał, kiedy bąbelki dostały mu się do nosa. Sprawdzał oddech, najpierw wypuszczając powietrze przez usta, a potem pospiesznie wciągając nosem. Nie śmierdział. Ale kilka krost miał. Niedługo będzie musiał zacząć się golić. Na szczęście nie miał kłopotów z włosami. Były suche i gęste. Nigdy mu się nie przetłuszczały, tak jak Colinowi albo Bebechowi, co było cudem, zważywszy ilości frytek, jakie pochłaniał. W szkole, w czasopiśmie dla dziewczyn przeczytał o przyczynach trądziku: tłuste substancje, słodyczne, niedokładne mycie. Najwyraźniej z włosami działo się podobnie. Mył się często, jednak kiedy tylko podrapał się po twarzy, pod paznokciami gromadził się szary szlam. Usuwał go zębami i wypluwał na ziemię. Przyglądał się sobie w lustrze. Wyglądał na czyściutkiego. Drapał się paznokciem po nosie. Znowu znajdował brud pod paznokciem. To go dziwiło. Jak myła się Rian? Czy w ogóle? Nie było od niej czuć żadnego zapachu, jedynie słodkawą woń trawy, więc przypuszczał, że myła się. Może nad rzeką albo przy kranie na polu golfowym. Tak, to było oczywiste. Potem coś go uderzyło. Musiała się myć albo wcześniej rano, albo późno po południu, żeby jej nikt nie widział. Ktoś ukryty w krzakach mógł ją obserwować, mógł się na nią natknąć. Mógł patrzeć, jak się myje.

Kolejna fantazja pojawiła się w gorącym słońcu, w niej Rian była tą, której pragnął, a Robbiego nie było nigdzie w pobliżu. Zostawił książkę i lemoniadę i wrócił do swojego pokoju.

Mary wyniosła z kuchni taboret i postawiła na progu. Usiadła na nim ciężko



i wystawiła twarz ku słońcu. Zamknęła oczy i poczuła na twarzy promienie, gorące, mrowiące i kojące. Otworzyła oczy i spojrzała na ogród. Wymagał pracy. Poprosi Sandy'ego, ale nie teraz, zachęci go funtem. Dawała mu trzy pensy, żeby poszedł do sklepu na rogu. To było jakiś czas temu. A jej mama to kusiała go herbatnikami, chlebem z masłem i słodkim dżemem truskawkowym. Czasy się zmieniały. Wyświechtane to słowa, ale prawdziwe. Czasy się zmieniały, a z nimi ludzie. Przydałby się w domu mężczyzna, kiedy Sandy był młodszy, żeby zabrać go na ryby albo długi spacer. Teraz na to już za późno. Teraz potrzebowała mężczyzny dla siebie, kiedy zostanie sama za rok albo dwa. To ją przerażało, ale gdyby Andy został, to będzie dobrze. Będzie jak w niebie. Tom miał rację... potrzebny jej był dobry mężczyzna, a jeszcze nie była taka stara. Im była starsza, tym bardziej potrzebowała go w pewnych sprawach. Uśmiechnęła się, ale uśmiech szybko znikł, jak młode zwierzę na obcym terytorium. Zmarł biedny, stary pastor Davidson, a zawsze wyglądał na takiego zdrowego. Był dla niej dobry i zawsze wysłuchał jej w najgorszych momentach. Oferował jej Kościół jako mocną opokę dla nowego życia, a ona wczepiała się w nią, drapiąc jak oszaląła, jak ktoś, kto ma zaraz stracić równowagę i spaść. Do diabła z szydzącymi parafianami. Rozmawiała ze swoim Bogiem.

Kościół podważał ideały wpojone jej przez matkę i babcię, ale oba kano-ny wiary ceniła i z żadnym nie zamierzała się rozstawać. Sandy w ogóle nie dbał o religię. To ją smuciło. Zrezygnował z chodzenia do kościoła, gdy miał dwanaście lat, i zjawiał się jedynie na ślubach i pogrzebach. Kiedy Mary rozejrzała się w niedzielę, wiedziała dlaczego. Ławki były wypełnione w jednej czwartej i to głównie przez starsze osoby; kobiety w podniszczonych niedzielnych paltach i kapeluszach z lat pięćdziesiątych; mężczyźni bezgłośnie poruszali ustami do słów hymnów, gdy ich żony śpiewały roz- trzęsionym głosem. Smutny widok. Z rzadka widać było młodych ludzi. Młodzi mężczyźni śpiewali głośno. Policzki mieli rumiane, co podkreślało ich pewność siebie. Niektórzy rzucali w jej stronę ostre spojrzenia. Teraz, kiedy pastor Davidson nie żył, kto go zastąpi? Ktoś, kto z pewnością będzie młodszy i właśnie dlatego nie przypadnie do gustu starszym parafianom. Wstyd, jeżeli jeszcze ubędzie ludzi chodzących do kościoła.

Dzień był dobry na spacer, ale Mary wiedziała, że Sandy z nią nie pójdzie, a samotny spacer to smutna rzecz. Andy obiecał wpaść po południu, skoro szkoła miała się ku końcowi. Miał ją gdzieś zabrać. Może da się na-

mówić na spacer. Musieliby pojechać kawałek samochodem, zanim mogliby spacerować razem, nie narażając się na zakłopotanie; bez tych szeptów i spojrzeń kobiet w długich, staromodnych płaszczach, z ciężkimi torbami zwisającymi z ramion. Musieliby pojechać na wieś, daleko za Kinross. Dzięki samochodowi wszystko było możliwe, nawet ucieczka. Po obiedzie weźmie kąpiel, na wypadek gdyby się spociła. Na górze w ubikacji spuszczonego wodę. Rury zabur- czały i woda spłynęła do podziemnego systemu kanalizacyjnego. Były kraje, gdzie było gorzej niż w Szkocji. Gdyby tylko można było poprawić życie dzięki porządnym domom i łazienkom. Jednak życie nie było tak proste ani tak konkretne. Kop pod powierzchnią, a nie znajdziesz sieci rur i kranów, które można zakręcać i odkręcać. Znajdziesz raczej wrogą głębię, poczucie winy i wiecznie zmieniającą się topografię świata. Mary zadrżała, kiedy owiał ją wiatr znad ogrodu. Na nagich ramionach pojawiła się gęsia skórka. Słyszała, jak na górze chodzi Sandy, i postanowiła wejść do środka.

— Co masz ochotę zjeść na obiad, Sandy? Jest mięso na zimno i sałatka. Może być? — zawołała, stojąc u dołu schodów.

Usłyszała jego odpowiedź z daleka, z jego pokoju.

— Dobrze. Może być. Co zechcesz.

Poznała po tonie jego głosu, że myśli, iż wtrąca się do niego, woła tylko po to, aby sprawdzić, co robi. A przecież zupełnie jej to nie obchodziło.

— Zostawię wszystko na stole i jak będziesz głodny, to sobie weźmiesz. — Czekala. — Dobrze?

— Dobrze.

Gdyby tylko potrafiła go zrozumieć. Gdyby tylko otworzył się przed nią. Tom pisał w listach, że to okres dojrzewania. Wszyscy przez to przechodzili. Ale za kogo miał się Tom, żeby o tym wiedzieć? Nigdy nie musiał wychowywać dziecka.

— Napisałeś już ten list do wujka Toma, Sandy?

— Jeszcze nie — odpowiedział zniecierpliwiony. — Napiszę dzisiaj.

Sandy doszedł właśnie do wniosku, że nie chce jechać do Kanady, nie w tym roku. Jego mama trochę się zdziwiła tą nagłą i niewzruszoną decyzją.

— Może w przyszłym roku — powiedział przy kolacji wieczorem. Nie naciskała na niego, aby zdradził jej przyczynę, ale sam jej powiedział. — Moi koledzy. To chyba ostatnia szansa, żeby pobyć z nimi, zanim wyjadą do pracy i ożenią się. Wszyscy mówią o wyprawadźce, więc chciałbym

spędzić to lato, widując się z nimi.

Mama pokiwała głową bez słowa i popiła herbatę. To Rian, myślał wtedy Sandy, nie zostawię Rian. Nie, kiedy czuję, że jest tak blisko. Może któregoś dnia będzie mógł zabrać ją do Kanady. Poza tym to prawda, że chciał jak najczęściej widywać się z Markiem, Clarkiem i Colinem. Byli dobrymi przyjaciółmi i wkrótce mieli wyjechać. Wakacje zapowiadały wiele wspólnych przygód. Kirkcaldy. Edynburg. Piłka nożna. Wędkowanie. I Rian. To będą wspaniałe wakacje.

Sandy siedział w sypialni i myślał o śmierci pastora, o tym, czy Bóg istnieje, czy nie. Myślał, że pewnie dobrze jest umierać, wierząc, że istnieje coś po śmierci. Według niego, przerażające było w nic nie wierzyć. Rozważał możliwość życia po życiu. Idea Nieba, perłowych wrót i aniołów z harfami była nie do pomyślenia. Choć może ta idea była tylko uproszczeniem, analogią, ponieważ idea prawdziwego życia po życiu była zbyt trudna do wyjaśnienia? To miałyby sens. Sandy nie chciał umierać, ale śmierć była wokół niego przez cały czas. Jakiś kolega zginął w wypadku samochodowym dziesięć miesięcy temu. Czasami bolały go boki bez powodu i leżał wtedy w łóżku, myśląc, że umiera. Nie chciał iść do kościoła, modlić się i śpiewać, ale dobrze byłoby wierzyć w życie po śmierci, jakiegokolwiek życie. Stary pastor wydawał się być szczęśliwym człowiekiem. Rozmawiał z Sandy, kiedy tylko go spotykał. Podawał mu rękę, mocną i suchą w uścisku, klepał go po ramieniu jak pan Patterson i służył mu radą w sprawach, o których, zdaniem Sandy'ego, ten człowiek nic nie mógł wiedzieć, takich jak dorastanie, bycie kozłem ofiarnym i temu podobne. Jednak uśmiech zawsze miał szczery i tylko trochę się mądrował. A jeżeli wiedział o rzeczach, o których Sandy nie miał pojęcia? Jak Sandy mógł się tego dowiedzieć? Nie było sposobu. Stary pastor już nie żył. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Uklęknął obok łóżka, najpierw zablokował krzesłem drzwi, i zaczął szeptać.

— O, Panie, jeżeli jest życie po życiu, jeżeli jest coś po śmierci, to niech pastor Davidson przemówi do mnie. Niech przyjdzie do mnie we śnie, a jeszcze lepiej na jawie i niech mi pokaże, że jest życie po życiu. Jeśli to zrobisz, Panie Boże, wtedy w ciebie uwierzę i będę chodził z mamą do kościoła i robił całą resztę. Amen. — Otworzył oczy. Był grzesznikiem, więc może nic się nie stanie, ale to chyba jeszcze lepszy powód, żeby Bóg chciał go uratować.

Dzisiaj nie odwiedzi Rian i w ten sposób okaże swoją wiarę wobec dowolnego Boga. Sięgnął pod łóżko, pod dywan i wyciągnął swój mały zbiór czasopism pornograficznych. Z całą premedytacją przedarł je na pół i jeszcze raz na pół. Wstał z podłogi i wyjrzał przez okno. Zobaczył, jak przejeżdża samochód. Zobaczył latarnię. Widział nieużytki ciągnące się aż do starej kopalni. Nie widział nic, co by przypominało Boga, i nic, co wyglądało, jakby kiedykolwiek dotykała tego boska ręka. Zmarszczył brwi. Czy to wszystko sztuczki? Czy jednak powinien iść do dworu? Nie, zostanie na miejscu. Zastanawiał się, czy mama chciałaby iść na spacer na Wzgórze Craigie. Wyszedł z pokoju i zszedł na dół.

## 8

Budzik zadzwonił o wpół do ósmej nazajutrz rano. Sandy wyrzucił rękę spod kołdry i wciągnął budzik do łóżka, próbując po omacku wyłączyć to cholerstwo. Wepchnął go pod poduszkę i poczekał, aż mechanizm się wyczerpie, potem osunął się z powrotem w sen. Nie śnił mu się pastor Davidson. Śniła mu się Rian. Był to długi sen, niczym jakaś opowieść. Już prawie mocno zasnął, kiedy uświadomił sobie, że właśnie dzisiaj wszyscy jadą do Kirkcakiy. Odrzucił kołdrę, zmuszając się do otwarcia oczu i półobrotem wyskoczył z łóżka.

Andy Wallace mył samochód. Sąsiedzi właśnie zaczęli wyjeżdżać na sobotnie zakupy. Słońce było chłodne, ale niebo zapowiadało dobry dzień. Andy namydlił dach samochodu. Gdzieniegdzie na farbie tworzyły się bąble, tam, gdzie rdza mozolnie przeżerała się na zewnątrz. To był wrak, a nie samochód, ale tylko na to było go stać. Jeżeli go hołubił i czule przemawiał, ten — choć zazwyczaj dławiąc się — ożywał na trochę. Sąsiadka uśmiechnęła się, mijając go, z pustymi, płóciennymi torbami w obu dłoniach. Jej mały syn, niepokieszony, szedł kilka kroków za nią.

— Ja chcę cukierków—jęczał.

— Wiesz, co dostaniesz — ostrzegła go matka.

Andy przyglądał się jej plecom. Była młoda, jeszcze przed trzydziestką, i ciało miała w formie. Jednak, jak wszystkie kobiety w Carsden, głos miała chropowaty i nie umiała się ubierać. Nosila dzinsy obcisłe, ale nie dosyć

obcisłe tam, gdzie trzeba, a na wysokich szpilkach kołysała się niepewnie. Syn miał na nogach obskurne buty po kimś starszym i szorował nimi po chodniku, jakby były podkute kamieniami. Andy widział, że chłopiec obserwuje go. Wrócił do mycia samochodu. Mąż sąsiadki naprawiał telewizory. Był gburowatym młodzikiem, który w domu często podnosił głos. Andy nie lubił przebywać u siebie w salonie, ponieważ docierały tam hałasy od sąsiadów. Telewizor chodził głośno, a co za tym idzie rozmowy też były głośne. Do tego radio, odkurzacz, zawođenje dziecka. Andy wolał korzystać z sypialni dla gości, którą zamienił w wygodny pokój do pracy. Było tu sporo jego książek, biurko, krzesło, maszyna do pisania, dwie dodatkowe kolumny połączone z radiem w salonie. Miał zamiar wyremontować dom podczas wakacji. Nie żeby wyglądał źle, ale nieswojo się czuł wśród kolorów wybranych przez kogoś innego.

Sam dom kupił okazyjnie za dwanaście tysięcy funtów. Kasa mieszkaniowa dała mu pożyczkę, ale to był błąd. Powinien się przenieść gdzie indziej, gdzie było trochę spokojniej, gdzieś na wieś. Jednak brało się pracę tam, gdzie można było znaleźć oferty, a razem z nią dom. W zasadzie był to jego pierwszy, własny dom. Podczas studiów mieszkał w wynajmowanych mieszkaniach i pokojach, a w ostatniej szkole, na okropnej stacji, zupełnie bez jakiegokolwiek swobody, gdyż jego gospodyni należała do starych pań-dewotek. Kręciła się pod jego drzwiami i wchodziła po nim do łazienki, żeby sprawdzić, czy należycie się zachował. Andy zastanawiał się, czy może by tak nie zostawić dla niej czegoś paskudnego, ale pod pewnymi względami dobra była z niej dusza, zawsze dawała mu specjalne śniadanie i nie zasługiwała na taką złośliwość. Kiedy był na ostatnim roku, na jednej imprezie zjawili się studenci weterynarii z Edynburga z workiem. Później z łazienki dobiegł kobiecy krzyk. W wannie siedziały zeszywniałe zwłoki owczarka niemieckiego, cuchnące formaliną, z papierosem zwisającym z pyska. Wówczas dla tych pijanych imprezowiczów to był dobry kawał, ale w końcu łazienka nie należała do Andy'ego.

Pomijając zdechłe psy, to były dobre czasy. A teraz, chociaż dopiero skończył trzydzieści lat, czuł, że już mu leci z górki. W pewnym stopniu Mary rozświetlała mu życie, ale czasami, kiedy robił się sentymentalny, myślał, że starzeje się i nie ma już nic przed sobą, jedynie Syzyfowe życie nauczyciela. Obserwował, jak ten proces rozwijał się przed nim. Kiedy dostał klasę trzynastolatków, świeżo wypuszczonych z podstawówki, jeszcze



tlila się w nich iskra, twórcze zacięcie i wiara. Wraz z biegiem lat zastępowała ją niewiara, zainteresowanie obumierało, a wartości — osłabiające, rodzinne wartości — rodziców i starszych brały górę i ściągały ich do przeciętności. Z niektórymi widywał się, kiedy skończyli szkołę. Inni nauczyciele, przyjaciele, mówili, że to oznaka dobrego nauczyciela, kiedy byli uczniowie wracali, by porozmawiać. Jeżeli taka była prawda, to był dobrym nauczycielem. I wyczuwał wyraźne zgorszenie jego postawą u niektórych starszych, surowych nauczycieli.

— Panie Wallace, nie opłaca się zbyt spoufalać z dziećmi, a przynajmniej wystawiać się na widok przy takim spoufalaniu. To prowadzi do niepokojów, panie Wallace, podkopywania autorytetu, dzięki któremu mamy nad nimi kontrolę.

Tyle usłyszał od zastępcy dyrektora, przysadzistego, łysiejącego mężczyzny, który zdobył jakiś medal podczas drugiej wojny światowej i nosił go w niedzielę do kościoła, i który terroryzował dzieci, pokazując im, co może zrobić za pomocą swojej dyscypliny z laską kredy. To było żałosne. Nawet gorzej. Dziewięćdziesiąt procent dzieciaków nie miało żadnego autorytetu. Skoro zakazano stosowania pasa, zwolennicy dyscypliny widzieli nadciągający chaos i nie mieli w niczym oparcia, było zbyt późno, żeby zaprzyjaźnić się ze swoimi uczniami. W tych czasach młodzież zdecydowanie mogła złamać słabych nauczycieli. To była wojna, ale można ją było wygrać, w dużym stopniu, poprzez arbitraż. Musiało dojść do rozmów. Nie był taki jak nauczyciel historii, George McNair, który po lekcjach wyzywał niedyscyplinowanych uczniów na pojedynki na boisku za głównym budynkiem. Był to jeden ze sposobów na zyskanie szacunku, ale jaka była cena za przegraną? Kiedyś McNair zostanie pokonany w takiej bójce. Gdzie się wtedy podzieje? Sam ustawi się pod ścianą w zaułku.

Andy pochylił się, żeby umyć kołpaki, i poczuł, jak pasek wrzyna mu się w brzuch. Mało ćwiczył, chociaż czasami pomagał podczas zajęć z piłki nożnej. Tego popołudnia może pojedzie gdzieś z Mary, a potem pójda na spacer, w zależności od pogody. Boże, jak jej pragnął. Mocno, mocno. Od wielu miesięcy nie było kobiety w jego życiu. Potrzebował więcej od Mary, niż tylko jej towarzystwa i rozmów. Chciał, aby jej srebrnoczarne włosy spływały luźno na jego nagą pierś. Wiedział, że istnieją konkretne przeszkody. Czym innym jest widywanie się z matką ucznia, chociaż i to było ryzykowne, ale żeby była jego kochanką... Ach, żeby tylko Sandy skończył

szkołę przed wakacjami. Żeby nie trzeba było czekać do Gwiazdki. Jednak, skoro chłopak zdał już maturę, nie będzie więcej oskarżeń o manipulowanie ocenami. Przynajmniej nikt nie wykorzysta tego, aby zagrozić jego związkowi z Mary. Chociaż do świąt problem będzie istniał.

Słońce mu doskwierało. Mrużąc oczy, spojrzał w niebo. Było niebieskie, bardziej niebieskie od morza w Kirkcakiy. Uśmiechnął się do niego i miał nadzieję, że to dobry znak. Wyprostował się i rozciągnął kręgosłup. Nie miał kondycji. Przyjrzał się domowi, swojemu domowi. W tej dzielnicy domy nie miały kominów. Wyglądały jak zbudowane z klocków lego. Mył samochód w Legolandzie w słoneczny, sobotni poranek. Potrząsnął głową i zaśmiał się pod nosem. Postanowił, że nie da się dzisiaj niczemu. Zupełnie niczemu.

Kiedy autobus ruszył, nowa grupa pasażerów objęła się od ścian, wchodząc krętymi schodkami na górny pokład, gdzie wędrowała na sam koniec. Osunęli się na siedzenia i odwrócili się, aby popatrzeć na znikającą Main Street. Starzy ludzie, zataczający się pod ciężarem siatek, spoglądali niewidzącym wzrokiem za ryczącym pojazdem. Dzieci gapiły się na górny pokład. Chłopcy pokazywali w oknie gesty. Jechali do Kirkcakiy na cały dzień. Dzisiaj byli najważniejsi na świecie.

Sandy, chociaż nie okazywał tego po sobie, nie miał ochoty iść na górę. Przede wszystkim tam byli palacze, a od zapachu papierosów robiło mu się niedobrze. Poza tym nie wiedział, jakie gangi wsiądą do autobusu między Carsden a Kirkcakiy i zechcą odebrać mu prawo zasiadania w ostatnim rzędzie. Jedną rękę trzymał w kieszeni z pieniędzmi. Przyjrzał się umierającym, niezdrowym twarzom dookoła, twarzom wyglądającym przez pokryte sadzą okna jakby wpatrzonym w ekran telewizora. To byli zagubieni ludzie, puści niczym najkruchsze muszelki. Sandy przypomniał sobie czasy, kiedy babcia zabierała go na plażę w Kirkcakiy. Może pójdą tam dzisiaj, ale to będzie inna rola. Dzisiaj był częścią grupy, gangu. Będzie poruszać się inaczej i mówić inaczej, i zachowywać zupełnie inaczej. Idąc na autobus, patrzyli jeden na drugiego, jakby mieli przed sobą kogoś dorosłego. Naśladowali tych, którymi chcieli być. Pragnęli tej dorosłości jak szczeniaki machające ogonkami przed grzejącą się dużo większą suką. Sandy uśmiechnął się gorzko.

Chciał uciec przed tym wszystkim, jednak nie wiedział nawet, czym było „to”.

Mark zabrał ze sobą papierosy. Częstował nimi, jakby to były cygara na ślubie własnej córki. Sandy nie mógł odmówić. Zapalił, ale zaciągał się słabo, wydmuchując coś, czego wcale nie wciągnął. Pomimo to w ustach miał okropny smak. Żołądek zaczął wykonywać swój podróźny taniec. Najgorzej było w autobusach. Kiedy był jeszcze dzieckiem, babcia stawała z nim przy drzwiach i mówiła, mu że wtedy nie będzie mu niedobrze, i nigdy nie było.

Przyglądał się rzędomi twarzy i ich odbiciom w szybie. Słońce wlewało się do środka i pasażerowie zaczęli się gotować, jako że okna można było tylko lekko uchylić. Jeden ze staruszków patrzył na wiejską okolicę, jakby jej się dziwił. Głowa mu się trzęsa jak mechanicznej zabawce. Sandy pomyślał sobie, że ten człowiek musiał wiele przeżyć — wojnę, głód lat dwudziestych i trzydziestych, śmierć, zepsucie, szybkie zmiany w świecie. Co dobrego to mu dało? Wyglądał, jakby miał lada chwila umrzeć, nie pojawił się ani w połowie tego, co widział w życiu. Jedna wielka strata. To było kluczowe słowo. Może Sandy napisze o tym opowiadanie, jak wróci do domu. To wydawało się wystarczająco ważne, aby to opisać. Pisał dużo opowiadań i wierszy w swoim pokoju.

Rzucił niedopałek papierosa na brudną podłogę i rozgniół go stopą. Inni palili powoli, wciągając dym, jakby to było życie, przytrzymując, aż płuca domagały się nowego tlenu, wydychając powoli, z oczyma skupionymi na niebieskiej strużce. Byli takimi smokami. Dlatego właśnie palili. Sandy znowu się uśmiechnął. Colin miał gębę całą w pryszczach. Potężne, czerwone krosty trądziku okalały mu usta i pokrywały brodę. Niektóre z nich były zwieńczone żółtą główką. Obrzydliwość. Sandy miał gdzieś gdzieś jakiś pojedynczy pryszcz, ale płyny, które mama dla niego kupowała, strzegły go przed, jak to określała, ranami na całe życie. Teraz dotykał twarzy palcami. Poślinił jeden paznokieć i podrapał się przy nosie. Przyjrzał się palcowi. Pod paznokciem powstał chudy, szary półksiężyc. Wydłubał go innym paznokciem i rzucił na podłogę. Clark i Mark, siedzący między Colinem a Sandym, omawiali, jakie mogą kupić płyty. Mark trzymał na udach paczkę papierosów, jakby popisując się przed każdym, kto miał ochotę na niego spojrzeć. Pudełkiem zapalek potrząsał przy uchu i nucił jakiś przebój. Sandy spojrział na niego i zobaczył, że Colin też na niego patrzy. Uśmiechnęli się i Colin przyłożył palec do czoła. Sandy skinął głową.

Minawszy krótki odcinek wiejskiej okolicy, zbliżali się do osiedla mieszkaniowego na skraju rozrastającego się Kirkcakiy. Za kilka lat, myślał

Sandy, Carsden stanie się częścią Kirkcakiy, zamiast być, jak określał to jego nauczyciel geografii, miastem-sypialnią. Staruszek z trzęsącą się głową patrzył na te wszystkie białe domy stojące tam, gdzie kiedyś rozciągały się pola. Usta ułożył w mokre, pomarszczone O. Wskazywał domy. Mamrotał coś do siebie, ignorowany przez wszystkich. Sandy wiedział, że ludzie są naiwni. Nie zaakceptują tego, co dzieje się na świecie. A jednak, w pewnym sensie, byli za to odpowiedzialni. Nie, to nie było właściwe. Ludzie gdzie indziej, daleko, daleko od Carsden, oni i te nowe domy, ponosili winę. To oni przesuwali granice miasta, znowu o kilka stóp. Oni byli winni, jednak Sandy nawet nie wiedział, kim są.

Pokiwał głową. Kiedyś sam będzie stary, ale nie będzie taki głupi jak ten staruszek naprzeciw niego. Patrzył przez okno, jak rośnie przed nim Kirkcakiy, obnażając się przed nim z dumą. Wydawało się jednocześnie złowieszcze i obce. Były tu miejsca, gdzie można było się całkowicie zgubić. Były tu gangi, bardziej zajadłe od wszystkich w Carsden. Były wieżowce i ciemne, spienione morze, tysiące ludzi, ludzi, których dom teraz najeżdżali. Minawszy dziewiętnastowieczne kamieniczki, otaczające jakby wstydliwie powojenne centrum handlowe, z piętra autobusu Sandy dostrzegł morze, Morze Północne. Nawet dzisiaj, kiedy słońce stało wysoko, morze było sine, jak w przeszłości. Pasażerowie autobusu zaczęli się denerwować. Starsi ludzie szybko zbierali bagaże, żeby nikogo nie opóźnić. Młode rodziny pokrzykiwały do siebie. Ojciec z papierosem w ustach siłował się z najmłodszym dzieckiem, a matka popychała przed sobą resztę dzieci, przez co jeszcze głośniej wrzeszczały. Mark i Clark wstali z siedzeń i zerkali na sklepy i sobotni tłum.

— No, to jaki mamy plan? — sensownie zapytał Colin.

— Sklepu z płytami — zdecydował Clark.

— I pub — dodał Mark.

Wszyscy spojrzeli na Sandy'ego, czekając na jego sugestie. Ciągłe był przerażony rozgrywającym się przed nim totalnym chaosem. Staruszek zataczał się w stronę schodów. A gdyby autobus się przewrócił? Wtedy ci wszyscy ludzie poleciliby jeden na drugiego, zadusiliby się w gmatwaninie rąk i krzyków. Horror. Wtedy on wybiłby szybko tylne okno i wy dostał na zewnątrz. Sprowadziłby pomoc. Spojrzał na czekających kolegów.

— Sandy, to jaki plan?

— Nad morze — powiedział, wycierając pot z czoła. — Nad morze.

Zaśmiali się i pokleпали go. Pomyśleli, że żartuje.

Andy Wallace podkręcił silnik raz, a potem zgasił go, wyskoczył z samochodu i otworzył skrzypiącą bramę do domu Mary Miller. Zabrał ze sobą koc, tak jej powiedział, na wypadek, gdyby wybrali się na piknik. Mary uznała, że to dobry pomysł. Znalazła mięsną pastę i ser. Zrobiła kanapki, a Andy oglądał bibeloty w salonie. Większość z nich należała do matki Mary albo nawet do jej babki. Inne kupił Sandy na urodziny mamy albo na Gwiazdkę, jak był chłopcem. Andy nie cierpiał tych drobiazgów, głównie tanich reprodukcji, które zaśmiecały większość domów klasy robotniczej i średniej w tej części hrabstwa Fife. Dla niego te domy były jak bezużyteczne sklepy z upominkami — wszędzie tandetne souveniry z wakacji i głupie zwierzątka. Należały do zmyślnego świata i nie miały żadnego związku z rzeczywistością. Jednak bibeloty Mary podobały mu się; przede wszystkim należały do Mary, a poza tym, były to rzadkie, oryginalne przedmioty (poza dodatkami Sandy'ego, które łatwo można było odróżnić). Były gustowne. Bawił się właśnie przyciskiem do papieru. Był ciężki i kiedy podrzucał go w dłoni, wydawał satysfakcjonujące praśnięcie. Takie drobiazgi lubił.

Mary umieściła wszystko w puszcze po ciastkach: kanapki już zapakowane, trochę herbatników, dwa jajka na twardo, serwetki, sól, pieprz, nóż. Nalała do termosu kawę z mlekiem. Andy podszedł, kiedy nalewała wodę. I myślała sobie o czasach, kiedy to w zimne noce nalewała do butelki gorącą wodę, zadanie nadzorowane przez jej matkę. Andy powiedział, że ma w samochodzie butelkę wina. Mary wyciągnęła więc z kredensu dwa kieliszki i wytarła je. Uśmiechnęli się oboje. On dalej się uśmiechał. Po pikniku i winie, na kocu, gdzieś na odosobnionej łące, kto odmówi jego żądaniom?

Mark śmiał się. Ukradł parę przecenionych singli z lady w małym sklepie i nie został złapany. Wachlował się nimi i śmiał. Inni uśmiechali się nerwowo. Sandy odważył się odwrócić za siebie, tylko żeby się co do tego upewnić. Będą próbowali wejść do ABC na film dozwolony od osiemnastu lat, ale najpierw zjedzą zapiekankę i frytki w piekarni. Potem małe piwo dla każdego w Harbour Tavern. Szli teraz High Street, z jednego końca na drugi, omijając wymęczonych zakupami ludzi. Innym gangom, składającym się co najwyżej z czterech chłopaków w ich wieku, rzucali zaczepne spojżenia. Do dziewczyn w obcisłych dzinsach i skąpych koszulkach uśmie-



chali się. Clark zagwizdał głośno przez okno sklepu do jednej dziewczyny za ladą. Sandy śpiewał jakiś przebój, i to głośniej niż normalnie miał w zwyczaju.

Kupujący patrzyli na niego podejrzliwie, a on nawet się nie rumienił. Bawili się dobrze w to popołudnie. Była sobota. Żył się.

Kiedy dotarli do Harbour Tavern, przedtem hałaśliwie spożywszy tłusty lunch, zbacząc przy tym nieco na esplanadę, Colin był tym dzielnym, który jako pierwszy przeszedł przez wyszczerbione drzwi wprost w dym, piwo i warkot telewizora. Sandy trzymał się z tyłu. Zobaczył coś. Niedaleko Harbour Tavern, po drugiej stronie ulicy, nad salonem gier była sala bilardowa. I to Robbie rozmawiał z Rian przed wejściem do niej. Sandy uświadomił sobie, że po raz pierwszy widzi któreś z nich poza terenem dworu. Wyglądali niestosownie, jakby jakaś senna zjawa pojawiła się w rzeczywistym życiu. Sandy patrzył, jak Robbie wchodzi do sali z podniszczonym futerałem na kij pod pachą. Rian spojrzała na swoje stopy i usiadła na progu. Oparła głowę na dłoniach i patrzyła, jak przechodnie jedzą frytki i inne rzeczy z apetytem. Sandy domyślił się, że jest głodna. Czuł się winny. Serce mu łomotało. Pieniądze ciążyły mu w kieszeni. Jednak nie chciał, aby kole-dzy dowiedzieli się o Rian. Słyszał, jak wołają go ze środka, więc pchnął drzwi. Rian spojrzała na niego z naprzeciwka, a on szybko zamknął drzwi za sobą.

Pośrodku pubu czterech mężczyzn grało w bilard i obrzucało się przekleństwami. Byli rozochoceni i praktycznie stanowili jedyną klientelę w barze. Szafa grająca toczyła walkę z telewizorem, z którego komentator wyścigów uchylił akurat kapelusza w stronę Sandy'ego i mamrotał coś o popołudniowych wyścigach. Sandy poszukał zegara. Było dwadzieścia po pierwszej. Kolegom podawano już piwo przy barze. Barman był uprzejmy, chociaż wiedział, że oni wszyscy są nieletni. Odeszli pokornie, ale w pełni zadowoleni, ze szklankami, do stolika w kącie. Colin podniósł gazetę i zaczął czytać nonszalancko. Mark i Clark połykali łączywie piwo i rozglądali się dookoła, badając wnętrze baru niczym pionierzy na nowym kontynencie. Sandy, obsługiwany jako ostatni, zastanawiał się, co robić. Od jakiegoś czasu nie spotykał się z Rian. Chciał się z nią teraz zobaczyć, szczególnie kiedy Robin był gdzie indziej, ale jak mógł odejść od kolegów? Usiadł przy stole. Nie wycierano go ostatnio, jeżeli w ogóle za życia tu obecnych. Okrągłe ślady zachodziły jedne na drugie, tworząc złożone dzieło sztuki.

Sandy zrobił jeszcze kilka kółek dnem szklanki. Jego mama, kiedy piekła, wycinała z ciasta kółka brzegiem takiego szkła. Obwiódł palcem brzeg swojej zimnej, mokrej szklanki. Mark i Clark rozmawiali ściszonymi, pełnymi godności głosami. Patrzyli, jak tamci mężczyźni grają w bilard, ale niezbyt nachalnie.

— Film zaczyna się za dwadzieścia minut — powiedział Sandy, pociągawszy długi łyk piwa, przez co poczuł, że ma w sobie pełno gazu, aż zrobiło mu się niedobrze. — Przedtem jednak muszę coś zrobić. Zostawię was tutaj i zobaczymy się w kinie. W porządku?

Popatrzyli na niego.

— Tchórzysz — powiedział Clark.

A Colin potarł się po twarzy, lekko dotykając krajobrazu trądziku wokół ust.

— Niech ci będzie — powiedział, sięgając tą samą ręką po szklanę. — Na razie.

— Ktoś to chce? — zapytał Sandy, wskazując swoją szklanę.

Wstał. Ochotników było trzech. Wyszedł na przenikliwe słońce i świeże powietrze. Ona odleciała jednak ze swojej grzędy. Cholera. Pospiesznie przeszedł przez jezdnię, aż w kieszeni zabręczały mu drobne. Może poszła zebrać o pieniądze najedzenie. Miał pieniądze i mógł jej dać. Otworzył drzwi do sali bilardowej, wszedł po schodach i zajrzał do środka przez szklane drzwi. Był tam Robbie, grał sam i przeklinał złe uderzenie, rozglądając się ukradkiem po innych grających. Nie było widać Rian. Sandy zbiegł po schodach, biorąc po dwa stopnie na raz i minął znowu drzwi. Spojrzał w lewo i w prawo. Tyle tutaj kręciło się ludzi i ciągle ktoś zachodził mu drogę. Wrócił High Street, zaglądając do sklepów i często przechodząc na drugą stronę, aby zintensyfikować poszukiwania. Ludzie już ustawiali się w kolejce do kina. Nie miał za dużo czasu. Gdzie ona jest? Pamiętał jej pocałunki. Nie potrafił przywołać jej twarzy, ale znał jej pocałunki tak, jak kiedyś znał pierś matki. To były nierozzerwalne siły. Trwał przy obrazach Rian i czuł, jak koszula przylepiała mu się do pleców, gdy biegł.

Na drugim końcu High Street przeklął daremność swoich poszukiwań. Postanowił pójść skrótem na esplanadę. O tak, jeżeli czekała na Robbiego, to równie dobrze mogła czekać tam. Znalazł wąski zaułek między dwoma sklepami i pospieszył się, uświadamiając sobie nieomal jednocześnie, że zupełnie jak we śnie, Rian idzie w jego stronę z daleka, ze wzrokiem skie-

rowanym w ziemię, na zmęczonych wyraźnie nogach. Jakiś człowiek odchodził w przeciwnym kierunku, w stronę esplanady. Sandy zatrzymał się. Rian podniosła wzrok. Twarz miała czerwoną, usta jeszcze bardziej czerwone. Była zmieszana jego nagłym pojawieniem się, tak samo jak on. Stali oddaleni o kilka kroków, Sandy cały spocony i zdyszany.

— Rian? — powiedział, zbliżając się o krok. Potem przeniósł wzrok poza nią, tam, gdzie był ten człowiek. — Co tu robisz?

Była złą aktorką. — Och, spacerowałam. Czekam na Robbiego. Gra w bilard. Chyba traci pieniądze. Właśnie... — Uśmiechnęła się do niego. Oczy miała trochę wilgotne, jak muszle, jakby obmył je przyływ. — Chodźmy na spacer — dodała, biorąc go pod ramię. — Co tutaj robisz? Chyba biegłeś. Czy to nie ty wchodziłeś do pubu obok sali bilardowej?

Zabierała go z powrotem na High Street. Sandy panikował. Nie chciał tam iść, tam, do tych wszystkich ludzi, gdzie kryli się wszyscy potencjalni wrogowie, gdzie koledzy mogli go zobaczyć z nią. Szarpnął ją za rękę.

— Nie — powiedział — tędy lepiej. — A ona, uległa, pozwoliła zaprowadzić się nad morze.

Usiedli na pagórku, pod gładem, który stanowił doskonałą ochronę przed wiatrem. Rozmawiali i śmiali się, jedli i pili. Mary poczuła się szczęśliwsza, niż była od dawna. Patrzyła na swojego „młodego pana”, jak go nazywała, i była szczęśliwa. Był idealnym dżentelmenem. Częstoował ją winem i opowiadał śmieszne historyjki o szkole. Jedną z nich odegrał dla niej. Zakrzuszyła się pić i dostała czkawki, którą trudno było opanować. Wino skończyło się. Zdradził jej pewien sekret. W samochodzie miał jeszcze jedną butelkę. Puścił oko i pobiegł po wino. Mary zdusiła czkawkę i próbowała myśleć logicznie. Z tego miejsca na zboczu widziała w oddali Loch Leven. Łódki huśtały się na spokojnej powierzchni jeziora, na pewno łowiono z nich ryby. Kinross było jeszcze dalej. Wybierali się tam na kolację, chociaż nie zostawiła Sandy’emu wiadomości, że późno wróci. Andy powiedział jej, że teraz kolej, aby ona dobrze się zabawiła. Zgodziła się z nim bez zastanowienia. Słyszała, jak śpiewa, gramoląc się do niej z powrotem, z roziskrzonymi oczyma i butelką rozhuśtaną w ręku.

Jedli banany i winogrona, siedząc na falochronie. Był odpływ. Złowieszczy trawler stał w pewnej odległości, na wodzie koloru stali. Sandy chciał ją zapytać o tego mężczyznę, ale nie mógł się zmusić, aby wypowiedzieć te słowa. Mówili o sprawach banalnych. Głos miała delikatny, jak coś żywego,

co można znaleźć na plaży po odpływie. Coś, czego nikt nie zabierze do domu, ponieważ wtedy mógłby to zniszczyć na zawsze. Opowiadała mu o swojej młodości i dzieciństwie i kilku wspomnieniach z okresu, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Sandy nie sięgał pamięcią tak daleko. Och, powiedziała mu, że to specjalny dar. Pamiętała, jak ciocia przystawiała ją do piersi i trzymała jej twarz przy tej dławiącej, ciemnej rzeczy dłużej, niż trwało karmienie. Mogło to trwać całe dni. Sandy zarumienił się po tym opisie. Spojrzał na nią odruchowo, ale twarz miała niewinną. Wspominała dalej. Pierwszy raz, kiedy widziała Robbiego pijanym. Pierwszy raz, kiedy posłano ją, aby zebrała. O tym, jak przenieśli się do dworu. O innych sytuacjach. Słońce było coraz niżej, zataczając łuc, aż oblało ich złotem. Sandy pomyślał, że już musi być późno. W końcu Rian odkaszlnęła i rzekła: — Sandy, muszę ci coś powiedzieć. Obiecuj, że nikomu nie powtórzysz. Obiecuj. — Pod jej upartym spojrzeniem skinał głową. Spuściła wzrok i mówiła dalej, a mewy bawiły się na brzegu, jakiś chłopiec dźgał też patykiem ciemne plamy na skraju wody. — Mówiłam ci, że musisz mi zaufać i nie wierzyć w nic, co powie ci Robbie. Musisz uwierzyć mi teraz na słowo. Robbie ma mnie dosyć. Ma dosyć zebrania. Wie i tak, że to ja przynoszę pieniądze. Sandy, on zaczął mnie sprzedawać. — Jej głos zamilkł całkowicie. Znowu zakaszlała, przełknęła i dodała: — Muszę robić różne rzeczy za pieniądze, no, wiesz, z mężczyznami. Nic naprawdę poważnego. Ale to okropne. — Jej głos zszedł do szeptu, stał się duchem w jego palącym uchu. — I chce, żebym oddawała mu potem pieniądze. Ten mężczyzna w zaułku... Ty prawie... No, wiesz.

Nie wiem, Rian, chciał powiedzieć. Powiedz mi. Powiedz. Wstydził się powiększającej erekcji, ale serce przepełniało mu obrzydzenie. Piwo, zapiekanka i owoce kręciły mu się w brzuchu.

— To jeszcze nie jest nic poważnego, ale boję się. Musieliśmy opuścić tabor, wiesz. To dlatego, że nasza ciocia Kittie chyba chciała mnie wykorzystać do tego samego. Teraz nie jestem pewna. Ale Robbie ciągle ją odwiedza. Chyba zatrąła mu myśli. Och, Sandy... — Na jej rzęsach połyskiwały łzy, ale nie spadały. — Nie wiem, co robić. Mam tylko Robbiego. Nie mów mu nic. Proszę. Ale tobie musiałam powiedzieć. Musiałam. Kocham cię, Sandy. — Spojrzała na niego i pociągnęła nosem.

Sandy wpatrywał się w miejsce, gdzie dwie mewy walczyły o kęsy jedzenia. Wracał myślą do wieczorów w dworze. To wszystko jakoś mu nie

pasowało. Czy Robbie nie wyglądał zwykle na przestraszonego? Czy to Rian nie była tą silną? Robbie był dla niego dobry, opowiadał różne rzeczy. Nie potrafił rozumować logicznie... Sandy pomyślał nagle, że na pewno minęła piąta. Film już leci. Teraz czekał na niego autobus. Jego mama. Koledzy. A Robbie?

— A co z Robbiem? — powiedział.

— A która godzina? — zapytała. Wzruszył ramionami. Rian z ła-twością ześlizgnęła się z murku i uwodzicielskim krokiem podeszła do spacerującego mężczyzny, który podał jej godzinę, obrzucając prowokacyjnym spojrzeniem.

Sandy przyglądał się jej, swojej dziewczynie. Zrozumiał, że nie ma siły, by uczynić ją naprawdę jego, że decyzja będzie należeć tylko i wyłącznie do niej. Oddalił tę myśl, ale mimo to czuł się zraniony.

— Minęła piąta — usłyszał od niej. — Chyba muszę poszukać Robbiego.

Szli razem esplanadą, ich ciała oddalone trochę, ręce zwisające blisko siebie. Mówili mało. Zostawił ją niedaleko sali bilardowej i wrócił esplanadą na przystanek. Wszedł do salonu gier, a właściciel zapytał go, czy może udowodnić swój wiek.

— Właśnie skończyłem osiemnaście — zaprotestował.

— Nie wyglądasz na tyle, synu. Jeżeli nie możesz udowodnić, ile masz lat, to musisz wyjść.

— Ale obsłużyli mnie w Harbour Tavern!

Zaskoczony znalazł się z powrotem na ulicy. W górze śmiały się mewy. Rzucił im spojrzenie, krążącym wysoko w swojej nienaruszalnej przestrzeni. Zbuduje skrzydła i będzie szybował obok nich, chwycił zwinnymi rękami, dusił i wrzucał do worka. Wtedy nikt nie będzie się z niego śmiał.

Colin, Clark i Mark byli rozpoznawalni nawet na tle nisko wiszącego, pomarańczowego słońca. Zbliżali się od strony High Street niczym wyczerpani rewolwerowcy. Sandy ruszył do nich.

— Hej, Sandy. I jak film? — zapytał Colin, zanim Sandy zdążył zadać mu to samo pytanie. — Wszedłeś?

Sandy potrzebował sekundy, aby uświadomić sobie prawdę.

— Pewnie — odpowiedział. — A gdzie wyście się podziewali?

— Nie weszliśmy. Za młodzi — odparł Colin, a Mark i Clark już wy-pytywali Sandy'ego o szczegóły.



Czterech chłopców, prawie mężczyzn, choć jeszcze ich za takich nie uznawano, szło z rękami w kieszeniach w stronę autobusu stojącego z włączonym silnikiem, a Sandy kłamał kolegom jak z nut o filmie, którego przed chwilą nie oglądał.

Przepraszam — powiedziała Mary. Szlochała. Bluzkę miała w nieładzie. Wyskubywała wełniane nitki z koca.

Andy drapał się w głowę, pocierał włosy. Westchnął.

— Proszę, nie, Mary, to ja przepraszam — mówił. — Nie powinienem próbować. Wybacz. Nie wiem... to wino i w ogóle. Poczulem, że... Przepraszam.

Szloch Mary przybrał na sile. Potrząsnęła gwałtownie głową. — Nie, nie, nie — powiedziała — to nie twoja wina. To *moja*. To wszystko przeze mnie. Ale musisz mnie wysłuchać, Andy. Nie chcę o tym rozmawiać, ale musisz mnie wysłuchać...

Andy położył się. Słońce wisiało nisko nad wzgórzami. Byli tak dalecy od wszystkich i wszystkiego. A jednak do tego nie doszło. Zaplanował wszystko, co do najmniejszego szczegółu, ale Mary na to nie zezwoliła. Było mu przede wszystkim wstyd. Tak dokładnie obliczył każdy szczegół. Drugą butelkę wina wypili do końca. Mary leżała na kocu z zamkniętymi oczyma. Lekki wiaterek zawiewał zza skały, gładząc ją delikatnie po twarzy, rozsypując jej na oczach delikatne pasemka srebrnych włosów. Andy pochylił się nisko i pocałował ją w szyję, potem w brodę, potem w chętnie usta. Położył się obok niej i wziął ją w ramiona. Ostatecznie, chociaż dużo później, spanikowała i odepchnęła go, z trudem chwytając powietrze. Usiadła prosto i sztywno. Zaczęła płakać.

Teraz zebrała się na odwagę, żeby mówić.

— Andy — zaczęła — nie byłam z mężczyzną przez ponad szesnaście lat. — Nadal skubała nitki z wełnianego koca. Andy obserwował jej palce, jak wydłubują dziury w materiale. — W zasadzie to od nocy... kiedy Sandy został... poczęty. Od tamtej nocy nie spałam z żadnym mężczyzną. — Podniosła na niego wzrok. Trudno było cokolwiek wyczytać z jej oczu, rozmarzonych, a jednocześnie opornych. — Boję się, to wszystko. Muszę mieć czas. Proszę, poczekaj. — Te słowa równo rozdzielały pauzy, jakby powtarzała z pamięci przemówienie.

Andy patrzył jej w oczy, kiedy mówiła, ale ona nagle je zamknęła, jakby

zmęczona. Pojedyncza łza wydostała się spod powieki — jak kurczak, który uciekł ze skorupki — i spłynęła po policzku.

— Chcesz o tym porozmawiać? — zapytał cicho. Potrząsnęła głową. Chciał nalegać, ale nie potrafił. Leżała w jego ramionach i drzemała, aż słońce oderwało się od ziemi i wieczór zrobił się zbyt chłodny, aby człowiek mógł tu spać. Pora wracać do domu.

## 9

Starszy mężczyzna, z rękami głęboko w kieszeniach, jakby wszytymi w materiał, splunął na ulubione miejsce na chodniku i obserwował chłopca zmrużonymi oczyma. Właśnie wyszedł od bukmachera, straciwszy ładnych parę funtów i pogrążony teraz w ponadczasowym zgorzknieniu, stanął wobec wspomnienia tragicznej śmierci swojego jedyne go syna. Obserwował uważnie, jak chłopak żwawo szedł ku niemu od strony Cardell. Zacisnął dłonie w pięści. Może i był stary, ale za sprawą nienawiści miał silne serce, a nienawidził tego chłopaka i tej kurewskiej wiedźmy, która go urodziła.

Sandy podszedł właśnie do niskiego murka wokół parterowych domków osiedla emerytów. Podciągnął się na niego, usiadł, spuszczać nogi, i myślał o Rian, o jej tajemniczych słowach. Czy mógł jej wierzyć? A jeśli tak, to co jeszcze przed nim ukrywała?

Znowu świeciło słońce, a w mieście nawet krążyły sceptyczne głosy o możliwości suszy. Sandy spojrział na drugą stronę ulicy, gdzie stał stragan z owocami. Nie miał dzisiaj pieniędzy na owoce. Jakiś mały, zagraniczny samochód zbliżył się do niego i zwolnił. Zatrzymał się. Ktoś spuścił okno i zawołał go. Młody mężczyzna, ale z brodą, wystawił głowę przez okno na tyle, na ile pozwalał mu pas bezpieczeństwa. Jego niebieskie oczy połyskiwały. Sandy nie mógł wytrzymać ich intensywności. Niby mimochodem spojrział w dal i przykucnął obok żółtego samochodu. Zobaczył zgarbioną sylwetkę starca obok totalizatora. Wiedział, kto to taki. Odszukał jedyne schronienie dla swoich oczu na pstrokatym asfalcie chodnika.

— Przepraszam — mówił mężczyzna — ale szukam kościoła pa-

rafialnego pod wezwaniem świętego Cuthberta. Chyba mam złe instrukcje. — Wyciągnął kartkę papieru z narysowanymi kilkoma czarnymi liniami. Akcent miał szkocki, ale nie z Fife. Na pewno był wykształcony. Mówił jak prezenter w telewizji. — Byłem już tu, ale zupełnie nie mam zmysłu orientacji.

Sandy skinął głową i zmarszczył czoło.

— No — odezwał się powoli — musi pan wrócić drogą, którą pan przyjechał, a potem niech pan skęci w lewo za mostem.

Mężczyzna skinął głową. Przyjechał z prawej strony, ze środkowego Fife, a może jeszcze dalej, może nawet z samego Edynburga. — Dziękuję ci bardzo — dodał. — Będę tu nowym pastorem, z woli Boga i ludzi. Czy zobaczę ciebie wraz z rodzicami kiedyś w kościele?

Sandy wbił w niego spojrzenie. Ale bezczelny! Mężczyzna uśmiechał się poprzez brodę i Sandy też wykrzywił sucho usta.

— Kiedyś — odparł. — Może kiedyś tak...

Pastor zaśmiał się. Otwarcie i naturalnie, pełną piersią. Jak dotąd, Sandy'emu podobał się nowy pastor. Tamten podkręcił okno. Samochód odjechał, szybko zawrócił na trzy i zatrąbiwszy klaksonem, na co Sandy zareagował machnięciem dłoni, znikł. A Sandy postanowił zignorować starca. Niech się gapi. Miał takie samo prawo tu być, jak każdy inny.

Matt Duncan splunął znowu. Mieszkał tu od sześćdziesięciu lat. Czy to nie jego powinno się pytać o drogę? Ale nie, ktoś się zatrzymał i zapytał tego brudnego gnojka. A niech tam, i niech wszyscy zapomną o jego synu, Mattym. Niech miasto sobie tam zapomni o tej tragedii, o nikczemności tej więdźmy. On za to nigdy nie zapomni. W ogniu własnego serca wykuwał podkowy. Dla niego nie było zapomnienia. Jego syn zginął w ogniu. Teraz ten ogień płonął w ojcu. Niech tam oni wszyscy zapomną. Lecz zanim on, Matt Duncan, umrze, będzie rozrachunek. Zmrużył oczy, aż widział tylko srebrną szczelinę. A w niej chłopaka, znowu siedzącego na murku. Rozmazywał się, zgarbiony goblin, pomiot czarownicy, coś nieważnego, co Matt Duncan rozgniecie twardą i nieczułą ręką, jakby wymazywał grzech.

**W** szafce kuchennej znajdowały się notesiki, a w tych wyblakłych reliktach drobnutkim i schludnym pismem jej babcia zapisała przepisy na pewne ziołowe leki. O ile Mary się orientowała, to właśnie była cała magia, jaką znała jej babcia.

Zabrała puszkę po ciastkach wypełnioną notesami do swojej sypialni i starannie zamknęła za sobą drzwi. Położyła się na łóżku. Zawiodła się na sobie. Jeżeli bała się Andy'ego, łagodnego Andy'ego, to była kompletna katastrofa i lepiej, żeby nie żyła. Jeszcze nie szukała trucizny, ale jakiegoś lekarstwa na rozluźnienie dla zestresowanych kobiet. W głębi serca wiedziała, że problem tkwił głęboko i nie mógł go wyleczyć żaden lek, jednak musiała spróbować, musiała coś zrobić. Inaczej postrada zmysły. Dla dobra Sandy'ego, jeszcze nie mogła na to pozwolić. Sandy, Sandy. On był dziełem jej życia. Teraz zdawał się tkwić w zawieszeniu. Ciągłe przywiązany do szkoły, jednocześnie nic nie robił z czasem, który mu tam został. Osiągnął wiek nijaki. Pragnęła mu pomóc, ale z drugiej strony, kim była, żeby komukolwiek pomagać? Wertowała kruche kartki, ale trudno było odczytać pismo. Na zdjęciach babcia była drobną osobą o szczupłej, pomarszczonej twarzy i dziecięcych dłoniach. Siwe pęki włosów wystawały jej z koka. Wyglądała śmiesznie, sędziwie i mądrze. Sandy dziwił się, że w pewnym stopniu jest z nią spokrewniony. Kiedy był mały, całymi godzinami oglądał jej zdjęcia i zadawał mamie i babci niezliczoną ilość pytań o to, kim są ci ludzie i co to za miejsca. Album z luźnymi zdjęciami leżał teraz nietknięty i tylko rzadko coś do niego dodawano, mimo że dała Sandy'emu aparat na jedenaste urodziny. Fotografie to wspomnienia o szczęśliwych czasach. Może dlatego właśnie tak rzadko korzystano z albumu. Od czasu... och, chciała tę wiedzę z siebie wyrzucić, wykrzyczeć! To było nie do zniesienia. Sandy, Sandy, Sandy, dlaczego nigdy nie zapytałeś, kim jest twój ojciec. Dlaczego? I dlaczego ona skrywała to tak głęboko i narażała się na plotki i podejrzenia przez te wszystkie lata?

Podsunęła notes sobie pod nos, wciągając silny zapach, zamknęła oczy, aby znowu zacząć płakać. Siedziała, cała drżąca, a łzy kapały głośno do puszek, ochlapując stare wspomnienia.

Wielebny Iain J. M. Darroch, magister, teolog, rozglądał się po swoim nowym kościele. Budynek był ponury, stary i przygnębiający. Pachniał wypolerowanymi ławkami i wilgotnymi krokwiemi. Jedynymi ozdobami były mosiężne poręcze, witraże przedstawiające Chrystusa i puste wazony na parapetach. Ruszył nawą. Kilka dni wcześniej przywieziono go tutaj, aby wstępnie rozejrzeć się, ale praktycznie wcale nie patrzył. Teraz jednak przyglądał się. Stali parafianie w liczbie stu trzydziestu. Sto komunikantów. Było paskudnie, ale podobała mu się perspektywa wyzwania, po ogranicze-

niach na studiach i koszmarnym okresie w roli asystenta w Oxfords, dzielnicy Edynburga. To był straszny rok, czas, kiedy na jego predyspozycje padł cień. Ale teraz był tutaj, w swojej pierwszej parafii; jeżeli zostanie zaakceptowany. Teraz mogło być tylko lepiej.

Pan Ancram, prezbiter, którego poznał podczas pierwszej wizyty, wszedł do kościoła małymi drzwiami obok ambony. Wylewnie przywitał się z młodym pastorem, przeprasząc, że nie było go wcześniej. Czy miał ochotę przejść teraz na plebanie? Czy miał ze sobą bagaż? Iain Darroch odpowiedział, że samochód ma dość mocno wyładowany, a reszta dobytku dojedzie ciężarówką za kilka godzin. Pan Ancram skinął głową. On i dwóch innych członków komitetu pełniących obowiązki pod nieobecność pastora, przyjechało do Oxfords wysłuchać kazania wielebnego Darrocha w poprzednią niedzielę. W trójkę uznali, że parafianie z całą pewnością zaakceptują młodego duchownego. Pastor raz jeszcze ogarnął wzrokiem swój nowy kościół. Wiedział, że pierwsze kazanie musi być stymulujące, bo inaczej wkrótce straci parafian. Tutaj wierni obawiali się młodych pastorów, to napisał do niego pastor z pobliskiej parafii w Cardell. Miał nadzieję, że wkrótce zobaczy się z wielebnym Walkerem. Wpierw jednak musiał zadowolić się i skończyć inauguracyjne kazanie, nad którym pracował od trzech dni. Bez walki nie odda ani jednego parafianina. I z pomocą boską uda mu się.

Iain Darroch urodził się we wschodnim zakątku hrabstwa Fife, w samym nosie szkockiego teriera, kiedy patrzy się na Fife na mapie, w Crail. To spokojny port rybacki, bardziej miejscowość turystyczna niż działająca przystań rybacka, chociaż kiedyś była ważna i prężna. Kiedy był dzieckiem, nie ciągnęło go do portu, pułapek na homary i kryjących się w nich potworów z kłapiącymi szczypcami. Był mołem książkowym. Rodzice skarżyli się, że za mało przebywa na słońcu. Może mieli rację. Teraz był blady i kościsty. Zapukał brodę, aby ukryć ziemistą cerę, ale nadal widać było jego wodniste oczy. Mama była dumna, że ma zamiar zostać pastorem. Ojciec natomiast zdziwił się, aie nie rozmawiał aalej o tym. Tak więc, bez zachęty ze strony ojca, chłopak poszedł na miejscowy uniwersytet w St. Andrews, a później na wydział teologii w Edynburgu. I to był jego szczyt. Mieścina w Fife, raczej martwa niż żywa. Nie jedna z kwitnących i cywilizowanych wiosek Wschodniej Szkocji, ale wymierająca osada górnicza, miejscowość, gdzie potrzeba było Boga, ale był tak mało widoczny, że większość miesz-



kańców odrzuciła go całkowicie. Mimo to miasteczko szczyliło się dwoma kościołami — jego własnym (jego *własnym*) i wielebnego Walkera. Miał nadzieję, że nie będą sobie nawzajem podkradać wiernych, a potem skarcił się za to w obliczu bezchmurnego nieba.

— Ładniejszego dnia nie można było sobie wymarzyć — powiedział pan Ancram.

— W rzeczy samej — odparł Iain Darroch. Przeszedł za nim przez ruchliwą ulicę. — Dokąd ta droga prowadzi? — zapytał.

— W tę stronę do Kirkcakiy — odpowiedział prezbiter — a w drugą do Lochgelly. A skąd pastor przyjechał?

— Zdaje się, że źle przeczytałem wskazówki. Jechałem przez Lochgelly, a skończyło się na tym, że dotarłem od strony Dundell.

— Tak, to zdecydowanie naokoło. Ale tylko tak można poznać naszą okolicę.

— W rzeczy samej. — Ian Darroch był świadom, że starając się wywrzeć wrażenie na panu Ancramie, mówił jak nudny pastor, do tego prze-mądrzały. Mówił zupełnie jak pastor z jego parafii w Oxfangs. Skarcił się znowu za tę okrutną myśl. To musiały być diabelskie sprawy.

Plebania mieściła się w małym domku.

— Ten dom kiedyś należał do jednej z kopalń — wyjaśnił pan Ancram. — Mieszkał tu jeden ze sztygarów albo ktoś taki. Do parafii należy, zdaje się, od sześćdziesiątego piątego roku. Ładny domek. Choć może trochę zbyt obszerny jak dla kawalera. Ale wielebnemu Davidsonowi i jego żonie podobało się tu.

Ancram spojrział na niego. To była pierwsza sugestia. Tutaj lubiano żonatyh pastorów, pomyślał Darroch.

— Tak, obejrzałem plebanię w poniedziałek — powiedział pastor. — Pamięta pan? To rzeczywiście ładny dom.

Pan Ancram otworzył drzwi małym pękiem kluczy i wręczył go pastrowi.

— Wszystkie pańskie, pastorze. Zorientuje się pastor, do jakich drzwi pasują. — Uśmiechnął się.

Pastor odwzajemnił uśmiech. Był wdzięczny, że ma brodę. Mógł z niej korzystać jako zasłony przed zewnętrznym światem. Ukrył się teraz za nią tak, jak schowałby się za żywopłotem. Wszedł do swojego domu, do swojego nowego domu. Czuło się zapach poprzednich mieszkańców. Pobłogo-

sławił go bezgłośnie na wejściu w nadziei, że poprzedni mieszkańcy zrozumieją aluzję i pierzchną ze swoimi woniami starych łóżek i wypolerowanych komód. Otwierał drzwi i te okna, które dały się otworzyć. Zaglądał do szuflad i szaf, i z zadowoleniem odkrył, że — tak, jak obiecano — w domu znajdowała się wystarczająca ilość obrusów i pościeli, sztućców i porcelany, by zaspokoić jego podstawowe potrzeby. Przy pomocy prezbitera, przyniósł z samochodu niektóre z kartonów. Z pierwszego wyjął elektryczny czajnik. Odkręcił kran w kuchni i spuszczał wodę przez pełną minutę, potem nappełnił czajnik i podłączył do prądu w poręcznym gniazdku. Z tego samego kartonu wydobył słoik z kawą i plastikowy pojemnik z mlekiem w proszku. Pan Ancram wrócił akurat z ubikacji, potrząsając dłońmi; może aby pokazać, że je umył.

— Napije się pan kawy? — zaproponował Darroch, dumny ze swej sprawności w tej sferze.

Ancram potrząsnął głową, nadal wachlując dłońmi. — Nie piję takich rzeczy — poinformował pastora. — Działa drażniąco.

Darroch spojrział na prezbitera, zapamiętując, że do tej pory pan Ancram nie zaproponował jemu, nowemu pastorowi, aby zwracał się do niego po imieniu, jakiegokolwiek ono było.

— W zasadzie to muszę się zbierać — dodał Ancram, zerkając na zegarek. — Mam odebrać żonę z supermarketu w Kirkcakiy. Robi zakupy na cały miesiąc.

Darroch skinął głową, nasypując do kubka jedną łyżeczkę mleka i dwie kawy (tylko na przekór prezbiterowi).

— Przepraszam, że nie pomogę w przeprowadzce — tłumaczył się prezbiter. — Wpadnę później zobaczyć, jak sobie pastor radzi. Na razie.

— Do widzenia, panie Ancram — powiedział Darroch — i dziękuje za pomoc.

Zignorował wyjście prezbitera i zajął się przeszukiwaniem mniejszego kartonu, aż znalazł paczkę herbatników z kremem. Uśmiechnął się do siebie. Luksus. Przeszedł do salonu i usiadł w dużym fotelu przed kominkiem. Przez otwarte okno wpadał wiatr. Przyjemny powiew. Darroch siedział i pił kawę. Była o wiele za mocna. Przyglądał się nowemu otoczeniu. Naprawdę nie miało znaczenia, gdzie był — Crail, Oxfords, Carsden — sytuacja i realia były taicie same. Kościół znajdował się w fazie ostrego rozpadu, który najwyraźniej przebiegał równolegle do rozpadu całej społeczności. Który

był pierwszy? Czy postępowały równo? Wydawało mu się, że działa tu jakaś większa, znacznie potężniejsza siła, było to działanie zła. Nie wyczuwał Boga w tym mieście. Jego zadaniem będzie sprowadzić Boga z powrotem do tych ludzi, którzy bardziej byli chodzącymi cieniami niż prawdziwymi ludźmi z krwi i kości. Kościół rozleniwiał się. Otwarte rany trzeba było zamknąć. Boże, pozwól mu dobrze wykonać to zadanie. Zebrał ustami kruzynki z palców i pomodlił się.

Co lato Andy Wallace zaczynał czytać „Don Kichota” Cervantesa i co lato nie udawało mu się skończyć. Nie widział powodu, dlaczego tego lata miało być inaczej. Czytał książkę od trzech godzin, kiedy poczuł, jak oczy i umysł odsuwają się od lektury. Przeczytał jeszcze dwie strony, ale potem nie pamiętał z nich najmniejszego szczegółu. Odłożył książkę i siedział, gapiąc się przed siebie. Myślał o Mary. Myślał o problemie, który chciał pomóc jej pokonać. Miał w domu podręczniki z zakresu seksuologii, niewiele mądrzejsze od wspomagaczy masturbacji, ale mimo to przekartkował je ponownie. Nie rzucały zbyt wiele światła na jego dylemat. Siedział w swoim gabinecie, który teraz był dla niego całym światem. Miał pracę do wykonania. Poza lekturą Cervantesa, musiał przygotować ćwiczenia, ocenić wypracowania i egzaminy oraz zająć się niedokończoną powieścią, która leżała w szufladzie, nietknięta od trzech miesięcy. Kiepska to była powieść, amatorska, ale samo skończenie jej będzie już wystarczającym sukcesem, nawet gdyby to miała być najgorsza powieść na świecie, której nikt poza nim nie przeczyta. Nie zajmował się nią zupełnie, od kiedy zaczął spotykać się z Mary. Ciągle myślał o Mary. Tamto sobotnie popołudnie na wzgórzu uparcie pobrzmiwało w jego pamięci jak kiepska piosenka w radiu. Ciągle na nowo wychwytywał tę melodię. Nie było przed nią ucieczki. Co zrobić z Mary. Mary, Mary, raz, dwa, trzy, cztery, co w twym ogródku dzieje się? Otrząsnął się z tych rozmyślań i usiadł przy biurku. Zdjął pokrywę z maszyny do pisania. Zaczął zapisywać myśli na czarnym, gumowym wálku. Widział mokry, granatowo-czarny atrament na bledszej czerni. Przycisnął palec do jednego ze słów i sprawdził odcisk. Lustrzane pismo. Roztarł napis, zmoczył palec i słowo znikło całkowicie. Było to łatwe na maszynie.

Kochana Mary,

Tak, znowu to samo — list od twojego starzejącego się brata. Jak ci leci? Jak układa się tobie ze starym Andym Belfrem? Mam nadzieję, że traktuje

cię tak, jak należy, itd. A mój mały Sandy? Już chyba dawno skończył egzaminy maturalne (?). Mam nadzieję, że przyjemnie spędza wakacje. Za kilka tygodni planuję wyjazd w północne strony tego pięknego kraju. Powiedz mu, że nie wie, co traci, skoro nie chce przyjechać przez morze do swojego utraconego wuja. Z korespondencji z moim i twoim bankiem widzę, że nie ruszyłaś jeszcze tego konta. Jak powiedziałem, siostrzyczko, ja też go nie tknę. Na wypadek, gdybyś ty potrzebowała pieniędzy. Wiem, że poruszam to w każdym liście, ale to dla mnie ważne. Chyba wiesz? Wygląda na to, że przenoszą mnie do naszego biura w Toronto. To prawdopodobnie oznacza, że stary Emerson zmęczył się tym, że ma tutaj kogoś tak wydajnego i zaufanego. Jednak, żarty na bok, to znaczy również, że blisko mi już do starych ramoli (och, mój ty smutku!). W zasadzie to zarabiam tyle, że od czasu do czasu mogę gdzieś zaprosić dziewczynę. Ostatnio spotykałem się z kilkoma paniami, z których jedna nawet jest znośna. Może sprawy się zmieniają. (Może gdzieś tam czyha już jakaś brzydka niespodzianka, ale nie wiem, gdzie).

Cóż, Mary, list nie jest długi, ale wiem, że jak zawsze, będziesz wyrozumiała. Ostatnio niewiele mam czasu dla siebie. Jak nie pracuję w firmie, to nad kobietami. Boże, jak kiedyś wyrzuci mnie Emerson, to zostanę chyba kabareciarzem! Co ty na to? Słuchaj, powiedz Sandy'emu, że w tym roku nie dostanie prezentu na Gwiazdkę, jeżeli natychmiast nie napisze listu do Świętego Toma. Dobrze? No, biuro wzywa. Już pora. Uważaj na siebie.

Tom

Całusy

## 10

Toneła. Zewsząd otaczały ją wodorosty. Jak węże oplatały jej ręce i nogi, okręcały się dookoła. Nie sięgała dna. Bańki drogocennego powietrza uciekały jej przez nos. Bolały ją płuca. Mózg mówił jej jedno, a serce drugie. W końcu wygrało serce. Otworzyła usta i woda wtargnęła do środka. Zaczęła się dławić. Robiło się jej ciemno przed oczyma. Wtedy uderzył ją ból, ześrodkował się w jej głowie, na samej skórze. Z trudem zaczęła kierować się

tam, gdzie, jak jej się wydawało, była powierzchnia. Długo przebywała pod rozmigotaną plamą światła, ale powoli dopływała do niej. Rozbiła powierzchnię łapczywym chwytem powietrza w usta i woda pociekła jej po brodzie, jak źle karmionemu dziecku. Ryknęła. Ból odezwał się teraz w żołądku, jakby brzuch rozpychał jej jakiś szybko rosnący embrion. Wytarła twarz i wykrzyczała niesprawiedliwość. Andy był przy niej, pocieszał ją. Trochę włosów wyszło jej razem z cebulkami i on wytarł je ze swoich rąk. Położył ją z powrotem na mokrej trawie. Sukienka przylegała do jej ciała. Była prawie naga. Jej ciało było wyraźnie widać przez nasiąkniętą bawełnę, jakby była tancerką odzianą w najdelikatniejszy jedwab. Leżała i odpoczywała, lecz Andy dotykał jej palcami. Pochylał się nad nią. Mówił coś, ale ona jeszcze miała wodę w uszach. Wychwyciła jedynie słowo „nagroda”. Ciągnął za sukienkę i leżał teraz na niej. Nagle uświadomiła sobie, co on chce zrobić. Pchnęła go, ale ręce miała słabe. Chciała mu powiedzieć, że już jest w ciąży. Próbowwała krzyczeć, ale z gardła dobiegł tylko bulgot wody. Stała się rybą, rzucającą się na brzegu, ciągle na żyłce. Bulgotała, protestując. Za Andym pojawił się zarys postaci. Potem dwie postacie, patrzyły z zainteresowaniem, z rękami z tyłu. Biła Andy'ego pięściami. Pozbyła się wody z płuc i krzyknęła...

Głowę miała przykrytą poduszką. Uwolniła się z niej, odgarnęła pościel i usiadła. Była złana potem. Za niebieskimi zasłonami było już jasno. Poszukała budzika, przysunęła do siebie, była piąta trzydzieści. Na dworze śpiewały ptaki. Co za koszmar. Potrząsnęła włosami i ułożyła je. Wyrównując prześcieradło, odkryła, że zmoczyła łóżko.

Wstała szybko, założyła kaptcie i zerwała prześcieradło. Zwinęła je pod ramię i po cichu zeszła do kuchni, unikając trzeszczących stopni, żeby nie obudzić Sandy'ego. W kuchni wepchnęła prześcieradło do kosza z praniem, naląła wody do czajnika, włączyła go i osunęła się na jeden ze stołków.

Przez ostatnie dwadzieścia lat bardzo rzadko śniło się jej, że tonie w gorącym strumieniu, ale nigdy dotąd Andy nie uczestniczył w tym śnie i nigdy nie zmoczyła łóżka. Powód, dla którego Andy znalazł się w nim teraz, był dla niej oczywisty. Zbierało się jej na płacz, ale woda się zagotowała, więc zrobiła herbatę, uznając, że już jest pora na śniadanie, posmarowała masłem chleb, który potem pokroiła na trójkątne kanapki. Wsypała do herbaty łyżeczkę cukru i zamieszała. Starła się sobie wytłumaczyć, że na to trzeba czasu, że wyleczy się z tego. Przewycięży to dzięki cierpliwości Andy'ego.



Miała nadzieję, że nie będzie musiała iść z tym do jakiegoś specjalisty. Nie mogła nikomu zdradzić swojej przerażającej historii. Nawet nie Andy'emu? W każdym razie nie teraz. Spojrzała na sufit. Farba była pęknięta od lampy aż do tylnych drzwi. Było tak od lat. Sandy spał akurat tam. Zamknęła na chwilę oczy. Nie, nie żałowała tego wszystkiego. Żal był gdzie indziej. Żal leżał w czymś wstydzie, w czymś wiecznym wstydzie.

Usłyszała, jak trzeszczą deski podłogi. Sandy poszedł powoli do łazienki. Spuścił wodę. Wrócił cicho do łóżka. Siedziała w milczeniu, zadowolona, że w tajemnicy wstała i nasłuchiwała go.

Sandy wytarł się papierem toaletowym, wrócił do łóżka i starał się omijać chłodną, lepką plamę na prześcieradle. Już długo nie miał tych polucji. Chciał znowu zasnąć, może by na nowo podjąć sen, ale nie mógł. Wsłuchiwał się w ciszę domu. Czasami wydawało mu się, że słyszy, jak matka oddycha. Naturalnie śniła mu się Rian. Chodziła nago po domu i dotykała przedmiotów. Obserwował ją, nic więcej. Wystarczyła sama jej nagość, aby doszedł. Zimna plama wilgoci była niczym rozdzwoniony budzik i przez nią sen nie miał zakończenia. Nie potrafił sobie przypomnieć dokładnie, w którym momencie wystrzelił. To było niezwykle. Pragnął Rian bardziej niż kiedykolwiek. Chciał spacerować z nią po Main Street, otaczając ramieniem, aby pokazać wszystkim, tym starym plotkarom i bezrobotnym facetom, i bandom gówniarzy, że była jego, tylko jego. Ale te historie, które mu opowiedziała; czy mogły być prawdziwe, a jeśli tak, to co właściwie robiła tym mężczyznom. A co Robbiemu, jeżeli o to chodzi? Sandy wiedział, że nie pokonałby Robbiego w czystej walce. Mógł jedynie odebrać mu Rian podstępem i sprowadzić ją tu, do ich domu. To był szalony plan. I jedyny, jaki miał. Jak mógł zapytać o to mamę? Czy zrozumiałaby? Z pewnością, kiedy przedstawiłby jej fakty, nie mogłaby odmówić. Ona, bardziej niż ktokolwiek inny, wiedziała, co to znaczy być odmieńcem, wygnańcem i polegać tylko na samej sobie. Powiedziałaby jej, że Rian znajduje się w takiej samej sytuacji. Swego rodzaju uchodźca. Zapytają, ale wpiery musi zobaczyć się z Rian. I musi dowiedzieć się prawdy, co oznaczało rozmowę z Robbiem, kiedy nie będzie przy nich Rian. Miał wiele do zrobienia... Strużka wodnistej spermy uciekła i spłynęła chłodno po udzie. Wytarł ją do sucha i miał nadzieję, że nie zostanie plama na prześcieradle.

Mary, kiedy sprzątała pokój Sandy'ego później tego dnia, pod jego nieobecność (nienawidził, kiedy to robiła, gdyż uznawał to za naruszenie jego prywatności), znalazła stwardniałą plamę na białym prześcieradle. Uśmiechnęła się lekko, kiedy założyła wierzchnie prześcieradło pod materac i przykryła łóżko kocem. Już pora, żeby Sandy znalazł sobie dziewczynę, pomyślała w duchu. Był już trochę za duży na takie rzeczy. Zreflektowała się — jak mogła tak myśleć! Chłopak ma dopiero piętnaście lat i dziesięć miesięcy. Była w końcu jego matką. Na pewno nie chciała, aby wpędził jakąś dziewczynę w kłopoty. Nocne wytryski to nic złego. Pozbierała jakieś czasopisma i ułożyła je obok łóżka. Potem odkurzała, spryskując drewniane powierzchnie werniksem. Zapach był piękny. Nic tak nie pachniało. Przysunęła ścierkę do nosa. Cudowny. Nucąc pod nosem, zamknęła drzwi i poszła do swojego pokoju. Rzadko odkurzała w tamtym pokoiku.

Dzisiaj po południu pójdzie na groby i opowie mamie o cudownej pogodzie, o zakazie podlewania. Później Andy miał ją zabrać do Kirkcaldy. Zrobi więc listę zakupów, chociaż on będzie rozczarowany, że to nie jest wycieczka wyłącznie dla przyjemności. Miała nadzieję, że Sandy też z nimi pojedzie. Między Andym a jej synem panowało napięcie, co było całkiem zrozumiałe, ale częste spotkania i wzajemne poznanie się były jedynym sposobem, aby to przerwać. Kiedy obficie rozpylała politurę na przedwojennej komodzie, pomyślała, że jest psychologiem-amatorem i swatką. Powoli wcierała środek konserwujący, nucąc nonsensowną melodię i uśmiechając się. Drewno upodabniało się do powierzchni stawu i kiedy tak Mary w nie się wpatrywała, odskoczyła nagle na wspomnienie nocnego koszmaru. Zakreśliło jej się w głowie i chwyciła się krawędzi komody, aż odzyskała wzrok. Czas uporządkować stare sprawy. Koniecznie. O tym nie mogła rozmawiać z matką, nie, kiedy ojciec słuchał. A tego nigdy nie była pewna. Szczególnie dzisiaj, kiedy miała im opowiedzieć o liście od Toma. Ojciec miał tam dzisiaj być. Robiła się nerwowa, kiedy ojciec mógł się przysłuchiwać. Człowiek, który się zabił. Była pewna, że to samobójstwo. Wybacz mu, Boże. Dobry Panie Boże, wybacz mu. Znowu zaczęła odkurzać. Samobójstwo, z jej przyczyny.

W mieście był nowy pastor, tak mówiono. Długo nie trwało, zanim się zjawił. Zmarł król, niech żyje król, bez należytnej żałoby. Spodziewała się czegoś lepszego po Kościele. Pójdzie tam w tym tygodniu i zobaczy, jak ten nowy wygląda. Chyba raczej go nie polubi tak, jak lubiła czcigodnego

Davidsona. A jednak musiała dać mu szansę. Każdy zasługiwał na szansę.

A może, przypadkiem, okaże się, że będzie mogła z nim porozmawiać.

## 11

Jedyny dzwon kościoła pod wezwaniem świętego Cuthberta rozbrzmiewał nad uśpionymi dachami skacowanych domostw. Niedzielny poranek rozpoczął się od leniwych tras chłopców roznoszących gazety. Kilku właścicieli niechętnie wyprowadzało nadgorliwe psy. Ptaki ucztowały na całej długości Main Street na porzuconych papierach po rybach z frytkami po hucznej nocy. Poranna bryza turlała ulicą te dziobane kulki papieru aż przed sam kościół i składała pod jego wilgotnymi ścianami jak jakieś donosy z kłótni sąsiadów.

Czasami przed kioskiem zatrzymywał się samochód po niedzielną gazetę i zapas papierosów na cały dzień. Kałuża wymiocin ostatecznie i nieubłagane została wniesiona na butach do sklepu, gdzie jej lepki zapach uzmysłowili sobie ci, którzy tak uważnie unikali zbliżenia się do niej na zewnątrz. Starsze panie w starych kapeluszach przypiętych do włosów pomrukiwały coś posepnie pod adresem sprzedawcy o zapuchniętych oczach, zanim wyszły z miętówkami do kościoła. Szły powoli przez całą Main Street, omawiając tygodniową porcję plotek, aż dotarły na dziedziniec kościelny niezgrabnie wysypany żwirem i stawały przed drzwiami, rozmawiając, nim chłód zmuszał je do wejścia, gdzie w kruchcie stał nienaganny i schludny prezbiter, uśmiechnięty, z dłońmi oficjalnie złożonymi przed sobą. Jak zwykle podawał im książeczkę z hymnami, a one jak zwykle mu odmawiały, gdyż posiadały własne (o czym go informowały), od kiedy tylko nauczyły się czytać, a to nie było wczoraj.

Organista o rumianych policzkach wybrał utwór i grał go do porannego wtóru szeptów i pokasływań, gdy pochłonięci sobą wierni sadowili się w dobrze znanym i przyjemnym rytmie niedzielnego poranka. Nad nimi i dookoła nich rozbrzmiewał dzwon. Zupełnie, jakby zewnętrzny świat nigdy nie istniał.

Kiedy Mary weszła do jego pokoju z kubkiem herbaty i dwoma ciastkami z imbirem, Sandy budził się z kolejnego snu, znośnego — chociaż na pograniczu koszmaru — w którym był on i Rian.

Gonił ich gang. Weszli na ostatnie piętro bloku, aby uciec przed nimi. Znaleźli jedno otwarte mieszkanie i wpadli do środka, zamykając za sobą drzwi na wszystkie zamki i zasuwę. Mieszkanie było ładne i Rian natychmiast poczuła się jak u siebie. Wypróbowała wszystkie urządzenia w kuchni, włączyła telewizor, radio i wieżę. Na drzwi napierała jakaś potężna, nieokreślona siła, ale ona to ignorowała, jego też. Słuchaj, powiedział, próbuję nas uratować. Możesz mi pomóc? Podeszła do niego, z uśmiechem, takim jak zawsze, powściągliwym, pocałowała go w policzek i włożyła mu w rękę nóż do chleba. Użyj tego, powiedziała i znowu go pocałowała. Spojrzał na upiornie ząbkowaną krawędź noża. Drzwi ustąpiły nieco, powstrzymywane jedynie przez łańcuch i czyjaś dłoń wypełzła zza krawędzi, mocując się z zamknięciem, próbując odczepić cienki łańcuch. Metodycznie, ale wbrew sobie, zaczął wymierzać ciosy w rękę, którą całym swoim ciężarem uwięził między skrzydłem drzwi a framugą. Nagle ręka stała się zwierzęciem, o własnym ciele, nie połączonym z niczym za drzwiami. Otwarte rany, ale żadnej krwi. Krzyki, ale żadnych ust. Zwierzę spadło na podłogę, wijąc się w agonii niczym wąż. Rian stanęła za nim z filiżanką herbaty. Postukała go w plecy. Herbata, Sandy, powiedziała. Masz herbatę...

Głos należał do jego mamy, zbyt ostry, aby był częścią snu. Zamrugał oczyma i wy dostał głowę spod kołdry. Poraziło go światło. Mama rozsunęła zasłony i stała w szlafroku z kubkiem herbaty w dłoni.

— Masz herbatę — powtórzyła.

Na chwilę znowu zapadł się w sen, a jednocześnie uświadomił sobie erekcję pod pościelą. Usiadł, koncentrując się na herbacie i nowym dniu, czując, jak pulsowanie ustępuje.

— Dzięki — powiedział.

Mama zaczęła wychodzić z pokoju.

— Tylko nie zasypiaj znowu. Jest świeży chleb i dżem na śniadanie. Bo zapomniałam wczoraj kupić bekon.

Czuł zapach chleba. Erekcja słabła. Głód i konieczność oddania moczu kierowały jego myśli w inną stronę. Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać, a potem usiadł na brzegu, żeby umoczyć ciastka w mlecznej herbacie i wy-

ssać z nich smak. Nie miał na dzisiaj planów. Jeżeli mama czegoś nie zaplanowała, to pójdzie później na spacer i zobaczy, czy spotka kogoś. Może Colin będzie w parku. Nie wyruszy do dworu. Nie miał jeszcze odwagi.

Na dole oczekiwało rytualne, niedzielne śniadanie, niczym ciotka, która rzadko zjawiała się z odwiedzinami. W soboty przeważnie przebywał poza domem, zanim mama zdążyła go zawołać na jedzenie. Sobota była najbardziej ekscytującym dniem w tygodniu. Wszystko inne było powierzchowne albo rozczarowywało, ale ani minuta z soboty nie mogła się zmarnować. W okresie poprzedzającym wakacje śniadanie jedli w pośpiechu, żeby tylko nie spóźnić się do szkoły, nieomal mimowolnie. Wpychał tost do buzi w drodze z kuchni do łazienki, z łazienki do sypialni. Co nieuniknione, gdzieś po drodze kubek z herbatą i jakieś ważne zadanie pisemne ginęły, a ślad drobnych kruszynek wskazywał drogę, jak odzyskać obie rzeczy.

Niedziele jednak były inne. W niedzielę nie trzeba było się spieszyć; żadnej szkoły, do której można się spóźnić. W niedzielę Sandy musiał przesiedzieć długie wypytywanie przez mamę, kiedy podsuwała mu jedzenie i nalewała herbatę, kubek za kubkiem. Wypytywała go o to, jak minął tydzień, i omawiali ważne sprawy, takie jak plany na wakacje, telewizja i praca. Odpowiadał cierpliwie; zasługiwała na to. Widział, ile te poranki dla niej znaczą. Zupełnie jakby udawali, że są normalną rodziną, wciskającą nudne szczegóły z całego tygodnia w jeden, przedłużony poranek. Mama rzadko narzekała na te nie pasujące niedziele, gdy wylatywał z domu na mecz piłki, zatrzaszkując za sobą śniadanie, rozmowę i jej samotność. Czasami, kiedy patrzył na nią przy stole, dostrzegał coś nieistotnego, na przykład, że trzęsła się jej ręka, kiedy nalewała herbatę, albo że wydawała się zmęczona, albo że oparzyła sobie żelazkiem grzbiet dłoni i miała teraz świeżą ranę na czysto białej skórze i przy talach okazjach coś w nim wzbierało: może współczucie i miłość, ale te słowa nigdy nie były adekwatne.

Była jego matką i kiedyś umrze. To była smutna rzeczywistość. Odganiał ją myślami o Rian. Może kiedyś się pobiorą. W ten akurat niedzielny poranek matka wydawała się poważna i Sandy zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej, że ma dziewczynę, aby ją rozweselić. Jednak, jeżeli to powie, to co ponadto musi jej wyznać? Nie, nie potrafił jeszcze podzielić się z nikim tą skrywaną miłością — tak dziwną i niepewną — i uświadamiając sobie to wyobcowanie, poruszył się niespokojnie na krześle, kiedy mama pochylała się nad stołem z talerzem świeżego chleba emitującego żar nawet w



cieplej kuchni.

— Mamo, idziesz do kościoła? — zapytał.

Przerwała mieszanie herbaty. Wpatrywała się w chleb przed sobą.

— Nie wiem — odparła. — Tak, myślałam, że pójde przywitać nowego pastora. A potem chciałam iść do twojej babci.

— Tak? — powiedział. — Do babci i dziadka? — Znowu się zatracił, tym razem w ciepłej i miękkiej wilgoci chleba, słoności masła, słodczy dzemu. Przeżuwał tę pastę długo w ustach, aż mieszanka smaków stała się tylko wspomnieniem, potem przełknął ją i popił herbatą, i ugryzł nowy kęs, aby powtórzyć proces.

Im dłużej siedzieli, tym pogodniejsza stawała się Mary. W oczach w końcu pojawiło się życie. Sandy spojrział na zegarek.

— I co, dobry chleb? — zapytała.

Skinął głową. Ona, zgadzając się z nim, też lekko przechyliła głowę. Zapadła krótka cisza, ale nie krepująca. — Nadal upierasz się, że nie chcesz zostać jeszcze w jakiejś szkole, Sandy?

Serce w nim zamarło.

— To ważne — mówiła dalej mama. — Przy dzisiejszym bezrobociu trzeba zdobyć jak najlepsze kwalifikacje. Posłuchaj ludzi na ulicy. Powiedzą ci. Teraz biją się w piersi, że nie poszli do szkół. Dzisiaj, po zamknięciu kopalń, zostali na lodzie, a poza komputerami i sprawami, na których się nie znają, nie ma nic. Nie chciało się nosić teczek, trzeba dźwigać woreczki, Sandy. Tak jest ułożony świat. I to coraz bardziej. Świat obraca się wokół inteligencji. Tylko dzięki temu możesz uciec z tego miasta. Więc zostań może w jakiejś szkole, a jak będziesz potrzebował pomocy, to zobaczysz, coś wymyślę. — I znowu jadła.

— Tak, mamo. — To była jego najlepsza obrona.

Po kilku minutach spojrział znacząco na ścienny zegar, Mary zauważyła jego gest i podążyła za jego wzrokiem.

— Mój Boże — powiedziała. — Lepiej się ubiorę, jeżeli mam iść do kościoła. Skończ śniadanie. — Pokiwał głową. Mary wstała od stołu. — Ja idę na górę.

Sandy odetchnął, kiedy mama wyszła z kuchni. Słyszał, jak deski podłogi skrzypią na górze i wskazują mu, gdzie akurat znajduje się matka. Dzięki kolejności dźwięków, potrafił wyobrazić sobie jej każdy ruch. Szukała w

komodzie czystego stanika, majtek i rajstop. Stała przy szafie, wybierając sukienkę. Wyciągnęła ją i powiesiła na zewnątrz. Zebrała to wszystko i szła korytarzem do łazienki. W łazience zamknęła drzwi na klucz dla jakiejś dziwnej stosowności, potem zdjęła szlafrok i koszulę nocną. Przykucnęła, aby się wysikać, urwała papier toaletowy, aby się wytrzeć, i spuściła wodę. Stała przy małej umywalce i spojrzała w lustro, odkręcając wodę, potem starannie się

umyla, aż woda chlapała na podłogę i sedes. Potem ubrała się szybko, zaciągała zamki błyskawiczne i zamykała sprzączki. Trzask, drzwi zostały otwarte. Poszła do sypialni w rajstopach. Usiadła przy toalecie i znowu straciła minutę, aby gapić się w lustro. Może przyglądała się włosom. A potem będzie je czesać, długimi, powolnymi pociągnięciami. Może umaluje się trochę, aby rozjaśnić twarz, spryska szyję i nadgarstki odrobiną perfum, potrząśnie nimi, aby je wysuszyć. Potem założy sukienkę, wyciągnie buty spod łóżka i wsunie na nogi. Teraz głośno stuknęła nogami o podłogę, jakby to cieśla pracował na dachu. Sandy skupił wzrok na suficie w kuchni. Jeszcze chwila bezruchu na górze, chwila, której nigdy nie wyjaśni, i zeszła z płaszczem przerzuconym przez ramię. Wstał od stołu.

— Herbata ci stygnie — powiedziała. Sandy wziął od niej płaszcz i pomógł go jej założyć. Podziękowała mu. — Ale z ciebie dzisiaj dżentelmen — pochwaliła go z uśmiechem, chociaż robił to za każdym razem, gdy szła do kościoła. — Bo chyba nie dlatego, że wolisz, żebym już sobie poszła. — Wzięła kopertową torebkę. — No dobrze. — Rozejrzała się. — Mam klucze, więc jeżeli wyjdiesz, zamknij drzwi. I proszę, umyj naczynia, dobrze? — Skinął głową. — No, na razie. — Pochyliła się i podsunęła mu policzek do pocałowania.

Owionęły go perfumy, otoczyły dziwną mocą. Uśmiechał się przez cały czas. Mama wyglądała tak inaczej, kiedy się ubierała do wyjścia; tak kulturalnie, tak światowo. Może była piękna. Sandy z poczuciem winy zerknął na jej nogi, kiedy szła do drzwi. Kumple w szkole mówili, że jest niezła laska, więc równie dobrze mogła być piękna.

Iain Darroch stał w rozdętych szatach i witał wiernych, każdego z osobna, przed kruchtą. Niektórzy ze starszych obrzucali go podejrzliwymi spojrzeniami, jakby chcieli go kupić na mięsny targu. Wielu rzeczywiście przyszło wyłącznie po to, aby ocenić nowego pastora. Niektóre z młodszych

kobiet stały w grupce na placu przed kościołem i plotkowały. Zerkały na niego od czasu do czasu i wówczas też prostowały plecy. Był to dziwny znak, a Darroch, chociaż posiadał nieco wiedzy o ludzkim zachowaniu, kompletnie nie potrafił dojść jego znaczenia. Myślał, że może podziwiają jego postawę. Był z tych wysokich mężczyzn, do tego też jego pierś i ramiona zdawały się szersze od przeciętnych, a to dzięki obszernym szatom, jakie miał na sobie. Brzuch mu obwisał tylko nieznacznie, co było niezauważalne, przynajmniej na razie, pod szatami.

Małe kobiety w śmiesznych kapelusikach z trudem wspinały się po kilku kamiennych schodkach do drzwi. Dyszały i stękały, a potem witały go, obnażając w uśmiechu rzędy pożółkłych, sztucznych zębów. On odwzajemniał ich uśmiech. Jego zęby, z wyjątkiem dwóch koronek, były na szczęście własne. Dentysty bał się tak samo jak potępienia i wierzył momentami, że jedno i drugie to to samo. Zganił się, wznosił krótko i bogobojnie oczy ku niebu w nadziei, że zostanie mu wybaczone ta frywolność.

Wiatr był tak zimny, że aż mroził mu dłonie. Nieomal wszyscy mężczyźni, którzy podawali mu rękę, byli członkami Łoży Masońskiej. Odwzajemniał ich powitanie z całą serdecznością. Kościół zappełniał się. Poranek spędził na powtórny przeczytaniu notatek. Wiedział, że dzisiaj może zdobyć sympatię. Prawdziwą próbą będzie utrzymanie tej przewagi przez następne kilka tygodni. Denerwował się niesamowicie. Zupełnie jak przed wizytą u dentysty.

Dzwonił pojedynczy dzwon poruszany zmyślnym systemem elektrycznym. Nie potrzeba było dzwonnika w tych czasach, niestety. Wysoka, dobrze ubrana kobieta stąpała ostrożnie po żwirze dziedzińca na dość wysokich obcasach. Niektóre z plotkujących grupek zerkały na nią, a potem po cichu wymieniały uwagi między sobą. Uderzyły go ciemne rysy, antypatia bijąca od wszystkich dookoła, srebrne włosy rozwiane za nią, gdy szła na wietrze. Dotarła po schodach i podała mu rękę.

— Mary Miller — przedstawiła się. — Witam pastora. Mieszkamy niedaleko starej kopalni, u podnóża Góry Cardell.

Spojrzał jej w oczy. Były brązowe, ale równie dobrze można było powiedzieć, że czarne, ukryte pod bakiachimem rzęs i brwi.

— Miło mi panią poznać, pani Miller. Nazywam się Iain Darroch, prosto z Edynburga. — Już wiedział, że ona ma syna. Podobieństwo między nią a chłopcem, którego pytał o drogę, było uderzające... Ta sama posępna

wyniosłość, to samo poczucie odizolowania.

— W zasadzie to panna Miller, chociaż raczej nie dbam o tytułowanie — powiedziała z uśmiechem.

Zamrugął oczyma. Zdecydowanie nie mógł się mylić. Choć tu trzeba było dyskrecji. Lekko skłonił głowę, ale nic nie mówił i też się uśmiechał. Ta zadziwiająca kobieta przeszła do kościoła, jej obcasy pobrzmiwały, aż dotarła do nawy wyłożonej dywanem. Przywitawszy się z większością zebranych, Iain Darroch prześlizgnął się niepostrzeżenie na tył kościoła, otworzył tam małe drzwiczki i przygotował się do nabożeństwa. Po laiku drewnianych schodach dostał się do właściwej części kościoła, zaledwie o kilka kroków od ambony. Podejdzie dystyngowanie do podstawy ambony, wejdzie schodkami do małych, sięgających brzucha drzwi, otworzy je i wstąpi w boską sferę, skąd będzie głosił słowa Pana. Wcześniej prezbiter położył dużą, ciężką Biblię, otwartą, na skraju pulpitu. Czekał teraz na prezbitera, który miał przyjść po księgę. Boże, proszę, bądź ze mną dzisiaj, gdy stoję w obliczu sądu. Proszę, obym nie zepsuł niczego ani się nie zaciął. Proszę, Panie Boże, niech to nie będzie jak u dentysty.

Zaśpiewamy teraz hymn trzysta dziewięćdziesiąty szósty. Ci z was, którzy nie mają stosownego śpiewnika, znajdą hymn w małych książeczkach na ławkach. Hymn trzysta dziewięćdziesiąty szósty...

To Król Niebiesiech w chwale  
A obok grzeszne serce;  
Wzburzone w środku fale  
Cofają się w ucieczce.  
Przelewa się w nim rozpacz,  
Głos Pana dominuje  
Gdy morska kipi toń:  
„Niech pokój zapanuje...”

— No dobrze, to zaczniemy.

Organista zagrał melodię, gdy zebrani kaszleli i przewracali kartki w śpiewnikach i książeczkach. Organy zamilkły, a wierni po cichu powstali.

Donośny głos młodego pastora zdominował, ku jego własnemu zdziwieniu, większość zdławionego śpiewu w ławkach daleko w dole pod nim, aż kręciło się w głowie. Gdy zabrzmiał drugi wers, zauważył, jak kilka par

oczku odrywa się znad książeczek i wędruje ku ciemnej kobiecie wyprostowanej i dumnej w ławce. Stała po prawej stronie od Darrocha, sama w jednej z bocznych ław. Niektóre kobiety już przedtem rzucały ku niej spojrzenia, a teraz jakby wyraźniej. Grzeszne serce. Iain Darroch pomyślał, że chyba chodzi tu o jej syna. Dowiedział się też o jej wyobcowaniu, tej kobiecie o oczach zranionych, choć nieugiętej duszy. Nieomal zgubił się w hymnie, ale odnalazł miejsce w następnym wersie. Biedna kobieta, i taka piękna. Trafił do miasta pełnego wrogości i mściwości, do miasta zamierzchłych wspomnień i najpowolniejszego wybaczenia. Jak może temu zaradzić? O, Panie, czy w ogóle powinien?

— Zamieszkać z Tobą w niebie.

Organista z grzmotem zakończył pieśń. Muzyk, niejaki pan Bogie, miał koszmarny styl, a umiejętności ograniczone. Jego twarz zrobiła się pąsowa z pobożności, a ręce błyszczały mu, jakby namydlone nazbyt starannie. Chórek usiadł, a po nim reszta zgromadzonych. Iain Darroch zaczął od ogłoszeń. Lista była długa. To była społeczna strona szkockiego kościoła, strona, która najbardziej się podobała ludziom, jego zdaniem. Kościół był po to, aby spotykać się tam na porannej kawie i na charytatywnych wyprzedazach, w klubach młodej matki, na partyjkach wista. Kościół był stowarzyszeniem graczy w wista żłopiących kawę, niczym nie różniącym się od tych sportretowanych tak trafnie w *Porwanym loku*, ulubionym wierszu Darrocha. Co więcej, było to stowarzyszenie, które z głębi serca żywiło nienawiść, nienawiść i gorzką hipokryzję. Będą więc ostre kazania w najbliższym czasie. W młodym człowieku wzbierała żalność. Kogo mógł zapytać

o Mary Miller? Może miał jednego sprzymierzeńca... wielebnego Walkera z kościoła parafialnego w Cardell. Wprosi się na plebanie do staruszka... Skończył czytać ogłoszenia.

— A teraz — dodał — będziemy zbierać na tacę.

Organista rozpoczął jakąś bezpretensjonalną pieśń żalobną. Iain Darroch usiadł i oddał się rozważaniom.

Mimo wszystko, za sprawą jakiejś neodpartej siły, poszedł tam. Obszedł posiadłość w nadziei, że ona w jakiś sposób wyczuje jego obecność i zejdzie z wysokiego więzienia do niego. Gwizdał i kopał kamieniami do wymyślonej bramki. Ciął niekończące się połączenie ostów. Ale wokół dworu nie było śladu życia, jedynie odległe krzyki i przekleństwa z pola golfowego.



Nagle poczuł strach. Co on tu robi i co powie Robbiemu i Rian, gdyby ich tu spotkał? Poczul się jak pies przywiązany przed sklepem rzeźnika.

Odszedł ukradkiem od domu i wdrapał się na murek odgradzający pole jęczmienia. Spojrzał w zakryte deskami okna, za którymi może znajdować się jego dziewczyna albo jakaś nieodgadniona zagadka. Jego dziewczyna? To słowo najwyraźniej nie pasowało do ich dziwnego, niespokojnego związku. Współwina, to słowo znalazł niedawno w jakiejś powieści. Dopiisał je do listy niezwykłych wyrazów i odszukał znaczenie w słowniku. Najwyraźniej pasowało do tej sytuacji. Pobrzmiewało w nim współżycie i wino, czyli winogrona. Współgrona. Uśmiechnął się, ciągle patrząc na dom. Napisze wiersz i zatytułuje go „Współgrona”, a będzie o dwojgu kochankach i winogronach. Nie miał jeszcze pomysłu, jak połączyć te dwa pojęcia, ale to nie było aż tak ważne w poezji.

Ześlizgnął się z murku na grudy ziemi. Szedł z trudem skrajem pola, a dojrzałe kłosa jęczmienia gładziły go po twarzy. Mógłby pójść do kawiarni, jeżeli będzie otwarta. Miał trochę pieniędzy. Mógł też iść do kiosku. Przypomniał sobie, nie bez winy, że nie umył naczyń po śniadaniu, chociaż niewiele ich było. A niedługo mama wróci z kościoła, wesół, będzie coś nucić. Podbiegł do przeciwległego muru, wspiał się po nim i biegiem pokonał potem całą drogę do domu.

1985

## CIEMNE WODY

### 1

Wejdz, wejdz...

Wielebny Walker był starszy, niż Darroch to sobie wyobrażał. Pożegnał się z wiekiem średnim i wchodził powoli w stabilną fazę wieku przedemerytalnego. Gestem zaprosił młodego człowieka, aby przeszedł do saloniku, potem zamknął drzwi wejściowe, pokaszując nerwowo.

Darroch nie lubił u ludzi nerwowego kaszlu. Dziwnie się wtedy czuł. Przyjrzał się plecom starszego kolegi. Kiedyś były silne i proste. Może niedawno, zaledwie dziesięć lat temu. Teraz jednak były pochylone, jakby w ciągłej modlitwie o wybaczenie. Śmierć, rozmyślał Darroch, to ciągły problem starszych ludzi. Sam o tym często myślał, kiedy tylko pojawiał się cień niepokoju. Jaka jest zatem cena starości i chwytania się ostrej brzytwy?

— Siadaj sobie. Przepraszam, że nie mogłem wcześniej się spotkać. Byłem w szpitalu na badaniach. Boże łaskawy, nie ma dzisiaj takiej części ciała, która pozostałaby świętą po pobycie w szpitalu. Ci lekarze myślą, że wiedzą wszystko. Myślą, że mają jakieś wyższe świeckie prawo, kiedy przychodzi do dźgania i kłucia ciała. — Staruszek podrapał się w gęste, białe włosy. — Nie wiem już — dodał. — Mamy wiele do wycierpienia w tym wieku w stanie duchownym. Zgadasz się? — Darroch skinął głową. — Musimy wyjaśniać boskość — mówił dalej pastor — ludziom, którzy są coraz bardziej podatni na oczywiste prawdy nauki. Joseph Conrad kiedyś nazwał naukę „świętym fetyszem”. Ciekawe zestawienie, ale mądre słowa, a mówił to na początku dwudziestego wieku. Mądre słowa. Czytałeś Conrada?

Darroch dostał szansę, aby się odezwać. Zdażył jedynie pokręcić głową.

— Ani ja. Znalazłem tę sekwencję w słowniku cytatów. Uwielbiam czytać tego rodzaju wydawnictwa. Dzięki nim wyglądasz na zadziwiająco odczytanego, gdy z kimś rozmawiasz. — Wielebny Walker zachichotał jak dziecko. — Trzeba ci wiedzieć, że czytam nawet słowniki i wysyłam do wydawców listy słów, które zostały pominięte. Zdziwiłbyś się, gdybyś zo-

baczył, jakie słowa omijają niektóre słowniki. Chyba gdzieś tu mam akurat listę, którą właśnie skończyłem przygotowywać.

Podszedł nie bez trudu do biurka w kącie pokoju. Było zamknięte, a kiedy otworzył wieko, arkusze papieru kancelaryjnego ześlizgnęły się z gracją na podłogę. Darroch podbiegł, aby pomóc. Kartki pełne były odręcznych notatek poczynionych niebieskim atramentem, roztrzęsionym pismem. Notatki do kazania czy czegoś podobnego. Nie było paginacji, więc Darroch złożył je w przypadkowej kolejności

i umieścił na blacie. Stary pastor nadal poszukiwał listy na biurku. Marmotał coś przy okazji, przyglądając się skrawkom papieru, zanim je odłożył. Najwyraźniej zapomniiał o obecności Darrocha, więc młody pastor, z rękami założonymi na plecy w odpowiedniej pozie, przyglądał się przeszkiomnym szafkom zajmującym całą jedną ścianę pokoju. Książki były stare, niektóre o grzbietach tak wytartych, że nie można było ich zidentyfikować. Widział tam oczywiście wiele prac teologicznych, ale były też pozycje z literatury angielskiej i szkockiej, a także książki historyczne. Dostrzegł dwie wielkie księgi o historii środkowego Fife.

— A niech to wszyscy święci, nie mogę znaleźć tej listy. Wielka szkoda. — Wielebny Walker ostro zamknął biurko, przyciskając blatem rogi arkuszy. Darroch uśmiechnął się. Wyglądało to zupełnie jak scena ze starej komedii. Staruszek przyjrzał mu się. — Herbaty? Nie, chyba raczej coś mocniejszego, żeby należycie uczcić twoją pierwszą parafię. Mój Boże, jakże ja pamiętam moją pierwszą parafię, a nie było to wczoraj... — Podreptał do wielkiej szafy, otworzył ją i wyciągnął dwie kryształowe szklance. W innej, mniejszej szafie, ostatecznie znalazł whisky. Lód i woda nie będą konieczne; należał do tradycyjnej szkoły. — Ani przedwczoraj — dodał, śmiejąc się, gdy napełniał szklanki roztrzęsioną ręką. Nie rozlał ani kropli. Darroch nadal stał przed biblioteką, z rękami na plecach, z twarzą raczej rozmazaną w oczach staruszka. — Zostaw to i chodź tu usiądź — nakazał wielebny. — Nie widzę cię tam. No, siadaj.

Iain Darroch usiadł na wskazanej kanapie. Wielebny Walker wręczył mu szklankę, zanim sam osunął się na fotel, z ciężkim oddechem, oblizując dokładnie blade wargi.

— No cóż — powiedział. Przyłożył szklankę do ust, zatrzymał się i wzniosł po gaelicku toast na cześć gościa. — Slainte.

— Pańskie zdrówko, pastorze — powiedział Darroch, wgryzając się w whi-

sky, zanim ona go zdążyła ugryźć.

Zapadła cisza pełna refleksji. To był dobry malt. Aromat gęstego torfu zdradzał Darrochowi, że trunek pochodzi z zachodniego wybrzeża, prawdopodobnie raczej z jednej z wysp niż z dolin w Highlands. W szklance została mu jeszcze spora kapka, a stary pastor nie wyglądał na szczególnie skąpego. Darroch pociągnął kolejny łyk.

— Jak ci się podoba w Carsden? — zapytał wielebny Walker.

Darroch odchrząknął. — Nawet bardzo, pastorze. Tak, bardzo mi się podoba. Parafianie wydają się mili. Może nieco ponurzy, ale ma to chyba wyraźny związek z ekonomią.

Czcigodny Walker skinął głową. — Racja, ekonomia. Kiedyś to było kwitnące miasteczko przemysłowe. Górnicy przybyli tutaj z Lothian i Lanarkshire, kiedy odkryto węgiel. Wioski wyrosły z niczego. Właściciele kopalń budowali domy szeregowy, które stały się osiedlami górniczymi. Ulice tam nie miały nazw, tylko numery. Nie było miejsca na wyobraźnię, widzisz. Zdaje się, że w niektórych dzielnicach w Belfaście nadal obowiązują te same zasady. Urodziłem się przy ulicy Trzynastej. — Staruszek mówił niczym dyrektor szkoły do inteligentnego ucznia. — Wracałem pamięcią do tamtych czasów i patrzyłem, jak wioska rozrasta się, a potem sypie. Patrzyłem, jak postępuje zniszczenie, zupełnie jakby cukier wżerał się w zęby. To nie było miłe, a Kościół przez cały czas był bezsilny. Najwięcej, na co nas było stać, to napisanie historii parafii. Zrobił to jeden z moich poprzedników w Cardell. Mam tu gdzieś egzemplarz. Muszę ci go pożyczyć. Opisuje, jak osiedlił się tutaj święty Cuthbert i wybudował ten kościół. Powinno cię to zainteresować.

— Bardzo chciałbym to przeczytać, pastorze.

— Mów mi Alec. Wszyscy mi tak mówią.

— Z chęcią. Jestem Iain.

Staruszek skinął głową. — Dobrze, Iain — powiedział. — Napijesz się jeszcze?

Darroch wyciągnął szklankę w stronę nowego przyjaciela, dodając: — A wiesz, Alec, ciekawa sprawa z tym świętym Cuthbertem.

— Rzeczywiście, bo też Fife, nie wyłączając Carsden, to bardzo ciekawy region. Mam kilka książek na ten temat. Naprawdę, to szczególny region. Urodziłeś się tu?

— W Crail.

— Och, cudowne miejsce, naprawdę piękne. Oczywiście wschodni zakątek Fife i środkowe Fife to dwa różne światy. Przemysł wydrążył serce środkowego Fife. Żyjemy w pustym, wyludnionym miejscu. Zauważyłeś?

— Zauważyłem coś w oczach niektórych moich sąsiadów. W zasadzie to przyszedłem, żeby zapytać cię o jedną osobę.

— Wiem — starszek skinął głową — to smutek. Nie było to smutne miejsce, Iainie, och, może dwadzieścia lat temu. Ale całkowite zniszczenie poczucia społeczności nie trwa długo... O, rety, robimy się sentymentalni.

Obaj popili szybko whisky. I z uznaniem cmoknęli ustami.

— Wspaniała whisky Alec — stwierdził Darroch, zażenowany własnym, przymilnym tonem.

Wielebny Walker skinął głową.

— Woda życia — powiedział całkowicie poważnie. — Kościół tutaj nie jest tym, czym był kiedyś. Mam nadzieję, że uda ci się odwrócić te tendencje, ale raczej wątpię, mówiąc szczerze. Parafia świętego Cuthberta liczyła kiedyś ponad trzystu wiernych, a mieszkało tu wtedy znacznie mniej ludzi niż dzisiaj. Mój własny kościół też ucierpiał. Obaj wiemy, że takie są ogólne tendencje, ale mimo to jest to oburzające. Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście nastąpiła epoka bez Boga. Jeśli tak, to jesteśmy głupcami, prawda?

Darroch zastanowił się nad tym. To była stara historia, historia, która przybyła wraz z Arką. Kościół ulegał zepsuciu albo dogorywał. Jednak skarbonki w niektórych dzielnicach zapępiały się wystarczająco. Kler nie chodził spać głodny. Był zadowolony ze swego losu. Może w tym tkwiła przyczyna problemu. Co by było, gdyby duchownym płacono od ilości osób nawróconych w ciągu roku? Kościoły zapępiałyby się, a przynajmniej kler wykonywałby swoje obowiązki, zamiast leniwie przystawać na ich apatyczną imitację. Darroch rozkoszował się myślą urzeczywistnienia tej mrzonki. Sam winił się za apatię, lecz teraz jego gospodarz znowu przemawiał.

— Święty Serf zamienił Fife w kraj chrześcijański. Wcześniejsi mieszkańcy to Piktowie, poganie. Znacznie później w Fife schronili się reformatorzy, ruch pozostający pod wpływem nauk Johna Knoxa. W tamtym okresie dochodziło tu do żarliwych dyskusji na tle religijnym. Bardziej niż w innych regionach Szkocji. Jak się wydaje, górnictwo szło ramię w ramię z chrześcijaństwem. Mnisi z Newbattle, zdaje się, stali się pierwszymi gór-



nikami w Fife. A potem Papież Pius II odwiedził Szkocję za rządów Jakuba VI i zdziwił się, widząc, jak żebracy w kościołach dostają za jałmużnę czarne kamienie. Oczywiście był to węgiel. Według kronik kopalnia w Bowhill zatrudniała więcej ludzi niż jakakolwiek inna w Fife. Tak było na początku wieku, zdaje mi się. Leżała na obrzeżach Cardell. Na pewno ją mijaleś. Nadal wydobywa się tam węgiel, kiedy nie ma strajku, ale większość pierwotnego zakładu została zniszczona. To była duża kopalnia, a ludność w tamtym okresie musiała być z niej dumna. Widzisz, Iain, to nadal są dumni ludzie, ale stracili wszystko, z czego mogliby być dumni. To sedno tego, co tu się dzieje. W pewnym sensie jednak, cieszę się, że nie jesteśmy zależni od górnictwa tak, jak kiedyś. Boże mój, jak ten ostatni strajk dał się nam we znaki. Pamiętam pierwsze garkuchnie, za czasów strajku generalnego w 1926. Wtedy byłem zaledwie chłopakiem, ale to było okropne i zostawiło piętno. A teraz są nowe garkuchnie w takich miejscach jak Glenrothes i Cowdenbeath. Jeżeli nie rozumiemy siły i znaczenia współczesnych zatargów, to dlatego, że w znacznym stopniu jesteśmy za nie odpowiedzialni. Dzieci biegają po ulicach, tworzą gangi i niszczą skiepy, malują hasła na ścianach. Dorośli biją się w sobotę w nocy, upijają się, a w ich małżeństwach nie układa się. W nocy miasto staje się wymarłe, bo tam nie ma dokąd pójść. — Westchnął i wzruszył ramionami. — Są tu problemy społeczne, których Kościół sam nie rozwiąże. Taka jest prawda. Przepraszam za ton pełen zniechęcenia, ale lepiej jest nie oddawać się marzeniom w takim miejscu.

Darroch pokiwał głową w zamyśleniu. Siedział z dłońmi złożonymi jakby do modlitwy. — Alec, czy więc powiedziałbyś, że ci ludzie są dobrzy w gruncie rzeczy, ale zawiodły ich zewnętrzne siły, takie jak polityka?

Staruszek skinął głową i uniósł szklanę do ust.

—A zatem — kontynuował Darroch — mógłbyś opowiedzieć mi, co ci dobrzy ludzie czują do kobiety nazwiskiem Mary Miller?

Staruszek spojrzał na niego, a jego spojrzenie zmusiło Darrocha, by spuścił oczy. Zapadła cisza tak wymowna, że po raz pierwszy Darroch usłyszał powolne tykanie zegara szafkowego w korytarzu. Stary pastor westchnął. — To długa i złożona historia, Iain. Czy mam ci ją opowiedzieć?

—Ona należy do mojej parafii, Alec.

—To może ona sama powinna ci opowiedzieć?

—Ale czy opowie? Wolałbyś, abym usłyszał tę historię od jakiejś nieobiek-

tywnej strony? — Darroch zdobył przewagę.

Alec Walker wstrząsnął zgarbionym ciałem i usadowił się wygodnie w fotelu.

—No cóż, dobrze — powiedział, sięgając po butelkę. — Trzeba znowu połać, zdaje się. Mam nadzieję, Iain, że dobry z ciebie słuchacz. To nie jest najmiłsza historia...

## 2

W oczach Robbiego widać było rozpad. Sandy nie mógł patrzeć w te wodniste głębie z czerwoną obwódką. Zupełnie jakby zaglądał do zakazanego pokoju z umierającym pacjentem. Znalazł miejsce na kołnierzu koszuli Robbiego, gdzie materiał strzępił się, i na nim skupił wzrok.

Robbie zastanawiał się, dlaczego to ostatnio Sandy nie zaglądał do dworu. Ten wzruszył ramionami i burknął coś. Robbie skinął głową, ale nadal spoglądał na Sandy'ego w oczekiwaniu odpowiedzi. Sandy znowu wzruszył ramionami.

- Takie tam kłopoty — powiedział w końcu.
- Gównno o nich wiesz, Alexander. Gównno.

Sandy nie potrafił dojść do ładu z myślami. Ten zgarbiony młody człowiek miał być zły, miał być ogrem z bajki. Księżniczka musiała mu usługiwać jak niewolnica. Jednak Robbie nadal przywdziewał minę niewinnego. Wyglądał na opiekuna swojej siostry, o tak, ale nie alfonsa. Sandy z trudem powstrzymywał się, aby nie zapytać go o te oskarżenia Rian. Zarumienił się.

— Jakie masz kłopoty? — kontynuował Robbie.

— Odpierdol się, Robbie. Przestań o tym już mówić. — To była męska rozmowa, bez Rian. Przekleństwa były powszechne wśród mężczyzn w tym mieście. Było wiadomo, że niektórzy porozumiewają się, używając samych przekleństw. On sam od kilku lat czytał amerykańskie kryminały. Nawet poważna literatura w Ameryce korzystała z nieprzyzwoitego języka. Był przekonany, że zna słowa, których nie zna nikt inny w Carsden. W tym se-

mestrze, ostatnim bezsensownym semestrze w szkole, postanowił używać brzydkich słów w wyprawach dla Wallace'a. Chciał doprowadzić do jego protestu.

— Ty to zacząłeś — mówił Robbie.

— No, to już jest przesada. — Sandy'emu udało się wzbudzić drwinę w głosie.

Robbie wzruszył ramionami. Mierzył towarzysza mętными, ale czujnymi oczyma.

— Już mamy blisko — powiedział, aby podtrzymać rozmowę. W swoim życiu Robbie rozmawiał z niewieloma ludźmi, a jeszcze mniej słuchał. Lubił towarzystwo Sandy'ego bardziej, niż potrafił to wyrazić, i uznawał go za przyjaciela. Nie pojmował do końca zmiany, która zaszła w Sądym, ale wiedział, że to ma jakiś związek z Rian. Wiedział o tym tak dobrze, jak znał siebie samego. Sandy wydawał się zdeterminowany, aby nie mówić o tym teraz, ale coś w postawie chłopaka mówiło Robbiemu, że wkrótce będzie chciał o tym porozmawiać, a wówczas ta rozmowa nie będzie szczególnie wesoła.

Szli szybko, ale wstrzymywała ich stromizna zbocza. Wchodzili na Wzgórze Craigie, tuż za Cardell, gdzie znajdował się kamieniołom. Wzgórze Craigie było bardzo strome z jednej strony, a z drugiej opadało łagodnie. Obóz cygańskich druciarzy leżał u podnóża stromego zbocza. Sandy był świadom, że pewnego dnia spychacz zepchnie całe wzgórze na Cyganów i ich nowoczesne, małe przyczepy.

Spotkał Robbiego niedaleko szkoły. Takie przypadkowe spotkanie. Wcześniej uważał, aby nie widywano go z nim, ale długie lato wprowadziło go w stan beztroski, a może raczej lekkomyślności, więc ruszył z Robbiem obrzeżami miasta. Robbie szedł odwiedzić ciotkę Kitty. Od niej też Sandy miał nadzieję dowiedzieć się jakiejś prawdy.

Robbie zakaszłał w złożone dłonie, a potem splunął głośno na drogę.

— Czujesz, że już robi się chłodniej? — zapytał Sandy'ego.

Chłopak potrząsnął głową.

— Ale — odezwał się Sandy — lato się jeszcze nie skończyło. Długo tylko nie padało. Nie zauważyłem, żeby robiło się zimno. Ty dobrze się czujesz?

— Dobrze, dobrze. To tylko przelotne, letnie przeziębienie, to wszystko. — Sandy przyjrzał się Robbiemu, kiedy tamten znowu zakaszłał.

— Jesz dosyć, Robbie? — zapytał zażenowany współczuciem ewidentnym

w tym pytaniu.

— Oj, tak, jemy dobrze. W zasadzie to nie możemy tylko jeść ciepłego, chyba że coś ze smażalni. A ciocia zawsze mnie porządnie nakarmi, kiedy ją odwiedzam. Rian dość dobrze gotuje, ale nie mamy tych... no... jak je nazywacie? Urządzeń... we dworze.

— Tak. — Sandy skinął głową. Nie zaznał jeszcze głodu ani niedożywienia. Głód dla niego to pół godziny przed lunchem, szybko zaspokojony. Niedożywienie następowało, kiedy mama zapomniała kupić bekon na niedzielne śniadanie. Czuł się jak utuczony kurczak w ciepłym gnieździe. Robbie jednak był zbieraczem-łowcą. Musiał zabijać, żeby jeść, a żeby nakarmić młodszą siostrę, musiał zabijać podwójnie. Czy taka była prawda? Sandy nigdzie nie widział prawdy. Nie widział niczego poza pozorami. Sprawy mogły być tym, czym się wydawały, lub też nie. Napisał o tym wiersz, oparty na albumie grupy rockowej. Chciał kupić ich nową płytę za pieniądze, które dostanie na urodziny. Szesnaste urodziny wypadały za dwa tygodnie, tydzień po rozpoczęciu szkoły. Szesnaście lat... Wtedy pewne rzeczy stawały się legalne. Mógł się żenić. To wydawało się absurdalne. Nadal tylko nie mógł chodzić do pubów. Obiecał sobie, że w dniu urodzin sam pojedzie pociągiem do Edynburga. Wyda tam swoje pieniądze. To będzie przygoda. Bywał tam z mamą na wycieczkach w dzieciństwie, ale teraz będzie zupełnie inaczej. Bo będzie miał szesnaście lat. Idealny wiek. Wcale nie chciał być starszy, pod warunkiem, że będą go obsługiwać w pubach.

W końcu, na szczycie wzgórza, dotarli do obozowiska — cztery przyczepy i kilka samochodów, ustawione na zapomnianym skrawku ziemi w cieniu litej skały. Sandy znał to miejsce dobrze. Widział je ze szkolnego boiska. Wiedział, że okoliczni mieszkańcy chcą wyrzucić Cyganów, od momentu, kiedy tu się zjawili przed dziesięcioma miesiącami. Nie miał pojęcia, dlaczego im się to nie udało, ale wiedział, że złe uczucia w stosunku do tych ludzi odsuwały balans nietolerancji od jego matki, która w oczach miasta mogła być czarownicą, ale mimo to tutaj się urodziła i wychowała, i miała normalnych rodziców. Sandy poczuł ukłucie smutku. Jego matka żyła gdzieś na skraju, balansowała na cienkiej linii między zaakceptowaniem a całkowitym odrzuceniem, nigdy nie wiedząc, kiedy szale mogą się przechylić ku jej zgubie. To było straszne. Nie miała żadnych prawdziwych przyjaciół. To było gorsze od posiadania wrogów. Czuł, jak wzbiera w nim nie-

chęć do Andy'ego Wallace'a. Wzleciała na lekkim wietrze, zataczającym kręgi nad polem. Wzniosła się nad Wzgórze Craigie i osiadła w gwiżdżącym kamieniołomie. Szanse, jak wiadomo było Sandy'emu, były tak samo po stronie Andy'ego Wallace'a jak i jego matki. Modlił się w duchu do Boga, którego powoli zaczynał uznawać, aby wytrzymali.

— To moja ciocia Kitty — powiedział Robbie. Długą ręką wskazywał małą, przysadzistą kobietę, która wyłoniła się z jednej z przyczep i znikła za nią. Robbie krzyknął do niej na wiatr.

Wysunęła głowę zza przyczepy. Pomachała, a potem znowu schowała głowę. Dla Sandy'ego wyglądała jak szmaciana lalka. Rękę miała jakby wypchaną pończochami. Kiedy wyszła zza przyczepy, poprawiając wzorzystą suknię, Sandy zobaczył, że jeden z rękawów jest podwinięty i prawdopodobnie umocowany na plecach. Miała tylko jedną rękę, tę, którą podniosła na powitanie. Teraz śmiała się, ukazując poczerniałe, krzywe zęby. Włosy miała ciasno ułożone za pomocą wałków i szpilek.

— Robbie, ty potworze, dlaczego tak długo nie odwiedziłeś starej ciotki? Już chciałam sama iść do ciebie. — Nie było pocałunków ani uścisków dłoni. Stali oddaleni od siebie o krok i uśmiechali się. Potem poprowadziła ich obu w stronę przyczepy. Sandy miał pewne obawy. Przypominały się mu bajki opowiadane przez babcie. Takich historii nie można było znaleźć w książkach. Powstawały w jej głowie, jakby to była jakaś wielka składnica wiedzy. Sandy był przekonany, że są prawdziwe, a to dlatego, że babcia opowiadała swoje historie z zamkniętymi oczyma i bez pomocy książek. Wtedy cały zamieniał się w słuch, ale zapominał kilka z nich. Teraz przypomniał sobie jedną. Była o dziewczynce, którą zabrano do cygańskiego taboru i kazano tańczyć, aż umarła, ale wtedy jej duch nabrał sił i uleczył jej młodszą, kaleką siostrę. Sandy wiedział, że sensem opowieści było pozbycie się strachu przed śmiercią, ale było w nim coś jeszcze. Kto wiedział, czy nie idzie teraz na ofiarę? Rian mówiła mu, aby nigdy nie ufał Robbiemu. Teraz był w rękach Robbiego i ciotki, która według Rian, chciała ją okrutnie wykorzystać. Był głupi, że tu przyszedł.

Duży kundel, jakby na potwierdzenie jego rosnących obaw, zaszczekał na niego groźnie. Był przywiązany do jednej z przyczep, ale tylko linką. Sandy cofnął się przed nim, bliżej przez to rechoczącej staruchy i jej przyczepy. Robbie podszedł do zwierzęcia i pogłaskał je. Pies go ignorował i dalej szczekał na Sandy'ego, obnażając Idy.



— No chodź, zaprzyjaźnisz się — Robbie zawołał do niego, poklepując wrogą bestię.

— Wejdz do środka, kochaniutki — zachęcała go starucha o czarnych ustach.

Sandy był rozdarty. Jedna połowa, ale tylko ta duchowa, uciekała ku bezpieczeństwu; druga, cielesna, pokonała powoli dwa metalowe stopnie i znalazła się w przyczepie.

Kobieta pochyliła się nisko nad kuchenką i zapaliła gaz. Przesunęła poczerniały czajnik na palnik. Sandy oglądał ciasne wnętrze. Nie było w nim nic sensacyjnego ani romantycznego. Na jedynym stole stał mały telewizor, podłączony do samochodowego akumulatora na podłodze. Znajdowały się tu dwie ławy, po obu stronach stołu, które po pewnych manipulacjach tworzyły małe, podwójne łóżko. Sandy lubił przyczepy turystyczne. Podobała mu się sprytna zwartość, gdzie wykorzystywano każdy cal przestrzeni. Uświadomił sobie, że życie w mieście też jest takie w pewnym sensie. Spojrzał na malowidła na ścianach, ordynarne, tanie reprodukcje w plastikowych ramach. Nie było ubikacji. Przypomniawszy sobie, jak kobieta wyszła z przyczepy. Głęboko w gardle poczuł też kulki na mole.

—Herbaty, synu?

—Proszę.

Starucha znowu się do niego uśmiechnęła. — Boisz się mnie, synu? Jak wszyscy. Ludzie mówią, że to przez moje zęby. Mówią, że powinnam zrobić sobie nowe, ale ceny takich rzeczy są teraz absurdalne. Poza tym, te dobrze mi służyły przez lata. Nadal mogę przeżuwać nimi mięso, więc co mi tam.

No tak, prosił się o to. — Jasne — udało mu się wykrztusić.

—Jesteś kolegą Robbiego? Robbie nie ma wielu przyjaciół, co? —Patrzyła na czajnik, jak zaczynał parować. Podeszła do małego zlewu obok kuchni i w cienkiej strużce wody z kranu wypłukała trzy filiżanki. — Taki bardziej samotnik z niego. Cyganie tacy są, co, synu? Nic innego im nie zostało. A jednak chciałabym, żeby te mieszcuchy, bez obrazy, synku, przestały się nam naprzykrzać. — Wbiła w niego spojrzenie na moment, żeby nie uszedł mu sens jej wypowiedzi. — Prowadzimy godne życie. Poza tym też prawdziwe. Trwa od czasów, zanim powstały miasta. Sprawdź w bibliotece, synu. Cyganie byli tutaj, jeszcze zanim powstało to państwo.

Zachichotała. Sandy uświadomił sobie, że zaśmiała się raczej jak matro-

na, a nie wiedźma. Mógł też już mówić.

—Mówią, że moja mama to wiedźma — powiedział. Zastanawiał się, dlaczego to powiedział. Może, pomyślał, aby pokazać, że zrozumiał.

—Naprawdę? Ach, tak, pamiętam, jak ktoś mi mówił o wiedźmie w mieście. No... Przyczyniła się do pecha, czy tak?

—W zasadzie to nie jest wiedźmą.

—Na Boga, no pewnie, że nie jest. Wiedźmy nie istnieją, najwyżej u ludzi w głowach. Za dawnych czasów były jedynie kobiety, a nieraz i mężczyźni, którzy wierzyli w leczniczą moc ziół, w wiedzę ludu i marzyli o lataniu. A czarownice? Wszyscy jesteśmy czarownicami na jakiś tam swój sposób. Czarownice wynalazł człowiek, synu. Wszyscy jesteśmy takimi czarownicami w głębi duszy.

Jej słowa wydały się Sandy'emu mądre. Nalała wrzątku do poobijanego imbryka. Sandy nagle zapragnął być jej przyjacielem.

—Ja na imię mam Sandy — powiedział.

Staruszka uśmiechnęła się i skinęła głową. Oczy miał zahipnotyzowane luźnym fałdem materiału przypiętym z tyłu dużą agrafką.

— Zastanawiasz się nad moją ręką, Sandy — powiedziała, ciągle odwrócona do niego plecami. Był oszołomiony. Zupełnie, jakby czytała w jego myślach. Milczał, a ona odwróciła się do niego i znowu zachichotała. — Na pewno. — Potem podeszła do otwartych drzwi. Sandy zauważył, że na dworze robi się ciemno, chociaż była dopiero druga. Zbierały się chmury przed burzą. Koniec suszy. — Robbie! — zawołała staruszka. — Herbata gotowa!

Pies zaszczekał radośnie, kiedy Robbie dobiegł do przyczepy. Na ramionach miał krople wody, gdy wchodził pochylony.

—Pada — powiedział. — Wygląda, że będzie lać.

Prawie natychmiast Sandy usłyszał krople deszczu na dachu, niczym ostre uderzenia w werbel. W Carsden była dobra orkiestra dęta, ale trudno byłoby im zagrać melodię wygrywaną na sztywnym dachu przyczepy. Popijali herbatę przy stoliku, pod którym Sandy niefortunnie pocierał kolanami o kolana staruszki. Wsłuchiwali się w deszcz jak w muzykę.

—Kończy się lato — powiedziała Kitty.

Puściła oko do Sandy'ego. W jednym oku zalegały jej jeszcze ślady ropy. Sandy zastanawiał się, czy to oko, podobnie jak ręka, było bezużyteczne.

—Pewnie masz rację, Kitty — rzekł Robbie. — Mówiłem Sandy’emu, że przez ostatnie kilka dni wyczuwałem zimne powietrze.

—Zimne powietrze? — Kitty spojrzała uważnie na bratanka. — Zimne powietrze to nic takiego. Popatrz lepiej ty na siebie. Pijesz za dużo i nic nie jesz. Zabija cię złe jedzenie, Robbie. To jej wina. Powinieneś wrócić tu, gdzie twoje miejsce.

—A Rian? To jest także jej miejsce. —To powiedziawszy, Robbie popił herbatę i wbił oczy w stół. Zapadła cisza, zakłócana jedynie dudnieniem deszczu o dach.

—Zostaw ją samej sobie — powiedziała Kitty, pocierając ustami brzeg wyszczerbionej filiżanki.

—Kitty, nie mogę.

Tu nastąpiła przerwa, najbardziej męcząca cisza, jakiej Sandy kiedykolwiek doświadczył. Powietrze nasycone było elektrycznością. Deszcz słabł.

—Cholera, a co, ja nie wiem! — wybuchła staruszka. Zerknęła na Sandy’ego i uspokoiła się. — Przepraszam, synu. Nie powinieneś tego słuchać. Za każdym razem jest tak samo, jak wraca Robbie. — Zaśmiała się cynicznie. — Zrobić wam coś do zjedzenia?

Wstała od stołu. Sandy spojrzał na Robbiego, który wyglądał przez zalane deszczem okno.

— Masz fajki, Kitty?

Poszukała w kieszeni sukni i rzuciła na stół paczkę tytoniu, cienki zwitek bibułek i zapalki.

— Dzięki — powiedział Robbie.

Kiedy groźba burzy ustąpiła, Sandy przypomniał sobie, że deszcz przychodzi po grzmocie, nie przed nim. Pocił się. Powietrze było parne, stało w bezruchu. Deszcz wszystko odświeży. Wspaniale było chodzić po deszczu. Miał nadzieję, że wkrótce uda mu się uciec.

— Wiesz, Sandy’emu podoba się Rian — powiedział Robbie niby od niechcenia, zwijając papierosa. Sandy’ego zaskoczyło okrucieństwo kolegi.

— Czy to dziwne? — mruknęła Kitty. Odwróciła się do nich. — Sandy, pamiętasz, co powiedziałam o wiedźmach? Cofam wszystko. Wiedźmy istnieją, a ta suka to jedna z nich. Trzymaj się od niej z dala. Taka jest moja rada, zawsze i wszędzie.

— Oto moja ciocia Kitty, pełna ludzkiej dobroci. — Robbie zapalił

papierosa i puścił oko do Sandy'ego. Kitty odeszła od kuchenki, szurając nogami. Wysunęła rękę, niczym jakiś wąż i spoliczkowała Robbiego tak mocno, aż papieros wyleciał mu z ust i spadł Sandy'emu na kolana. Sandy podniósł go szybko i trzymał. Zapadła długa cisza pełna twardych spojrzeń, zanim kobieta wróciła do kuchenki. Robbie wyciągnął rękę po papierosa. Zaciągał się, aż zapalił go jakby od niczego.

— Ta dziewczyna to nic dobrego, same kłopoty i ty o tym wiesz.

Sandy zastanawiał się, czy mówią to dla jego dobra. Nie sądził. Czy Rian kłamała? Tak to było? I komu tu ufać? To proste — nikomu.

Słońce przebiło się przez deszcz. Sandy wpatrywał się w okienko. Teraz brud był widoczny na wewnętrznej stronie szyby. Nozdrza podrażnił mu słaby zapach zupy i zepchnął głębiej stęchliznę kulek na mole. To był dobry zapach. Bogaty, jak zupy gotowanej przez jego babcię, gęsty od warzyw, z rosółem w tle. Nagle poczuł, że ma pusty żołądek, choć jadł dwie godziny temu. Nad garnkiem wkrótce zaczęła unosić się para. Na stole, po obu stronach małego telewizora, pojawiły się dwa talerze, potem dwa kawałki cienkiego, białego chleba i dwie wyblakłe łyżki. Sandy ostrożnie przyjrzał się łyżce leżącej przed nim. Wiedział, że będzie smakować metalicznie, i drżał na tę myśl.

— Zgaś tego skręta, jak jesz.

Rozkaz był wydany miękko. Robbie pstryknął niedopałkiem przez okno. — Zadowolona? — zapytał.

Kitty zignorowała go. Podała mu zupę i znowu wcisnęła się obok Sandy'ego. Poczul mrowienie w nodze, kiedy dotknęła go swoją. Odsunął ją niezdarnie, a wtedy drugą nogą otarł się o Robbiego.

— Chodzisz jeszcze do szkoły, Sandy? — zapytała Kitty.

— Tylko do Gwiazdki. — Wypił zupę, uważając, aby nie włożyć łyżki do ust. Kitty przyglądała mu się.

— No, to zdawałeś maturę?

Skinął głową. — Dzisiaj dostałem wyniki.

— Nie mówiłeś mi — odezwał się Robbie, połykając zupę wielkimi łykami.

— Nie pytałeś.

— I dobre wyniki? — zapytała Kitty. Sandy skinął głową. — Mama musi być zadowolona, co?

— Jeszcze nie wie. Powiem jej wieczorem. To będzie dla niej nie-

spodzianka.

Kitty znowu zarechotała. Zaczęła zwijać papierosa dla siebie. Robiła to ze znanstwem, jedną ręką i zębami. Naprawdę, trudno było uwierzyć, że ma tylko jedną rękę. Sandy starał się nie patrzeć.

— Wiesz, jak do tego doszło? — zagadnęła, z papierosem w ustach. — Opowiem ci. Pogryzł mnie pies, którym poszczuł mnie rolnik na północy. W okolicach Inverness, tak, Robbie? Widział, że podchodzę do domu, i spuścił na mnie tego cholernego psa, gnój jeden. Widzisz, po tym wszystkim nie poszłam do lekarza. Potem mocno bolało, ale było już za późno. Musieli amputować. Robbie miał wtedy trzynaście lat, nie, Robbie? — Skiął głową, patrząc w pusty talerz. — Tak, trzynaście miał. I wiesz, co zrobiliśmy? Kilku chłopca i mały Robbie podkradło się do gospodarstwa, kiedy rolnik zajmował się swoimi sprawami, i zabiło psa. — Zachochotała ponuro. Nie spuszczała oczu z Sandy'ego. Żołądek obrócił zupę powoli, aż zebrało mu się na wymioty. Ropa w jej lewym oku przypominała małą larwę, żywą i wijącą się. — Ukamienowali go i wrzucili do domu. Musieliśmy uciekać z tamtej okolicy, to jasne. Ale warto było.

Zaśmiała się. Usta miała niczym głęboką, czerwoną czeluść, otoczoną zębami jak odłamkami węgla. Robbie skrobał łyżką dno miski.

— Muszę już iść — powiedział Sandy. — Przepraszam. Dziękuję za zupę i herbatę. — Był świadom udawanej grzeczności. Świadom, że okazywał przez to swoją słabość. Pobladł. Staruszka odsunęła się, aby go przepuścić.

— Ja zostanę jeszcze — powiedział Robbie. — Mam sprawy do omówienia z ciocią. — Sięgnął po kolejnego papierosa.

— Miło było panią poznać — powiedział Sandy do Kitty.

— I ciebie też. — Zarechotała, znając prawdę. — Przychodź tu, jak tylko zechcesz.

Sandy wyszedł na zewnątrz i odetchnął powietrzem nasyconym zapachem trawy. Pies wstał i znowu zaszczekał. Zignorował zwierzę. Jakiś mężczyzna obserwował go z drzwi innej przyczepy. Drapał się po siwej brodzie, jakby brał chłopca za potencjalny posiłek. Sandy, z bijącym sercem, odszedł odważnie.

— Sandy!

Odwrócił się i zobaczył, że Robbie biegnie w jego stronę niezdarnie, jakby nie biegał nigdy wcześniej w życiu. Sandy poczekał na niego. Ostat-



nie kilka jardów jego przyjaciel przeszedł, zaciągając się papierosem. Zatrzymał się przy koledze i spojrzał w dal. Wymamrotał coś, a potem spojrzał z powrotem w stronę obozowiska.

— Obiecuj, że tego nie powiesz cioci Kitty — powtórzył. — Obiecuj, że nigdy nie powiesz jej, ani nikomu innemu.

Sandy pokiwał głową.

— Obiecuj — nalegał Robbie.

— Obiecuję.

— Dobra. — Wziął potężny oddech. Oczy miał takie same jak tamten kundel. — To słuchaj. Nie zabiliśmy tamtego psa. Żaden z nas nie miał odwagi. Posiedzieliśmy trochę w lesie, zapaliliśmy, a potem wróciliśmy do obozu i wszystkim opowiedzieliśmy naszą wersję. I że najlepiej będzie, jak się zaraz wyniesiemy. Wyjechaliśmy, żeby Kitty nie dowiedziała się, że tego nie zrobiliśmy. To by ją zabiło i nas też, gdybyśmy się przyznali. Więc nie martw się tym, ani nic w tym rodzaju. — Położył delikatnie rękę Sandy'emu na ramieniu. Sandy skinął głową. Chciał coś powiedzieć, ale Robbie już zawrócił. — Do zobaczenia — zawołał. — Przyjdź do dworu.

— Dobra — krzyknął Sandy. Odszedł, przekonany teraz, że Rian okłamała go na temat brata i ciotki. Nie chciał w to wierzyć, jednak dowody widział na własne oczy, tak samo jak krajobraz. Mógł je zaakceptować albo nie. Taka była rzeczywistość. Zmarszczył brwi. Chciał o coś zapytać ciotkę Kitty. O znaczenie swędzącego nosa. No, właśnie: co oznaczał swędzący nos?

### 3

George Patterson zarygłował drzwi, spuścił roletę i zaczął liczyć drobne w kasie, kiedy ostre stukanie do drzwi dało mu znać, że jego kolega czeka, aby go wpuścić. Wszedł zza lady, podszedł do drzwi, wyjrzał przez szybkę i z uśmiechem na twarzy odsunął zamek.

— Cześć, George. Zapracowany jesteś?

— Nie za bardzo, Matt. A ty?

Matt Duncan podrapał się w policzek. Nie ogolił się tego dnia i zarost

miął szary i twardy.

— Pomalutku, George — odparł. — Tylko tyle wszyscy możemy zrobić, nie? Robić swoje.

— Racja, Matt, święta racja. — Patterson ponownie zamknął drzwi i wprowadził tamtego na zaplecze, gdzie czasami strzygł klientów. — Wejdz, Matt. Znasz drogę. Zaraz do ciebie przyjdę.

Wrócił do liczenia, a palce miał sprawne i szybkie. Obliczył dzienny utarg, zapisał wynik na kartce, kartkę i banknoty schował do kieszeni, zamknął kasę. Potem przeszedł powoli na zaplecze, otworzył kolejne drzwi i znalazł się w małym pokoju, wygodnie urządzonego. Matt Duncan otwierał właśnie puszkę piwa.

— To święto w dzisiejszych czasach, móc wypić piwo wieczorem — powiedział, podając puszkę Pattersonowi.

George Patterson usiadł. Wiedział, że z Matta Duncana potrafi być łajdak, ale był starym przyjacielem. Patterson nie miał zbyt wielu przyjaciół. Odrzucał zaproszenia, tak samo jak inni mężczyźni odmawiali zabawy ze swoimi dziećmi. Jednak Matta Duncana, starszego od niego o pięć lat, znał jeszcze ze szkoły. Dobrymi przyjaciółmi stali się zaledwie w ciągu ostatnich pięciu lat. Obaj mieli prawo narzekać na przeszłość i obaj cierpliwie wysłuchiwali skarg innych, o ile tamci im się odwzajemnili tym samym. Patterson patrzył, jak przebiegły, starszy jegomość sadowi się w zabytkowym fotelu. W pokoju stały takie dwa, małe biurko i lodówka. Piwo trzymał w lodówce. Było schłodzone, a za sprawą bąbelków Patterson bekał bezgłośnie i często. Gazowane pioruństwo. Nie to samo, co w pubie. Później pójda do pubu, ale miło było wpierw posiedzieć i porozmawiać.

— Zrobiło się dzisiaj burzowo — powiedział Matt Duncan.

— Racja — odparł Patterson — ale czas się zrobił. Deszczu nie było od ładnych paru tygodni. Widziałem, jak wiatr pędził papierowe torby i śmieci, zupełnie jak osty na westernach!

Obaj zaśmiali się, bo obaj gustowali w starych, kowbojskich filmach. Duncan lubił powieści o Dzikim Zachodzie, ale George Patterson uznawał je za banalne. Nie rozmawiali o tych książkach, żeby nie zacząć się kłócić. Nie mogli sobie nawzajem pozwolić, aby stracić tego drugiego, chociaż tak naprawdę nie wiedzieli dlaczego.

— To było straszne. Złapał mnie deszcz, jak szedłem do bukmachera.

— Wygrałeś coś dzisiaj, Matt?

Duncan wykrzywił twarz z odrazą. — Ni cholery — odpowiedział.

— Ale Dod Mathieson, facet, co to sra pieniędzmi, oczywiście wygrał.

— Mówił z goryczą. Nie cierpiał tego człowieka, który wygrał. — Chciałbym wiedzieć, jak udaje mu się tyle wygrywać, kiedy ja przegrywam. Chyba ma jakieś konszachty z kierownikiem punktu. Zawsze piją razem, chociaż dla mnie ten gnojek nigdy nie ma czasu... No, coś tam musi się dziać. Wierz mi na słowo.

Patterson ze współczuciem pokiwał głową. Tak, świat wydawał się być okrutny dla Matta Duncana. To inni zawsze mieli lepiej... Tracisz syna, tracisz pracę. Straciłeś wszystko i stajesz się zgorzkniały. Patterson nie był zgorzkniałą osobą, zupełnie nie. Raczej przepeniała go wina. Wiedział, że wiedzie mu się gorzej od Matta Duncana, ponieważ nie mógł wyjawic swojej winy, chociaż często był tego bliski... Biedny Hugh... Jaki to wszystko miało sens? Nieustannie musiał karmić się wstydem i z nikim nie mógł się tym podzielić. No, prawie z nikim.

— Pamiętaj, Matt Duncan to nie człowiek, który donosi na ludzi. Jeżeli prowadzą jakieś podejrzane interesy, to właściciel tego interesu powinien sam to odkryć. Albo sam musi zgarniać coś dla siebie, żeby ignorować ich szwindel.

Ta konspiracja była dla Duncana niezaprzeczalna. Głośno popił piwo, jakby w tym smaku wyrażała się jego złość.

— Matt, a ty jesteś pewien, że to szwindel? — powątpiewał Patterson. — Może to po prostu szczęście?

— Pewnie, że tak, George — odciął się mały mężczyzna o ostrych rysach. — Za kogo mnie bierzesz? Przejrzałem ich gierkę. Czegoś takiego nie ukryjesz przed Mattem Duncanem. Jestem za bystry na takie coś. Oni myślą, że jestem głupi. — Zacisnął usta z wściekłością. Oddychał ciężko i głośno.

Patterson milczał i pił piwo, kiedy kolega się ekscytował. W górniczych miasteczkach całego Fife mnóstwo było takich zaciętych mężczyzn jak Matt Duncan. Przeważnie byli to najlepsi pracownicy, prowadzili zgorzkniałe, ograniczone życie w małżeństwie i wychowani byli w podobnym środowisku. Innymi słowy, swoją wściekłość przekazali im rodzice, przechodziła z pokolenia na pokolenie niczym szata do chrztu. Najwyraźniej była to postawa typowa dla klasy pracującej. Patterson często się nad tym zastanawiał. Wydawało mu się, że to dobre wyjście, wymówka, że nie do-

konał niczego w życiu. Jeżeli odniosłeś sukces, to albo się tobie „poszczęściło”, albo oszukałeś; nie było innej opcji. Skoro ci się nie udało, nigdy nie dostałeś takiej szansy.

Wszystko obracało się przeciw tobie. Pattersona przebiegł dreszcz. Mieszkał w tej społeczności przez pięćdziesiąt pięć lat. Na szczęście ojciec miał zawód. To uznawano za dobry początek. Tylko raz poczuł się tak, jak Duncan czuł się cały czas. Tylko ten jeden raz. Jego myśli uciekały przed tą autonienawiścią i groteskową myślą o tym wyłączonym okresie. Potrząsnął swoją puszką.

— Pusta? — zapytał Duncan.

— Tak, Matt. Pusta do dna — odparł zamyślony Patterson. — Wezmę kurtkę i pójdziemy do hotelu na porządnego drinka.

— Świetnie — przystał Duncan, klepiąc się po kieszeniach. — No nie — powiedział jak zawsze. — Znowu zapomniałem portfela, George, a ten złodziejski bukmacher dokładnie mnie oskubał... Mam pójść do domu?

Patterson, jak zawsze, potrząsnął głową. — Nie ma potrzeby, Matt. Zupełnie nie ma potrzeby. — Nawet się uśmiechnął.

Mama zaprosiła Andy’ego Wallace’a na kolację. Potem planowali wyjazd do Iana do Kirkcaldy. Usiedli we troje przy rzadko używanym stole i przez pewien czas jedynym odgłosem był brzęk dobrych sztuców o zastawę stołową.

— Dostałeś już wyniki, Sandy? — zapytał w końcu Andy Wallace.

— Dostałem. Dzisiaj rano — odpowiedział Sandy, skubiąc ziemniaka. Mama odłożyła widelec. Położyła dłonie z obu stron talerza, jakby chciała prosić o więcej.

— I? — zapytała.

— Pięć piątek, czwórka i trójka.

— No, no, no. — Andy Wallace oparł się wygodnie i z uśmiechem spojrzał na Mary. — To bardzo dobry wynik. Lepszy od stopni, które dostałeś na próbnej maturze.

Mary Miller chciała uścisnąć syna za rękę, ale uciekł z nią i podrapał się szybko w nos.

— Z takimi wynikami — mówił dalej Andy Wallace — byłbyś głupi, jakbyś zrezygnował ze szkoły na Gwiazdkę. Może zostaniesz, żeby zdać „dużą maturę”.

— Właśnie, Sandy. Zostań.

Sandy spojrział na matkę i na nauczyciela angielskiego. Dziwiło go podniecenie w głosie mamy. Andy Wallace, chociaż próbował tego nie okazywać, też sam się sobie dziwił. Jakiś czas temu miał nadzieję, że Sandy odejdzie ze szkoły przy najbliższej okazji. A teraz mówił chłopcu, aby został. Był zadowolony ze swojej moralności. Miał refleks nauczycielski.

— Pomyślę o tym — powiedział Sandy.

— Pomyśl — dodał Andy.

Mary uśmiechnęła się do nich obu. Jakby byli rodziną. Ostatnio martwiła się stosunkiem Andy'ego do niej. Bo jak długo będzie jeszcze taki cierpliwy? Nie wiedziała, ale wyczuwała u niego narastającą frustrację. Gdyby tylko zdecydowała się, żeby się kochać, ten jeden raz, wtedy będzie dobrze. Gdyby tylko.

— Z takimi stopniami mógłbyś iść na studia, gdybyś tylko został jeszcze w szkole mówił Andy, nie chcąc, aby znowu przy stole zapadła cisza. Nadział cztery groszki na widelec i wsadził je między zęby. — Masz takie dobre stopnie, jak ja kiedyś.

Sandy jednak skupił się na jedzeniu. Delikatnie kroił mięso. Koncentrował się na swoim talerzu. Mama miała czerwone policzki z dumy. Teraz wyglądała jak księżniczka uwięziona w wieży. Sandy przypomniał sobie wiersz, który napisał o Rian. Równie dobrze pasował do jego mamy. Włosy miała zaplecione z tyłu. Srebro mieszało się z czernią. Metal z wodą. W bladym świetle zdawała się migotać. Sandy nie mógł się doczekać, aż będzie miał dom tylko dla siebie wieczorem. Zamierzał zaprosić Rian do domu pod nieobecność mamy. Uśmiechnął się na tę myśl. Matka zauważyła ten uśmiech i też się uśmiechnęła. Nie miał serca odwracać się od niej, kiedy była szczęśliwa.

We dworze panowała cisza. Zimny wiatr poruszał starymi dębami i niósł w jego stronę wołania graczy z pola golfowego na pierwszym dołku. Poczekał, aż przejdą dalej fairwayem, zanim wspiął się po rynnę. Ruszał na spotkanie z przygodą. Nic nie stało mu na przeszkodzie. Miał tylko nadzieję, że Robbie nadal jest w obozowisku. Płonna była to nadzieja, ale zabierze Rian bez względu na zachowanie jej brata. Musiał ją zabrać na neutralne terytorium (lub nawet, jeżeli starczy mu brawury, do *siebie* do domu), aby zadać jej pewne pytania.

Wepchnął kopnięciem zniszczoną deskę do środka, przerzucił nogi przez



parapet i był już w środku. Przeszedł pośpiesznie mrocznym korytarzem, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo i otworzył drzwi do jej pokoju. Nikogo tam nie było. Mimo to wszedł do środka, nie wierząc w swojego pecha.

— Och, to ty.

W przestrachu serce mu się na chwilę zatrzymało. Odwrócił się. Chowała się za drzwiami.

— Usłyszałam skrzypiące okno — powiedziała. — Nie był to Robbie, więc się schowałam... — Teraz uważnie mu się przyglądała. Zrobił krok w jej stronę i ich usta spotkały się, ich języki splotły się niczym małe węże u wejścia do pieczary. Trzymał ją w talii. Włosami dotykała grzbietów jego dłoni. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że ona ma swoje zamknięte jak w ekstazie. Czarne kreski jej rzęs potęgowały namiętność pocałunku. Odsunęła się.

— Wyjdziemy. Dobrze? — Sandy głos miał drżący i niepewny, chociaż starał się, aby brzmiał po męsku.

— Dokąd? — Oczy miała szeroko otwarte. Objęła się długimi rękami. Było jej zimno. Sandy pamiętał, że skórę miała lodowatą w dotyku.

— Gdzieś, gdzie jest ciepło — powiedział. — Pomyślałem, że może chcesz zobaczyć, gdzie mieszkam. Mama wyszła ze swoim znajomym. Nie wrócą aż do północy. Chciałabyś? — Teraz był uczniakiem błagającym niedoszłą sympatię. Otwierał oczy tak szeroko, jak tylko mógł. Rian poprawiała sobie włosy.

— Powinnam poczekać na Robbiego. Nie było go cały dzień.

— Jest u cioci Kitty.

— Tak? — Była szczerze zaskoczona. — Nie mówił, że do niej idzie. Skąd wiesz? — Kiedy podeszła do okna, zauważył, że twarz ma nabrzmiąłą od snu, niewinną jak u noworodka. Oparła się o okno w połowie zakryte deskami.

— Dzisiaj byłem tam z nim.

Rzuciła mu spojrzenie ostre jak żądło. — Poszedłeś tam? — zapytała drżącym głosem.

— Tak, żeby dowiedzieć się, co oznacza swędzący nos. Pamiętasz.

— Och, ale to było dawno temu. — Była niezdecydowana. Wtedy uśmiechnęła się. — Dobra, skoro mój brat może iść sobie do naszej knującej ciotki i nic mi o tym nie mówi, to ja mogę pójść z przyjacielem do jego domu. Mam rację? — Podeszła do niego i wzięła go pod ramię. — Idziemy? —

zapytała.

Uśmiechnął się, zdjął kurtkę i kazał jej założyć.

— Och, Sandy. — Jej twarz znowu była chora, tylko w połowie ożywiona. — Boję się, co oni mogą tam planować. Wiesz, że mnie nienawidzą. Wszyscy tam mnie nienawidzą. Chcą mnie wykorzystać i skrzywdzić... — Rozpłakała się. Położyła mu głowę na ramieniu. — Och, Sandy — znowu powtórzyła.

Unióś jej głowę, pocałował ją w skroń przelotnie i zaczął prowadzić ją w stronę korytarza. Przesuwała stopy po deskach podłogi, jakby na nowo uczyła się chodzić po wypadku. Lędźwie Sandyego pulsowały. Nie mógł w to uwierzyć. Jeszcze nawet nie miał szesnastu lat. Wkrótce może dzielić tę wiedzę na równi z Colinem. Wkrótce będzie miał czym pochwalić się przed gangiem. Czuł w sobie siłę.

Pokonali kilka ogrodzeń i przebrnęli przez kilka pól, zanim, niewidziani przez nikogo, dotarli do jego domu od tyłu. W Carsden sekrety były prawie niemożliwe, ale Sandy poczuł, że dobrze się spisali. Chociaż Rian narzekała, nie zdradził jej przyczyny tego swojego ukradkowego zachowania.

W ogrodzie zdrapali błoto z butów o krawędź ścieżki. Ogród trzeba było koniecznie przekopać i Sandy obiecał sobie w duchu, że w weekend poświęci mu nieco pracy. Otworzył kuchenne drzwi własnym kluczem, który dorobił dawno temu bez wiedzy mamy, a potem wykonał przesadny gest, zapraszając do środka Rian. Ona ukłoniła się z gracją i weszła. Sandy zamknął za nimi drzwi.

Teraz, kiedy Rian znalazła się w jego domu, Sandy poczuł się zakłopotany. Jej zapach był zaraz wszędzie. Dom zmienił się, stał się dla niego obcy. Oprowadził ją jak uczeń na praktyce u agenta nieruchomości. W jego pokoju, ostatnim miejscu, jakie oglądali, usiadł niby przypadkiem na łóżku i poprosił ją, aby też usiadła. Przysiadła obok niego, układając dłonie na kolanach. Cmoknął ją w policzek. Uśmiechnęła się, ale wyglądała na przestraszoną. Przyglądała się plakatom na ścianach i dwóm rzędom jego książek.

— Dużo masz książek — powiedziała.

Jego odwaga zmarniała niczym piosenka, którą puszczano zbyt długo. zaproponował, żeby wrócili na dół napić się, a ona przystała na to z ochotą. Kiedy wychodzili z pokoju, Sandy poprawił narzutę na łóżku, na zawsze usuwając jej ślad. Zarumienił się i pokrył to nerwowym kaszlem.

W dużym pokoju oglądali telewizję i wypili trochę whisky, tylko tyle, żeby nikt nie zauważył, ile ubyło w butelce. Rian była zaczarowana ekranem telewizora. Siedziała blisko odbiornika, a jej twarz mieniła się tęczą kolorów wraz z programami, gdy zmieniała kanały. Wolną ręką głaskała dywan, jakby to był śpiący kot. Na dworze znowu padało. Zmokną, jak będą wracać przez pola. Sandy zaciągnął zasłony. Zgasił światło. Telewizor był ich magiczną latarnią. Włączył mały elektryczny kominek i Rian przysunęła się bliżej ciepła. Trzymała teraz w ustach kciuk, kiedy decydowała się, jaki kanał oglądać. Sandy usiadł na podłodze obok niej. Uczucia do tej szczupłej dziewczyny mieszały się w nim, ale niemniej były pełne napięć.

— Rian — odezwał się, ale ona nie odpowiedziała. — Rian. — Tym razem burknęła coś, spojrzała na niego, uśmiechnęła się, pocałowała w policzek i odwróciła się z powrotem do telewizora. Sięgnął za siebie w stronę ściany i bez słowa poluzował wtyczkę telewizora. Obraz zaskwierczał i znikł z ekranu. Jedyne czerwień piecyka oświetlała ich w nagłej ciszy.

— Sandy, co się stało? — Mówiła jak dziecko. — Zrobiłeś coś? Zrobiłeś...

Udał przerażonego. — Ja? Nic nie zrobiłem. — Wcisnął kilka klawiszy w telewizorze, sięgnął za odbiornik, zmarszczył brwi i w końcu zdecydował: — To musi być bezpiecznik. — Wyciągnął śrubokręt z jednej z szuflad i całkowicie wyciągnąwszy wtyczkę z gniazdka, zaczął otwierać oprawkę. — Słuchaj — powiedział wtedy. — Możemy porozmawiać o pewnych sprawach? — Mówił to, przyglądając się dokładnie wnętrzu wtyczki. Rian gapiała się na nią niczym widz na sali operacyjnej.

— O jakich sprawach? — zapytała powoli z narastającą ciekawością. — O tym dniu w Kirkcakiy. O tym, co mi powiedziałaś. Co mówiłaś o Robbie. Czy to wszystko była prawda? Czy zmyślałaś? — Nie spuszczał oczu z wtyczki. Mówił, jakby był bardzo zajęty. Ona dalej przyglądała się wtyczce, nawet nie zerkając na niego.

— Oczywiście, że to prawda — powiedziała. — Dlaczego o to pytasz?

Wzruszył ramionami. — Takie miałem przecucie, to wszystko. Mówiąc prawdę — przy tych słowach dopiero na nią spojrzał — nie sędzę, aby Robbie zrobił to, o czym mówiłaś. Dlatego się zastanawiam. — Pochylił się nad wtyczką. Śrubokrętem wyciągnął bezpiecznik z oprawy. — Aha — powiedział.

Jej twarz, tuż obok, była purpurowa, policzki gorące od ognia. Zbliżała się ostrożnie.

— Sandy — powiedziała — każde słowo było prawdą. Przysięgam na Boga. — Niezdarnie próbowała przeżegnać się. — Każde słowo. Robbie jest straszny. Ty tego nie widzisz, ale jest. Kryje się przed tobą... — Słowa utknęły jej w gardle. W oczach pojawiły się łzy. Tak jak wtedy na falochronie, nie pozwoliła, aby spadły. Spojrzała na niego. — Robbie opowiada o mnie mężczyznom. Nakłania ich, aby dali mu pieniądze, a wtedy ja muszę im to zrobić. Wiesz, o co chodzi? — Zarumienił się, skinął głową i dalej przyglądał się wtyczce. W środku wszystko w nim pulsowało. — Albo każe mi iść szukać mężczyzn, a potem muszę oddać mu pieniądze. Bije mnie, jeżeli nic mu nie przyniosę. Czasami kradnę, żeby nie musiała tego robić, ale wtedy on myśli, że jestem w tym jednak dobra. Och, Sandy...

Chociaż miał pochyloną głowę, widziała, że płacze. Szlochał bezgłośnie, ale jego plecami wstrząsał spazm. Objęła go ramieniem. Nie wiedział, dlaczego płacze... może nawet z zazdrości. Długo nie płakał, pewnie aż od śmierci babci. Nawet nie wiedział, co to oznacza. W jego łzach, w strużkach spływających po policzkach, Rian dostrzegła jego człowieczeństwo. W porównaniu z nim jej łzy były małe.

— Och, Sandy. Dlaczego płaczesz?

Mogła równie dobrze zapytać go o jego definicję miłości. Potrząsnął głową i pociągnął nosem. Posmarkał się jak dziecko. Czuł, jak rumieni się na policzkach ze wstydu. Skończyło się bohaterstwo. W sercu nadal był gównianym prawiczkiem. Wydmuchał nos ze złością. Ona dotykała jego twarzy. Objął ją i powoli położył na podłodze. Leżeli razem nieruchomo. Sandy wpatrywał się w sufit, gdy Rian głaskała go po twarzy i szyi. Kiedy próbowała usiąść, przyciągnął ją ku sobie i pocałował z całych sił. Jeżeli był jej chłopakiem, to czy nie zasługiwał na to? Przyciągnął ją do siebie jak bliźniaka tuż przed narodzinami. Opierała się lekko. Przetoczył się na nią i po chwilowym, pełnym znaczenia kontakcie wzrokowym, położył dłoń na jej małej piersi. Zamknęła oczy. Przesunął rękę na dół, obserwując jej twarz. Dłoń miał tak wrażliwą jak nerw w zębie. Poznawał każde zagięcie materiału jej spódnicy. Dotknął palcami jej kolana. Znowu zaczął przesunąć dłoń ku górze. Otworzyła oczy niczym wartownik przyłapany na drzemce. Odepchnęła go i przetoczyła się na bok. Wstała. Nieomal krzyczała drżącym głosem.

— Nie, Sandy, nie z tobą, Sandy! Nie, nie. — Przerwała, dysząc ciężko. — Nie masz prawa. — Odwróciła wzrok. — Nie chcę tak.

— Mam trochę pieniędzy na górze, jeżeli o to ci chodzi. — Uznał to za dobrą kwestię, coś, co mógłby powiedzieć aktor.

Wbiła w niego wzrok i ruszyła w jego stronę. Wiedział, tak samo jak Robbie w przyczepie, co się stanie. Uchylił się przed jej ciosem. Wyglądała teraz na silną i wściekłą. Cedziła słowa.

— Nie mów tak. Nie pozwalam ci. Jesteś taki sam jak cała reszta. Nienawidzę cię. — Odwróciła się, szukając płaszcza. Nie miała płaszcza, tylko jego kurtkę.

Podeszła do drzwi. Rzucił się za nią.

— Nie idź — powiedział. Stała przy kuchennych drzwiach, plecami do niego. — Przepraszam. Nie wiedziałem, co robię. Proszę, poczekaj. Mam dla ciebie prezent. Poczekasz? — Skinęła głową, aż zafalowały jej długie włosy. — Już dobrze — dodał.

Wbiegł na górę, biorąc trzy stopnie na raz, jego specjalność, i wszedł do zimnej sypialni. Czy to w ogóle była sypialnia? Tak, sypiał tu, na krótko zanim babcia zmarła. Może przez dwa lata. Nie pamiętał. Chyba mama też tu spała, kiedy wujek Tom był za duży, żeby mieszkali razem w pokoju. Ale pokój był zimny. Pamiętał, że miewał tu koszmary. Otworzył kufer i wyciągnął jedną z wielu wełnianych rzeczy. Była to piękna chusta, jedna z tych, które zrobiła jego babcia. Zamknął wieko i zbiegł na dół. Rian najwyraźniej nie poruszyła się.

— Proszę — powiedział. Nadal się nie odwracała. Ułożył chustę delikatnie na jej ramionach. — Prezent — rzekł.

Spojrzała na rogi chusty. Potem się odwróciła uśmiechnięta. Objęli się. Włosy miała czyste jak morski brzeg. Poglaskał je. Stali tak przez chwilę.

— Słuchaj — zaczął — chyba mam pomysł. — Mówił jej do ucha, z twarzą zwróconą na kuchnię. — Chciałabyś zamieszkać tu z nami? Porozmawiałbym z mamą. Zrozumiałaby. Na pewno. Ona też jest wyobcowana, pamiętaj.

— Chciałabym chyba, Sandy. Ale nie mogę zostawić Robbiego. On, hm, nie wiem, co zrobiłby beze mnie. Ale...

Zawiesiła głos. Czuł, że jest rozdarta między czymś w rodzaju rodzinnego masochizmu a wolnością.

— Ale słuchaj — mówił w podnieceniu. — Postaram się, żeby Rob-



bie był zadowolony.

— Jak? — Jej głos nabrał ciepła.

— A gdybym tak dał mu pieniądze, żeby go uspokoić na pewien czas?

— Pieniądze?

— No tak, jakbym kupił ciebie od niego, ale tak naprawdę kupiłbym ci wolność. — Głos miał podekscytowany. Czuł się jak stary filantrop. Odgrywał lekcję historii.

— Pieniądze — wyszeptała.

— Tak. — Prawie jej nie słyszał. — Dam mu pieniądze.

— Ile?

Uśmiechnął się na jej szybką reakcję. Przytulił ją do siebie, a oczy, niczym nowe gwiazdy, kierował przez drzwi do kuchni, przez drzwi na dwór, prosto w kosmos. Wszystko było możliwe. Wszystko. — Och, nie wiem.

— Trzydzieści albo nawet czterdzieści funtów? — zapytała.

— Czterdzieści? — zaproponował obojętnie.

— Ale lepiej byłoby pięćdziesiąt, co? Wzięłaby pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt? — Dużo pieniędzy, ale to i tak była okazja.

— Ale skąd weźmiesz pięćdziesiąt funtów, Sandy?

— Rzeczywiście, skąd. Po głowie chodziły mu różne plany. Wszystko było możliwe, ale co było prawdopodobne? — Zdobędę je — powiedział, zbierając się na bohaterstwo.

Rian odsunęła się nieco od niego, widziała przekonanie w jego twarzy, wzięła oddech i pocałowała go szybko trzy razy.

— Och, kocham cię, Sandy. Naprawdę. — Poglądziła chustę. — I dziękuję za prezent. Ładny jest. Nigdy wcześniej nie dostałam prezentu, szczerze. Kocham cię.

Znowu go pocałowała. Śmiał się teraz. Wzruszył ramionami.

— To stara chusta — powiedział. — Tu się nikomu nie przyda. Mamy ich dużo. Będzie ci ciepło w nocy. Nie chcemy przecież, żebyś marzła. — Spojrzał na zegarek. — Boże, jest już po jedenastej! Chodź, odprowadzę cię do dworu. Wyglądasz w tym jak dama. — Wskazał głową chustę, kiedy otulała się nią. — Naprawdę.

Zgasił światło z namysłem i nadzieją, że zdąży posprzątać, zanim mama wróci z Andym Wallace'em. Pięćdziesiąt funtów. Tyle kosztowało radio. Albo dziesięć płyt. Zdobędzie je, ale skąd, teraz nie przychodziło mu do

głowy. W każdym razie to kwestia przyszłości. Teraz był zadowolony, że wspina się na płot za swoją dziewczyną, przypominając sobie, jak to wchodziła po rynnie. Zeskoczył w błoto i trawę, szedł dalej z trudem bagnistymi polami, przez mżawkę, ku jej zamkowi.

#### 4

Powietrze na plebanii było wychłodzone. Iain Darroch zatarł ręce, wchodząc, aż książki niesione pod pachą ześlizgnęły się z hałasem na podłogę. Tymczasem zignorował je, włączył kominek w wygodnym saloniku, a potem wrócił do holu, zamknął należycie drzwi, pozbiierał książki i nadal opatulony w płaszcz, wrócił do słabego, ale przybierającego na sile żaru.

Wrzesień. Liście zmieniały kolor. Lato się skończyło. Wypatrywał długiej zimy z przygnębieniem. Zimą rzeczywiście brakowało sił, witalnych, duchowych i fizycznych. Nie zachwycał się tą perspektywą. Zaparzył herbatę w nienagannej kuchni i przyniósł ją do kominka.

Usiadł na dywaniku z owczego kozucha i popijając herbatę, przyciągnął do siebie książkę na małej ławie.

Rozmowa z wielebnym Walkerem coś w nim rozbudziła, potrzebę poznania parafii, tak samo, jak chce się poznać własnych przodków. Przeczytał kilka książek ze zbioru pastora Walkera, a teraz przyniósł jeszcze trzy z Biblioteki Publicznej w Kirkcaldy. Carsden miało dziwną, fascynującą przeszłość. Samo Fife miało ważne znaczenie historyczne, ale jego tak naprawdę interesowało Carsden. Zaczął czytać. Obok leżał notes z zahaczonym o brzeg piórem. Fife, jak odkrył, było pełne przesądów. Może Kościół nigdy nie był tak silny, jak powszechnie uważano. Czarownice palono w Fife aż do samego końca siedemnastego wieku, a dane pochodziły z niepełnych źródeł. Kto wie, co mogło się dzieć potem? Robert Baillie, presbiteriański pastor z tamtych czasów, napisał, że w roku 1643 w przeciągu kilku miesięcy w Fife spalono trzydzieści czarownic. James Hogg napisał, czy też stworzył, liryczną balladę pod tytułem „Wiedźma z Fife”, a istniał też powszechnie znany wiersz, „Wiedźma z Pittenweem”. Pittenweem leżało niedaleko miejsca, gdzie urodził się Darroch, a cały wschodni kraniec najwy-

rażniej obfitował w opowieści o czarownicach. Darroch był tym zafascynowany.

Z początku gromadził te fakty w notesie w sposób przypadkowy, a potem coraz bardziej systematycznie. Prawdopodobnie znalazł swego rodzaju związek między dwoma aspektami historii Fife. Cromwell wybrał Burntisland jako jedno z pierwszych miast, które zaatakował (około 1651?), ze względu na jego rolę jako portu. Ustawa z 1842 zakazywała kobietom pracy pod ziemią. Stąd wziął się przesąd, że kobieta, która zejdzie do szybu, przyniesie pecha. Szyb. Już samo to słowo poruszało go. Pod koniec lat pięćdziesiątych już w tym stuleciu (?) w Glenrothes królowa otworzyła szyb. Obejrzała go. Kilka lat później trzeba było kopalnię zamknąć ze względu na zalewanie. Uznano to za część przesądu. Hrabia Wemyss był właścicielem wielu kopalń w Fife, chociaż nie tych w okolicach Carsden. Niektóre z tych szybów zostały zatopione, według rodzinnych zapisków, w miejscach, gdzie płonęły stosy z czarownicami. Lud otrzymywał jałmużnę w formie bryłek węgla. Węgiel to magiczna skała, czarny diament, tajemniczy i życiodajny.

Carsden miało swoje miejsce, gdzie palono czarownice, nie obecną kopalnię, ale miejski park, który schodził aż do płytkiej rzeczki, stosownie nazwanej Ore, co znaczyło *ruda*. Podejrzane (udowodnione?) czarownice dobrzy ludzie z wioski wsadzali do beczki, którą następnie smarowali smołą i podpalali. Wieko przybijali gwoździami i całe urządzenie toczono w dół zbocza do rzeki. Rzeka niosła krzyki, a beczka dymiła i syczała jak sztuczne ognie. Straszne, że działo się to w siedemnastym wieku. Trzysta lat temu. Mary Miller była, w pewnym sensie, szczęściarą.

Przypadkowe notatki miały dla Darrocha związek. Górnictwo, jak mu się wydawało, było zawodem przesądnym i szło ramię w ramię z zabobonami i paleniem czarownic tamtego wieku. Znów pomyślał

o Mary Miller. Biedna kobieta. Przesady trzymały się dobrze, uchwycone przez umęczoną klasę robotniczą jako sposób na wyznaczenie kozłów ofiarnych za ich nędzny los. Było to łatwe rozwiązanie. Zamiast buntować się przeciw obszarnikom albo patrzeć po sobie, po prostu wyżywali się na tych spoza nawiasu i przyszywali im miano czarownic, winiąc za wszelkie nieszczęścia, potknięcia w gospodarce. Dzięki temu wieśniacy czuli się lepiej w swoim głodzie i zgorzknieniu. Karmili się tym tak samo, jak ogień

karmi się węglem. Darroch zreflektował się. To byli jego parafianie! Powinien być wobec nich cierpliwy i po chrześcijańsku tolerancyjny. To było jednak trudne przy ich pokrętnych metodach. Wrócił do czytania książki, piecyk ogrzewał mu ubranie, aż pachniało jak świeżo wyprane i wyprasowane.

Niepokoili go sama nazwa miasteczka. Carsden. Prawdopodobnie nazwa wzięła się od Carsden Woods na obrzeżach miejscowości, doliny wśród lasów. Lecz jaka jest etymologia samego Carsden? Były dwie możliwości, z których jedna wydawała się złowróżbna. Pojechał specjalnie do Edynburga, do Biblioteki Narodowej, aby zrobić te notatki. Zajrzał do *Scottish National Dictionary* Granta, *A Dictionary of the Older Scottish Tongue* Craigie'a, *Scots Dictionary* Chambersa i *Jamieson's Scottish Dictionary*. Znalazł pewien konsensus. „Car” oznaczało lewo albo leworęczny. Znaczyło też (prawdopodobnie dlatego, że przesądni ludzie uważali leworęczność za złowróżbną) złowrogi, fatalny albo zły w moralnym sensie. „Carlin” (także „carling”, „carline”, „karlyn”, „karling”) to po prostu wiedźma. Było to szczególnie prawdziwe, kiedy używane było w Lothian, Ayreshire (kolejny obszar zagorzałych polowań na czarownice) i Fife. Z tego Darroch wydedukował, że Carsden może oznaczać dolinę czarownic. Przestudiował inne, podobne nazwy miejscowości. Nazwa Carllops, przy drodze na południe z Edynburga do Biggar, wzięła się od imponującej skały. Darroch odkrył jednak, że istnieją dwa wytłumaczenia etymologii. Według jednego, było to miejsce, skąd wylatywały czarownice, pierwotnie Carlings-Loups. Drugie natomiast podawało, że z tego miejsca wieśniacy zrzucali kobiety podejrzane o czary i krzyczeli do nich, aby pofrunęły, jeśli potrafią. Skoro Carllops wzięło nazwę od czarownic, to dlaczego nie Carsden? W słowniku *Jamiesona* znalazł też, że „car” mogło oznaczać ufortyfikowaną dolinę. Jednak żadne źródła historyczne nie wzmiankowały o fortyfikacjach, aż do czasów świętego Cuthberta i budowy kościoła. To była zagadka. Przekornie, jako prawdziwą, wybierał pierwszą wersję.

Błąd, bo żadne „czarownice” nie pofrunęły ze Wzgórza Carllops, ratując sobie życie. Żadna „czarownica” nie przeżyła groteskowego rytuału topienia w Carlsden. Nie było czarownic. Istniały tylko przesady. Znalazł się w społeczeństwie, gdzie takie przekonania nadal funkcjonowały. Kopalnie zamykano. Kto był winny? Takie abstrakcyjne pojęcia jak gospodarka i inwestycje? Nie można było im pogrozić pięścią. Lepiej znaleźć kozła ofiar-

nego. Tak też postąpili. Nieszczęśliwy wypadek naznaczył Mary Miller fizycznie i wypchnął ją poza nawias społeczeństwa, które ją zaszczuło. Była idealnym celem. Darrocha ogarniała coraz większa złość, kiedy udawał, że dalej czyta. Co mógł począć? Miał ochotę pobiec do domu tej kobiety i prosić ją o wybaczenie w imieniu całego miasta. Chciał z nią porozmawiać, zobaczyć ją. Była przykładem dzielności. Była chrześcijaństwem. On, wręcz przeciwnie, to sama hipokryzja. Musiał powiedzieć jej o tym wszystkim. Miała brwi niczym aksamit albo czarny, gładki koci grzbiet. Twarz miała bladą, ale żywą. Włosy srebrne. Srebrne i czarne. Musiał jej powiedzieć. Musiał ją teraz zobaczyć.

Wielebny Walker powiedział mu, że Mary nie pracuje. Darroch założył marynarkę, wyłączył piecyk i zatrzasnął za sobą frontowe drzwi. Po drodze poznawał miasto. Teraz było inne, zdecydowanie inne od tego, które zobaczył pierwszego dnia, kiedy z dumą i nadzieją oglądał kościół. Krople deszczu znaczyły mu ramiona, ale nie zwracał na nie uwagi. Odświeżały go.

Było daleko, a przez całą drogę wiatr wiał mu w twarz, jakby chcąc go zniechęcić. Piach wirował na Main Street i wpadał mu do oczu. Pochylił tylko głowę przed wzmagającym wiatrem i szedł przed siebie.

U podnóża stromego Wzgórza leżał cmentarz. Jej dom znajdował się po drugiej stronie wzniesienia. Pod nylonową koszulą, wełnianym swetrem i kurtką pot spływał mu po plecach. Zatrzymał się na chwilę na szczycie. Na cmentarzu panował spokój, poza skrzekliwymi głosami wron przy kościele Cardell. Może odwiedzi wielebnego Walkera, skoro jest w tej okolicy. Zauważył jakąś postać zajmującą się grobami. Nie, nie zajmującą się, ale siedzącą przed jednym z grobów na wilgotnej trawie. Jej włosów nie można było pomylić. Otworzył furtkę na cmentarz i poszedł w jej stronę przez trawę. Kiedy zbliżał się, usłyszał jej głos. Zrozumiał, że mówi do zmarłych rodziców. Znieruchomiał, zdumiony. Głos miała cichy i delikatny, zupełnie jakby to były drobne patyki porwane przez nurt rzeki. Nie zbliżał się, nie chcąc jawnie podsłuchiwać, chociaż i tak to czynił. W końcu wstała, odwróciła się i zobaczyła go. Szybkie uderzenie krwi zabarwiło jej policzki w zmarzniętej od wiatru twarzy.

— Och — wydobyła z siebie.

On jednak był bardziej zażenowany od niej. Rozłożył ręce w przeproszającym geście. Przy bramie rozległ się klakson. Przeniosła wzrok w tamtą stronę. Z samochodu jakiś mężczyzna machał do niej. Pomachała mu



w odpowiedzi.

— Muszę iść — powiedziała. — Tam mój chłopak, przyjaciel. W samochodzie. — Wskazała i poszła.

— To nic — odpowiedział z udawaną wesołością. — Ja właśnie przechodziłem i pomyślałem...

Pomachała do niego, uśmiechając się ostrożnie. Kiedy dotarła do bramy, ktoś otworzył drzwi samochodu od środka. Darroch opuścił ręce, a potem bezpiecznie wepchnął je do kieszeni kurtki. Teraz nie będzie go szanować. Śledził ją. Jej groby. Jej rodziców. Spojrzał na marmur, na złote litery. Rozmawiała z nimi. To była najbardziej osobista rzecz na świecie, a on wtargnął jak... jak... jej chłopak. Miała sympatię. Może też była szczęśliwa. Dlaczego żalem Iain Darroch czuł się rozczarowany?

Tylko dwie osoby widziały chłopca i młodą Cyganekę, kiedy szli przez pola, trzymając się za ręce. Zaslaniała ich ściana deszczu, a niebo było koloru ciemnofioletowego sińca. Jedną z tych osób był Matt Duncan. Obserwował ich z polnej ścieżki, kiedy udał się na wieczorny spacer. Skupił na nich wzrok, robiąc oczy jak szparki. Czuł, jak w głowie płaczą mu się przeróżne myśli. Wepchnął ręce do kieszeni kurtki i przeklął.

Drugą osobą była pani Fraser, właścicielka sklepu spożywczego. Wracała do domu, zaniósłszy zakupy wielebnemu Walkerowi. Duchowny jak zwykle zatrzymał ją rozmową o dawnych czasach i o nowym pastorze. Przechodziła obok pola i starego szpitala, kiedy zobaczyła dwie niewyraźne postacie po drugiej stronie muru. Szeptaly coś i śmiały się. Wspięła się na palce, aby zobaczyć je lepiej. Oni jej nie widzieli, ale ona widziała ich bardzo dobrze i otworzyła usta ze zdziwienia, kiedy rozpoznała chłopaka. Dziewczyny nie mogła skojarzyć, ale wiedziała, co to za jedna. O mój ty Boże... Pani Miller (nazywała ją panią, bo tak było stosownie) była dobrą klientką. Pani Fraser będzie musiała powiedzieć jej o nieodpowiednich przyjaźniach jej syna. Powie jej zaraz z samego rana, gdyż pani Miller zjawiała się w sklepie wcześniej, żeby uniknąć kolejek. Dziewczyna z cygańskiego taboru... No proszę, proszę. Ale może tego należało się spodziewać. Poczekać, aż miasto się dowie.

Jedli kolację prawie w milczeniu. Sandy był w dobrym humorze. Zastanawiał się, jak przekazać mamie sprawę Rian. Czy powinien odnieść się do jej współczucia, a może raczej od razu postawić swoje żądania? Tyle

miał własnych kłopotów, że nie zauważył niepokoju na twarzy matki, jej spojrzeń i tego, że właściwie nie jadła, tylko przesuwała jedzenie na talerzu.

W końcu wstała z krzesła i zabrała jego pusty talerz. Podeszła do zlewu i puściła gorącą wodę. Sandy czknął, nie ruszając się z miejsca. Przyglądał się plecom mamy. Włosy miała związane w gruby kok na karku. Czarne pasemka rozchodziły się na bok i ginęły w cieniach sukienki. Żałował, że on nie ma takich atrakcyjnych włosów, ale zaczęły się trochę przethuszczać i nie mógł nic z tym zrobić, jedynie przystać na to, jakie są i jak się układają. Podrapał się w szyję.

— Sandy, co się stało z chustą babci? — usłyszał.

Zakręciła wodę i stanęła twarzą do niego, z rękami na krawędzi zlewu.

— Co? — Wiedział, że czerwieni się na policzkach. Serce mu pędziło jak samochód wyścigowy. Właśnie wyjechał na bardzo długą prostą. Cholera, pomyślał. Cholera.

— Dałeś ją jej?

— Komu?

Śmiech mamy, który nastąpił po pytaniu, był niemiły. Przypominał zwycięski rechot jędzy. Nie uśmiechała się teraz. — Cygance, oczywiście. Twojej dziewczynie.

— Mamo, posłuchaj, ona jest...

— Wiem, kim ona jest! Wszyscy w mieście wiedzą, kim ona jest. Ale wszyscy starają się ją ignorować. To ich nie dotyczy. Ale teraz ty zacząłeś się z nią zadawać. Jak możesz być tak głupi? — Ostatnie słowo było jak próba ognia. Twarz Sandy'ego płonęła niczym ogień. Nigdy nie widział, aby mama była na niego taka zła i taka oburzona. Ledwo słuchał reszty jej werdyktu: — To zwykła dziwka. Miałeś szczęście, Sandy. Udało ci się zdobyć akceptację tego miasta. Ciężko na to pracowałam. Nie było łatwo ani tobie, ani mnie, a teraz chcesz to wszystko zaprzepaścić przez nią. To głupie. Nie ma w tym ani krzty rozumu. Zaraz całe miasto się dowie.

— I co?

— Co? Powiem ci. Nie myślisz, że było mi wystarczająco ciężko, zanim ludzie zaczęli wyśmiewać się ze mnie, bo mój syn się łajdaczy? — W kącikach jej czarnych oczu zebrały się łzy, pojawiły się tak nagle.

— Ona nie jest taka.

— O? A jaka jest? Powiedz mi.

— Ona... — To było już niemożliwe. Te wszystkie układne prze-

mówienia, argumenty, dostojność, przepadły w mgnieniu oka. Czuł, że mózg ma jak gąbkę. Walczył z okrutnym i doświadczonego przeciwnikiem. Czuł się pobity, pozbawiony tchu, leżał na linach i nie miał dokąd się wycofać, jedynie na środek ringu. — Ona jest taka jak my — wydobył z siebie.

Mama szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Znowu się zaśmiała, trafiając go głębiej. — Jak my? Jak śmiesz? To dziwka. Nie jest taka jak my, Sandy.

Wtedy zdecydował się na okrutne posunięcie, chciał powiedzieć „Więc kto jest moim ojcem?”, ale nie potrafił tego zrobić. Przełknął to z trudem. Jednak w ciszy najwyraźniej jego myśli trafiły w cel. Matka podeszła i usiadła przy stole.

— Mamo — zaczął błagająco — ja bardzo chcę, aby żyła, zamieszkała tu z nami. — W ten sposób jakby prosił, aby dzieliła z jego mamą łóżko. Mama tylko szerzej otworzyła oczy. — Posłuchaj, wyjaśnię ci. Rian nie jest taka, jak myślisz...

— W takim razie gorsza.

— Nie, lepsza. Została wykorzystana, to wszystko.

— Wykorzystana? O tak, i to nie raz! I wszyscy to wiedzą. Przy najmniej tu ciebie nie ogłupiła. — Sarkazm trwał tylko sekundę. Patrzyła na stół, przyglądała się butelce z sosem. W palcach obracała solniczkę. Kiedy atak nie przyniósł rezultatów, łyzy ustąpiły. — Sandy — powiedziała spokojnie, robiąc kilka wdechów — Proszę, obiecaj, że więcej nie zobaczysz się z tą dziewczyną. Obiecaj mi to, a wszystko będzie w porządku. Zobaczysz.

Spoglądał na fałszywą miłość w jej oczach. To było bez sensu. Potrzebował czasu. Mama nie dawała mu szans. Odsunął krzesło, nie słysząc niby okropnego zgrzytu na linoleum, i wyszedł z kuchni. Wszedł na górę, hałasując, jak mógł najbardziej.

W pokoju u siebie położył się na łóżku, na brzuchu i zamknął oczy na wszystko: na mamę, na Rian i na mały, ciasny świat, na którym urodził się w taki tajemniczy sposób.

W dniu urodzin, tak jak zaplanował, Sandy wsiadł do porannego pociągu do Edynburga. Mama dała mu piętnaście funtów. Wziął pieniądze spokojnie, dziękując tak grzecznie, jakby dziękował dalekiej ciotce. Ona też zachowywała się spokojnie, ale postanowiła nie ustąpić w kilku kłótniach, które przeszli w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Sandy powiedział nawet, że jeżeli mama zaakceptuje Rian, to wtedy on wróci do szkoły, żeby zrobić „dużą” maturę. Potrząsnęła głową. To szantaż, nazwała to, zgodnie z prawdą. Szkoła zaczęła się przed trzema dniami. W głębi duszy Sandy’ego kusiła dalsza nauka. Jego przyjaciele nie znaleźli dla siebie nic po skończeniu szkoły. Czy mu się to podobało czy nie, miał czas na decyzję do Bożego Narodzenia. Wiedział, że jak do nich dołączy, będzie to zimny, nijaki świat dorosłych szybko zastygającego betonu. Mark i Clark byli już nim znudzeni i nazywali go „szczęściarzem”, ponieważ mógł wrócić do ciepłego jak łono wnętrza szkoły ze starymi kaloryferami i sarkastycznymi nauczycielami, nauczycielami takimi jak Andy Wallace, który próbował rozmawiać z nim o Rian i jego matce, ale był z niego kiepski, mało sprawny dochodzeniowiec.

Teraz miał pieniądze w kieszeni i siedział w starym pociągu, którego lokomotywa ciągnęła trzy wagony drugiej klasy. Nie zamierzał wydawać za dużo pieniędzy, tylko tyle, żeby zadowolić matkę. Resztę zamierzał wykorzystać, żeby kusić Robbiego, gdyż nie zrezygnował ze swojego planu. Jedynie nieco go zmodyfikował. Razem z Rian wyjadą z Carsden albo sama Rian ukryje się gdzieś przed bratem i ciotką. Ten pierwszy był bardzo drastyczny. Władze znajdą go. Będą poszukiwaną parą. Nie był przekonany, że w obecnych czasach taki melodramat może rozgrywać się poza hollywoodzkimi produkcjami. A jednak nie było alternatyw, albo były mało satysfakcjonujące. Widział, jak Carsden oddala się od niego niczym piłka na gumce. Wkrótce zastąpiły je pola i niemrawe krowy. Elektryczne słupy ciągnęły się aż po horyzont niczym olbrzymy, a on przyglądał się ich rytmowi przez okno. Pociąg mijał podwórka, jakby inkwirował szarą rzeczywistość w każdej miejscinie. Śmieci ścielące się po ogródkach. Fabryki i magazyny z rdzewiejącymi częściami. Sprzęt do robót ziemnych pracujący w całym Fife, płonące zakłady petrochemiczne w niewyraźnej, zamglonej dali.

Rozważał możliwość, że ktoś może rzucić kamieniem w okno pociągu. Co mógłby zrobić? Nie uchylił się, tak samo, jak nie zamierzał uciekać

przed spoliczkowaniem przez Rian. Będzie siedział i obserwował trajektorię kamienia zmierzającą do jego odbicia. Jego oczy zamkną się na odłamkach szkła. Dlaczego będzie tak siedział? Aby doświadczać i aby później móc przekląć swego stwórcę za to, że stworzył ten wypadek. Wierzył w Boga, ale było to złośliwe coś i będzie o tym mówić przez małe, rozmyślnie „b”. Wierzył w boga. Wierzył w okrucieństwo i nieuniknioność cierpienia. I wierzył, że jest potępiony. Jakby na potwierdzenie jego myśli, nad cieśniną Firth of Forth zebrały się chmury burzowe. Pociąg przejechał ponad nią po czerwonej konstrukcji mostu we mgle, która zasłaniała most drogowy i wodę. Wiedział, że to wszystko jest przez niego.

Wkrótce pojawił się przed nim Edynburg pod postacią gąszczy szarych budynków. Z Dworca Waverley wydostał się stromym podejściem na spotkanie robót drogowych, spalin i leniwej mżawki. Skierował się w stronę Princess Street, z jedną ręką w kieszeni, aby nie zgubić cienkiego rulonu pieniędzy. Chłód miasta był fizyczny. Ludzie mijali go, nie zauważając. Nikt nie skłonił głowy ani nie rejestrował jego istnienia. Wkrótce był cały mokry. Mżawka była drobna, ale za sprawą samochodów i ludzi deszcz uderzał go w twarz, jakby nie zasługiwał na nic lepszego.

W kawiarni przepłacił za puszkę lemoniady. Jeszcze uważniej ścisnął swoje funty. Duże sklepy wyglądały jak gniazda ożywionych mrówek. Na ulicach były śmieci i dziwni ludzie proszący o pieniądze albo leżący na ławkach. Turyści przechodzili powoli, udając, że nie widzą niczego poza tym, co jest do oglądania. Sandy zaczął zastanawiać się, czy to wszystko jest w ogóle prawdziwe. Kupił tanio dwie płyty w sklepie przy South Clerk Street. Skiepy wszędzie były zamykane, remontowane i otwierane na nowo. Wiele wystaw zabito deskami. Obwieszczenia NA SPRZEDAŻ zasłaniały widoki. Znalazł się na małym, betonowym skwerze. Dookoła na stopniach siedzieli ludzie i rozmawiali. Wydawali się dość młodzi, chociaż kilka lat starsi od niego. Było spokojnie. Droga przebiegała łukiem w przyzwoitej odległości od skweru. Stare i szare budynki mieszały się z bardzo nowymi i białymi. Wszedł do jednego z tych nowszych. Miał szklaną kopułę, pod którą rosła kępa tropikalnych roślin i drzew. Z jakiejś kawiarni dochodziła muzyka. Był tam bank. Dwa inne sklepy były zamknięte. Sandy, czytając różne napisy porozmieszczane wszędzie dookoła, doszedł do wniosku, że znalazł się w jakimś budynku uniwersytetu edynburskiego. Był zaskoczony. Rozejrzał się ukradkiem, ale nikt nie miał zamiaru go stąd wyrzucać. Wy-



szedł z budynku i przeszedł przez plac do innego. W środku był dość podobnie urządzone. Były niczym małe, samowystarczalne środowisko. Z jakiegoś powodu przypominały mu Carsden. Żałował, że nie zabrał z sobą Rian. Sam nie wiedział, dlaczego jej o to nie poprosił. Nie widywał się z nią często przez ostatnie tygodnie. Mama go wystraszyła, ale nie poddawał się. Nie miał tyle pieniędzy, aby ją zabrać. To wszystko. Potrzebował więcej pieniędzy. Czuł, że Robbie nie pozwoli jej odejść za mniej niż trzydzieści funtów. A Sandy miał tylko dwadzieścia siedem funtów i pięćdziesiąt centów, minus to, co dzisiaj wyda. Ścisnął kieszeń, wymawiając życzenie, aby pieniądze się rozmnożyły.

Długo siedział w budynku. Zjadł kanapkę w pustej stołówce. Było tu spokojnie. Nie chciał stąd iść, ale pociąg do domu odchodził za niecałą godzinę. W dobrej księgarni obok uniwersytetu kupił zbiór wierszy Teda Hughesa, o którym uczył się w szkole, i powieść, o której gdzieś słyszał. Potem poszedł na dworzec, gubiąc się dwa razy, aż musiał zapytać o drogę. Raz nie mógł znaleźć nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o Edynburgu, i musiał zapytać sprzedawcę gazet, od którego czuł się zobowiązany kupić wieczorną gazetę, chociaż kosztowało go to kolejne szesnaście pensów.

Pociąg zatłoczony był powracającymi z pracy do domów. Musiał stać w przedziale dla palących, aż cały się spocił od dymu i zrobiło mu się niedobrze. Ludzie najwyraźniej byli do tego przyzwyczajeni. Czytali gazety albo książki i nie rozmawiali, ani nawet nie patrzyli na siebie. Sandy, ściskając kurczowo książki i płyty, nie mógł czytać. Zamiast tego patrzył przez dostępny, mały fragment okna, jak burzowe chmury na Fife przewalały się w głąb lądu.

## 6

Przez pokryte warstwą brudu okno cukierni George Pattreson obserwował puste, chłostane deszczem ulice. Przeliczył dzienny utarg, żalospną sumę. Myślał o zbliżającej się zimie. Nie wytrzyma kolejnej. Myślał o Carsden, o miasteczku, którym kiedyś było, o człowieku, za którego kiedyś się uznawał. Stał się ruiną, jak to miasto. Przez ponad szesnaście lat żył w bezpo-

średnim potępieniu. Zgrzeszył ciężko. Skłamał, oszukał, obserwował, jak jego szkaradność wdiera się do serc innych ludzi pod zwodniczym przebraniem uśmiechniętego zrozumienia i z każdą minutą coraz bardziej to nienawidził — zastanawiał się, kiedy jego kłamstwa wyjdą na jaw, na co miał nadzieję i o co się modlił, ale jego życzenia nigdy nie zostały spełnione. Zastanawiał się, kiedy pęknie, kiedy dotrze do ostatniej krawędzi nad przepaścią, spojrzy w nią i rozwiąże kryzys. Dotarł do tej fazy. Ten ostatni dzień spędził, odliczając wrzody w swoim życiu, akt bezwartościowego samo-potępienia, którego już dokonywał wcześniej, ale nigdy z tym samym postanowieniem. Dochody nie mogły być niższe. Lato się skończyło. Mógł odmierzać życie opróżnionymi do połowy słojami na półkach z lekami, nieokreślonymi rzeczami. Przepeniała go rozpacz nad sobą, a jedyny sposób skończenia z tą hipokryzją był łatwy, a jednocześnie najtrudniejszy.

Przeszedł na zaplecze i zamiótł ścięte włosy po dwóch klientach tego dnia. Wsypał je do wiadra i postawił miotłę pod ścianą. Potem poszedł do małego biura, gdzie na biurku stała butelka whisky zawinięta w cienia, brązowy papier. W szufladzie biurka stały trzy buteleczki z różnymi tabletkami. Te tabletki kusily go już wcześniej. Teraz uległ ich pokusie. Stawiał whisky przeciw ich zwycięstwu. Usiadł przy biurku, wyciągnął kartkę z szuflady i zaczął pisać dziecięcym, staromodnym pismem.

Padało przez cały dzień i całą poprzednią noc. Rzeka wyszła z brzegów i zalała park na głębokość prawie do kolan dorosłego człowieka. Część drogi do Lochgelly także była podtopiona, chociaż pozostawała przejezdna. Woda zbierała się w studzienkach na poboczu i czekała cierpliwie, aż zostanie wchłonięta. Ludzie mówili, że nigdy nie widzieli takiego deszczu. Lał się całymi ścianami wody, srebrnej i czarnej, jak w dniu sądu ostatecznego. Teraz zalewał rynsztoki i rozlewał się kałużami, a ludzie przyglądali się temu, jakby szukali siły, która ewidentnie w tej ulewie uczestniczyła. Wreszcie się skończyło, a woda wsiąkała w ziemię, jakby spełniła swoje zadanie.

Na niebie jakby zawisły takie miotły. I nie wiadomo, czy ich tam nie było. Zdecydowanie było na to wystarczająco ciemno.

Dzisiaj nie było jednak Halloweenu. Żadnych wrzeszczących dzieciaków, dymiących lampionów z rzepy, cudaczných przebrań. Chociaż Sandy, idąc bezgłośnie wysychającymi ulicami, miał myśli takie jak w Halloween. Stuk, puk, stuk, puk, to my, przebierańcy. To była piosenka na Hal-

loween, czas czarownic. A przecież to dopiero koniec września. Halloween jeszcze daleko. Nerwowo mijał domy, w których był znany. Słuchał telewizorów ustawionych na pełen regulator i kłótni, które przypominały mu jego własne, jakie przechodził z matką. Mimo wszystko zdecydował się na dalszą naukę do „dużej” matury. Nie powiedział jej o tym, ale był pewien, że Andy Wallace to zrobił. Zadania domowe czekały, choć myśli miał pełne Rian.

Dzisiaj ukradł mamie funta z portmonetki. Trzy dni temu zrobił to samo. Jego wina odbijała się w kłótniach, a poza tym do konspiracyjnej ciszy odległej nocy wkradały się te dźwięki, drwiąc z tego, co zamierzał zrobić.

Jednak musiał to zrobić, bo potrzebował pieniędzy. Kradł, oszczędzał, robił wszystko, co przyszło mu do głowy. Wszystko z wyjątkiem tego... Drżał. Szedł w stronę Cardell, tam, gdzie mieszkała Rian. Były tam nowe domy, przyjezdni, którzy go nie znali. Dla nich nie był synem wiedźmy. Dotykał palcami puszek z pastą do butów w kieszeni. Przyćmione przez żaluzje światło wskazywało mu jego cel. I znowu przyszła mu ta myśl do głowy. Jestem na to za stary, o wiele za stary. Jestem za stary i jest zbyt wcześnie, i jest to głupie. Głupie, głupie, głupie. Potarł czoło, jakby dokucał mu ból głowy. Robił to dla pieniędzy. Potrzebował pieniędzy, i to dzisiaj. Pieniądzy dla Rian. Był teraz tak blisko, a jednak oddzielająca go odległość stanowiła problem. Westchnął. No, to po pieniądze.

Przykucnął pod żywopłotem i wyciągnął puszkę z kieszeni. Była wypełniona w połowie. Mama używała pasty do czarnych, skórzanych butów, a on do szkolnych. Pachniało ciepłą kuchnią, owocami na paterach, co z jakiejś przyczyny przyprawiało go o większy niepokój. Umoczył rękę w puszcze i rozsmarował gęstą pastę na obu policzkach i nosie, cały czas zmuszając się, aby nie myśleć o nadchodzącym momencie. Potem, wytarłszy dłonie o brzeg chodnika, zdjął kurtkę i wywinął na lewą stronę. Kiedy założył ją z powrotem, była pomarańczowa, z kłębkami białej bawełny. To będzie musiało wystarczyć.

Przed nim wznosił się dom, większy niż wszystkie inne. Stał przy bramie, robiło mu się niedobrze, a serce waliło ze strachu. Wtedy przypomniał sobie, że to w końcu jedynie psikus w stylu Halloween, więc podrepotał do imponujących drzwi z drewna i mosiądzu. Długo stał na progu, nawet się nie zastanawiając. Po prostu stał. Kiedy w końcu ktoś przeszedł holem, spanikował. Myślał, że ktoś wyjdzie i zastanie go tu w podejrzanym miejscu.

Nacisnął dzwonek, uznając, że ma już gotową historyjkę. Osoba w korytarzu zatrzymała się, położyła coś na stole i otworzyła drzwi.

Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany po domowemu. Kapatnie miał brązowe, puchate i znoszone. Rozpinany sweter zwisał mu luźno z ramion. Nosił okulary i miał posiwiały wąs. Sandy nagle przypomniał sobie, że dzisiaj nie ma Halloweenu i że w całej swojej dziwaczności jest dziwnym zjawiskiem dla tego mężczyzny.

— Słucham? — powiedział mężczyzna. Sandy poczerwieniał na twarzy i miał nadzieję, że pasta zatuszuje ten fakt. — No? — Dwa kubki kawy parowały na stoliku z telefonem za mężczyzną, a nad nimi wisiało ozdobne lustro, w którym Sandy dostrzegł fragmenty swojego odbicia. Wyglądał jak Cygan. — No?

— Pensa dla Guya — wydusił z siebie.

Mężczyzna wyjrzał na zewnątrz. — Dla jakiego Guya w zasadzie?

— zapytał.

Sandy gapił się idiotycznie w to samo miejsce, w które patrzył mężczyzna. Zaczął przypominać sobie swoją historyjkę.

— Jeszcze nie zrobiłem kukły — powiedział. — Dlatego potrzebuję pieniędzy. — *Potrzebuję pieniędzy dla Rian.* — To będzie największy Guy w wiosce. Muszę zacząć wcześniej, rozumie pan. To na cele charytatywne. — Przy tym ostatnim kłamstwie spuścił oczy pełne winy na próg. Zrozumiał, że mówi za szybko.

Mężczyzna zaśmiał się. — To sprytne — powiedział, a potem dodał: — Margaret! Pozwól na chwilę!

Zapadła wymęczona cisza, wypełniona uśmiechami, aż otyła kobieta, z robótką w dłoniach, podeszła do drzwi. Mężczyzna zrobił dla niej miejsce. Między nimi wisiało lustro.

— Proszę — odezwała się pani — ktoś nas tutaj odwiedził. — Jej głos i twarz nabierały protekcjonalnego wyrazu.

— To przebieraniec — wyjaśnił mężczyzna — ale nie ma Guya. Dlatego potrzebuje pieniędzy i dlatego zaczął obchód cały miesiąc wcześniej. Mówi, że to na cele charytatywne!

Sandy miał nadzieję, że jego własne milczenie wydusi z nich pieniądze. Chciał uciec przed ich drzwiami, ale powstrzymała go jedynie myśl o ich śmiechu.

— A zobaczymy tego Guya, jak będzie skończony? — zapytała ko-

bieta.

— Och, tak — odparł Sandy. Patrzył na swoje odbicie w lustrze. Wyglądał trochę jak Robbie, tylko brudniej. To podobieństwo przykuło jego uwagę na moment, aż uświadomił sobie, że pani coś jeszcze powiedziała. — Słucham? — rzucił.

— A czy możesz coś zrobić?

— Coś zrobić?

— No tak — powiedziała kobieta. — Zaśpiewaj.

— Zaśpiewaj? — powtórzył jak echo, spoglądając na mężczyznę.

— Margaret, to chłopiec jest czy jakaś cholerna papuga?

Wtedy się porządnie uśmiali, aż się lekko pochylili. Tak, wyglądał trochę jak Robbie, twardy i nieugięty.

— Nie umiem śpiewać — powiedział.

— Hm, to powiedz żarcik — zaproponowała kobieta.

— Jesteś na to trochę za duży, synu, co? — wtrącił mężczyzna.

— To na pewno umiesz zatańczyć — dodała kobieta, potrząsając pokązną tuszą jak jakaś ciotka na weselu. — No, już, dawaj.

Sandy spoglądał na swoje nogi. To były potwory chore na słońcowaciznę. Z ciekawości poruszył jedną nogą, a potem zaczął szurać na przemian obiema. Gapił się na siebie w lustrze. Widział obszarpanego podrostka o czarnych jak aksamit włosach, w przewróconej na lewą stronę kurtce, podrygującego głupkowato na progu obcego domu. Zmusił się, aby myśleć o Rian, ale nie zadziało. Jakaś kula zaczęła zbierać się w gardle. Znowu pomyślał, żeby uciekać, żeby zawrócić na piętach i wzbić się w to cudownie czyste, nocne powietrze. Widzowie uśmiechali się i klaskali w dłonie w rytm jego ruchów, cofnąwszy się nieco głębiej do wnętrza, aby mieć lepszy widok. Mężczyzna zaczął gwizdać, kobieta nuciła chropowatym głosem, poruszając jakby sprośnie ustami. Sandy był oburzony. Gapił się na nich jak niedźwiedź na łańcuchu, a oni klaskali, pogwizdywali i przytupywali, podśpiewując do rytmu. Rozsierdzony zatrzymał się. Kobieta i mężczyzna przestali klaskać.

Nagle mężczyzna przyjrzał się Sandy'emu uważnie.

— Niezbyt dobrze ci to idzie — powiedział. — Niezbyt dobrze. — Zachichotał.

Sandy uświadomił sobie, że nie był to wcale miły dźwięk. W oddali słychać było dzieci. Sandy'ego trzymała tu jedynie myśl o pieniądzach i chciał



tym głupcom, tym ciepłym, zadowolonym głupcom wykrzyzczyć całą prawdę. Umyślnie zagryzł wargę w nadziei, że wezmą to za oznakę tępoty. Kiedy zerknął w lustro, zobaczył sprytną twarz, twarz anonimową i taką, której trzeba się bać. Spodobała mu się ta mina. Wbił spojrzenie w mężczyznę. Kobieta ucichła. Obojętnie wzięła kawę ze stolika. Przygarnęła robótkę do piersi.

— Ile mu damy? — zapytał mężczyzna, zwracając się do żony. Wzruszyła ramionami, patrząc przez sekundę na Sandy'ego.

— Niewiele był wart — powiedziała lodowato. I dodała: — Chodź, skończyły się reklamy.

— Wiele byłem wart! — Sandy krzyknął wprost w jej oddalające się plecy.

Mężczyzna spróbował zaśmiać się bardziej szczerze.

— Tak jest, dzisiaj to wszędzie już nie za wiele robi się za pieniądze, co? Na tym polega problem tego kraju. Jak najmniej za jak najwięcej pieniędzy, tak to działa. Szybko się uczysz, chłopcze. Tylko nie za szybko, mam nadzieję. — Grzebał w kieszeni. Wyciągnął rękę zamkniętą w małą pięść i wyciągnął ją w stronę Sandy'ego, który rozpostarł dłoń i przyjął dźwięczące monety, nawet nie patrząc na nie.

— Oj, bzdury pan opowiada — powiedział, odwracając się, żeby odejść. Mężczyzna znowu zachichotał. Jakby nietoperze zatrzepotały o okno, jakby zdmu chnięto świeczkę. — Tylko nie rzuć teraz czarów — zawołał uszczypliwie, zamykając drzwi.

Żołądek Sandy'ego wykonał pojedynczy obrót, nie więcej, a potem chłopak uśmiechnął się na myśl, że zmusił tego starego słabeusza do powiedzenia tych słów. Idąc już, zdjął kurtkę i przełożył na prawą stronę. Czuł się teraz silniejszy, odmieniony. Jednak nie potrafił przejść tego jeszcze raz, za nic, nawet dla Rian, jego Rian. Poszedł dalej pod górę, z dala od hałasujących dzieci. Podniósł z ulicy gazetę, napluł na nią i potarł o twarz. Otworzył ciepłą dłoń i naliczył prawie pięćdziesiąt pensów. Tylko pięćdziesiąt. Lecz zdobył coś jeszcze, co emanowało z niego powoli, im bardziej pocierał policzki, czerpiąc radość z ostrego, wyraźnego bólu. Pięćdziesiąt błyszczących pensów dla Rian, jego Rian.

Miał więc dwadzieścia cztery funty i osiemdziesiąt pensów, aby skusić Cygana.

Według Darrocha, w Piątej Symfonii Mahlera było coś religijnego. Słu-

chał jej, popijając wytrawne sherry, a kieliszek był absurdalnie mały w palcach... silnych, pokrytych włosami palcach. Skończył pisać kazanie na niedzielę. Jego kazania — pełne ukrytych morałów, a także niespecjalnie ukrytych — były ciepło przyjmowane przez parafian, z których jednak żaden nie starał się wprowadzić ich w życie. Czuł się sfrustrowany. Co jeszcze mógł zrobić? Robił notatki na marginesie kazania, które trzymał na kolanach. Gdyby tylko zdobył się na odwagę

i porozmawiał poważnie z tą kobietą, wówczas mógłby zgłębić uczucia miasta wobec niej. Jednak za każdym razem, kiedy z nią rozmawiał, tłumił w sobie słowa i uczucia. To było absurdalne. To z powodu jej oczu, nie potrafił powiedzieć głośno nic z tego, co czuł tak intensywnie. Stawała się jego obsesją. Nie chciał myśleć o tym jak o miłości, uznał, że wyleczy się z tego tylko wtedy, jeżeli porozmawia z nią o jej życiu w mieście. To jednak doprowadziło go z powrotem do pierwotnego dylematu. W muzyce Mahlera też były emocje i w rozgrzewającym sherry też. Działały na niego niczym przyjaciele, łagodnie go zachęcający. Obejmowali go i szeptali, jak wąż, wprost do ucha. Pokój otaczał go jak sama śmiertelność: nieunikniona i bezwzględna. Otrząsnął się z tych wzmagających się rozmyślań. Przyszła pora na racjonalność i trzeźwość. Pomyślał o długim spacerze do domu Mary Miller i zdecydował się pojechać samochodem. Podtopienia między św. Cuthbertem a Cardell nie były zbyt duże. Uda mu się przejechać, z boską pomocą.

\*

Płakała po raz pierwszy od tygodnia. Poddała się przepaści, która nie wiadomo skąd otworzyła się między nią a Sandym. Patrzyła wstecz, jak Andy wyjaśnia, dlaczego będzie najlepiej, jeśli rozstaną się na pewien czas. Patrzyła, jak przeprasza i wychodzi z jej domu, z domu jej rodziców, z domu jej dziadków. Czuła, jak wali się na nią świat. Jak we śnie poszła wtedy do budki telefonicznej, ale nie udało jej się połączyć z Kanadą. Teraz była na ponurym cmentarzu, ale trawa była zbyt mokra, aby usiąść — nie, to nie był prawdziwy powód — więc stała przy grobie rodziców. Układała w myślach słowa. Otworzyła usta raz i drugi, ale wydobyła z siebie jedynie suche czknięcie. Potem rozplakała się. Płakała i wciągała łzy z powrotem do oczu,

nie chcąc uronić ani jednej. Spoglądała na rozmazany obraz liter na kamieniu. Przeczytała imię ojca. Wiek w momencie śmierci. Drobną sentencję na dole. Wtedy zaczęła mówić. Mówiła tylko do mamy, a opowiadana historia miała sprawić, że ojciec zniknie na zawsze.

— Straciłam go, mamusiu. Zdecydował, że przez pewien czas nie powinniśmy się widywać. Wiesz, co to znaczy. Tak rozstają się tchórze. Mamo, to jednak nie była jego wina. Nie, on się starał. To ja. Nie chciałam z nim uprawiać seksu. To był problem. To mój największy problem, mamo, ale nigdy ci o tym nie mówiłam. Krępujące, co? Ale mam ci powiedzieć, dlaczego? Powiedzieć ci to, czego nie umiałam powiedzieć Andy'emu? Kochanemu Andy'emu. Znienawidzisz mnie, mamo. Znienawidzisz mnie na wiečność. — Wydmuchała nos. Niebo dookoła niej pociemniało. Nagle też przed cmentarzem zapaliły się latarnie. — Zawsze myślałaś, że to był Tom, co, mamo? To nie on. Tutejsi też myślą, że to był Tom. Chyba nawet Sandy tak myśli. Wiesz, że nigdy nie zapytał mnie na poważnie, kto jest jego ojcem. I tak nigdy bym mu nie powiedziała. Ale teraz chcę powiedzieć tobie, mamo. Bóg jedyny wie, że długo to więziłam w sobie.

Znowu zrobiła przerwę i otuliła się szczelnie płaszczem, chociaż wieczór był łagodniejszy niż cały dzień. Sandy wydał jedną z chust, jedną z chust jej matki. Nigdy mu tego nie wybaczy. Dał ją tej cygańskiej suce. I to po tym wszystkim, co ona dla niego zrobiła...

— Sandy — powiedziała. — Sandy...

Potem opanowała się. Przyszła tu, aby rozmawiać z mamą.

— Pamiętasz tamten dzień, mamo. Drugi dzień Bożego Narodzenia. Wyjechałaś do cioci Beth w Leven. Powiedziałam, że źle się czuję. Tom i tata umówili się na wieczór z kolegami. Pojechałaś więc sama. Tak naprawdę to myślałam, że wtedy odchodzisz od nas, to znaczy na zawsze. Ale wróciłaś. Myślałam, że picie taty i jego depresje, to było dla ciebie za dużo do zniesienia. Wiem, że to nie jego wina. Kopalnie zamykano, a jemu nie zostało zbyt wiele pieniędzy, ani dumy. Ciężko było każdemu, co? Zawsze były jakieś tłumaczenia. Ale kiedy wróciłaś i kiedy później powiedziałam ci, że jestem w ciąży, pomyślałaś, że to wydarzyło się tej nocy. Miałaś rację.

Jakiś samochód przejechał drogą przy cmentarzu. To musiał być jakiś śmiałek, żeby jechać w taki dzień.

— Tom był na tańcach przez większość nocy, a potem z dziewczyną, którą czasami odwiedzał w domu. Byłam na górze, w łóżku, ale ubrana.

Słyszałam, jak wszedł tata i George Patterson. Pamiętasz, mamó, że się przyjaźnili. George Patterson był z tatą wtedy, jak tata zginął. To było samobójstwo, wiesz. Od razu się domyśliłam. To było samobójstwo tamtej nocy i od tamtej pory całą winę dźwigał George Patterson. Nie zrobiłam nic, aby ją zdjąć. Mam nadzieję, że jego życie było piekłem! — Jej głos, z początku niesamowicie spokojny, nabierał teraz umiarkowanej hysterii. Szarpała płaszcz, wpatrując się ponad cmentarnym murem w chmury. — Byli pijani i hałasowali na dole. Słyszałam, jak przewracali szklanki, a potem butelka przetoczyła się po podłodze w kuchni. To dziwne, jak takie szczegóły utkwia człowiekowi w głowie. Pamiętam też, co krzyczeli. Coś o śmierci miasta i śmierci robotników, i końcu dumy. Górnotłote słowa. Głównie użalali się nad sobą. Przeklinali system i biurokrację. Przeklinali Komisję do Spraw Węgla. Przeklinali wszystko, tylko nie siebie. Tata krzyczał najbardziej. Prawda, tato? George tylko tak ciebie wspierał. On nie miał o co się martwić. Sklep funkcjonował nieźle. Żył sobie jak pączek w maśle. Ale złościł się razem z tobą. Nie mogłam tego znieść. Wtedy rzeczywiście rozboleła mnie głowa. Zwlokłam się na dół.

Kiedy weszłam do salonu, poczułam się, jakbym wchodziła gdzieś po raz pierwszy. Pokój zmienił się zupełnie. Fotele były poprzestawiane, kanapa też. Na stole stały jakieś szklanki, inne na kredensie, a dwie leżały przewrócone pośrodku pokoju. Na podłodze stał karton w połowie wypełniony puszkami i butelkami piwa. Pamiętam to tak wyraźnie. Na kominku stała butelka ciemnego rumu obok innej, z whisky. Tata przygarniał ręką George'a Pattersona. Chwiali się na środku, krążąc wokół kartonu. Tata zobaczył mnie pierwszy. Włosy przyklepiły mu się do czoła. Pot zalegał mu w fałdach na szyi, a może były to łzy. Koszula zwisała mu na spodniach. Już kiedyś wcześniej, leżąc w łóżku, słyszałam, jak był tak pijany, ale nigdy go takim nie widziałam. Chociaż patrzyłam na mojego ojca, wiedziałam, że to jest ktoś inny, ktoś o innym głosie i innym spojrzeniu od tej osoby, którą znałam. Podeszedł do mnie i objął mnie w tali jedną ręką, ale to nie było żartem. Wymknęłam się mu i usiadłam na kanapie z założonymi rękami. Bałam się, ale chciałam tam być, rozumiesz? Chciałam należeć do ich świata, świata dorosłych mężczyzn. Miałam piętnaście lat, pamiętaj. Znalazłam się już na granicy tego świata. Zachowywałam się więc jak dorosła kobieta. Głupia byłam. Siedziałam na kanapie i dąsałam się. Tata osunął się obok mnie i poprosił o całusa od córeczki. Zbliżył twarz do mojej i pocałował

mnie w usta. To było obrzydliwe. Był nieogolony. Podrapał mnie. Przytrzymał mnie tak kilka sekund. Potem znowu przyciągnął mnie do siebie, ale tym razem nie były to całusy taty, to już było tak, jak robią dorośli. Mówił też, mówił o zmarnowanym życiu i że żyje tylko dla mnie, że zawsze wolał mnie od Toma. Głaskał mnie po plecach i miał cuchnący oddech. Myślałam, że tylko on mi teraz został. Myślałam, że uciekłaś z domu. Chyba było mi go trochę żal, ale bardziej żałowałam siebie. Tata chwycił mnie mocno i cały czas ciągnął ku sobie. Trzymał mocno, jak prawdziwy górnik, a ja upadłam na niego. Och, mammo, tak to było. Wtedy to wszystko się wydarzyło i Patterson też tam był. Ale tata dalej nie nalegał. Nie, nie opowiadam tego dobrze...

Przerwała. Zaszło jej w gardle. Nabrała dłonią trochę wody z kałuży i chleptała ją jak pies. Czowała, że mówi za szybko. Nic z tego nie miało sensu.

— Nie wiem, co chcę powiedzieć, mammo. To było tak dawno temu. Ale potem, kiedy tacie zrobiło się niedobrze, musiał iść do łazienki i tam się wywrócił. To Patterson. On to zrobił. On to zrobił. Wbrew mojej woli, zdecydowanie, ale byłam zdezorientowana. Uderzyłam go, ale był duży i ciężki. I mówił do mnie, ale inaczej niż tata... Starał się mówić jak chłopak. To było straszne. Mówił nawet coś o małżeństwie. W końcu pobiegłam na górę i usiadłam na podłodze, opierając się plecami o drzwi na wypadek, gdyby próbowali wejść. Nie zasnęłam przez całą noc, a oni spali. To było obrzydliwe, mammo, ale jak mogłam ci to powiedzieć? Jak mogłam? Nie wiem, dlaczego mówię ci to teraz...

Wytarła łzy z twarzy. Oddychała ciężko. Serce miała jak powolną, zardzewiałą maszynę. Spojrzała ponownie w dół, na połamane kwiaty w słóikach, na ziemię, która przykrywała dwa ciała.

— Och, mammo, nie wiem, naprawdę nie wiem. Ale to dlatego tata popełnił samobójstwo. Ponieważ... nie wiem nawet, czy wiedział o Pattersonie. Chyba nie. I chociaż z całego serca kocham Sandy'ego, nadal nawiedza mnie myśl, że po części należy do kogoś innego, kogoś, kogo nienawidzę. O Jezu, pomóż mi. Rozumiesz, mammo? Nie mogłam powiedzieć Andy'emu. Gdybym tylko mogła. Widzisz, Tom nie miał z tym nic wspólnego. Zupełnie nic. Był zaskoczony, kiedy się dowiedział. Myślał, że to może któryś z jego kolegów. O Jezu, jak ja mogę znowu z tobą rozmawiać, mammo? Jak mogę kazać ci tego słuchać? Przepraszam. Ale to nie była moja wina, mammo. To nie była moja wina.



Wzięła głęboki oddech. Twarz miała jak stalowe niebo. Gdzieś padał deszcz i wkrótce też tu dojdzie. Wyszła pospiesznie z cmentarza, jej płaszcz stał się jak szorstka skóra. Przy bramie zatrzymał się samochód, ale to nie był Andy. Nie ma cudów. To pastor. Obszedł samochód i skierował się do niej. Była gdzie indziej, ale on nie mógł tego zauważyć.

— Panno... pani Miller, hm, właśnie jechałem do pani. Nie zastałem pani w domu, więc...

— Proszę odejść. Proszę mnie zostawić! — Zaczęła biec w dół wzgórza. Nie wiedziała, dokąd biec; gdzieś, gdzie będzie sama, gdzie nikt nie będzie przeszkadzał. W końcu pobiegła w stronę zatopionego parku.

Robbie był pijany w sztok. Sandy wiedział od razu, tylko na niego spojrzał. Młody mężczyzna leżał oparty o ścianę dworu. Tulił prawie pustą butelkę wódki i śpiewał jej, jakby to była młodsza siostra.

— O, nie — powiedział, kiedy on się zjawił. — Sandy, to ty? Siadaj i napij się ze mną. — Pomachał butelką mniej więcej w stronę Sandy'ego. — Napijesz się, co? Cholernie samotny dzisiaj jestem. Przestałeś nas odwiedzać. Co się stało?

Sandy przykucnął przed nim. Jedną ręką podparł się o ziemię, podczas gdy drugą trzymał w kieszeni, gdzie ukrywał zwitek banknotów.

— Słuchaj, Robbie — zaczął, wpatrując się w niewyraźne szparki oczu młodego Cygana, które nabrały blasku, obróciły się i skupiły.

— Chcę porozmawiać z tobą o Rian.

— O Rian? Ha! O tej małej suce? Nie mówmy o niej, Alexandrze. Zabawmy się. Masz. — Podsunął Sandy'emu butelkę. Sandy wziął ją od niego i łyknął wódki. Palila go w gardle, ale poczuł się lepiej.

— Tak — mówił dalej — o Rian. Mam uzbieranych trochę pieniędzy, Robbie, i chcę... — Robbie przekreślił głowę.

— Pieniądzy — powtórzył — pieniędzy, co? O, tak. — Potarł brodę i przybrał minę mądrego starca. — No jasne. Rian mówiła mi o tym. Rzekomo razem zbieracie jakieś pieniądze. A na co to? O, tak, żeby ją wykupić ode mnie. Ha! To dobre! *Kupić* Rian! Jakby można było ją kupić. Uważaj, można ją kupić, ale nie tak. Nie, zupełnie nie tak. — Skierował oczy na nadciągający mrok, jakby szukając odpowiedzi na jakieś niezadane pytania, a potem ciężar alkoholu ściągnął je na ziemię. — Nie, Sandy, nie możesz kupić Rian. To była taka sztuczka. Powiedziała mi o tym. Kazała milczeć.

Ale ty jesteś mój kumpel, co nie? Powiem ci. To był jej pomysł, Sandy. Ze mną to nie ma nic wspólnego. — Gwałtownie potrząsnął głową, ale oczy miał skierowane w niebo. — Deszcz. Lada chwila. Każdy to widzi. Znowu, kurwa, deszcz. W domu jest wilgoć. Dlaczego nikt tu nie przyjdzie naprawić dachu? Brezent cały się przetaił, podziurawił, czy co tam. Sufit przegnił. Dom nie nadaje się do mieszkania. Zupełnie. Ach, ale Sandy, mój chłopcze, ona chce wziąć cię na wycieczkę. Nie taką typową dla niej, ale mimo to na wycieczkę. — Zaśmiał się w niebo. Była to pijacka wesołość. Zapomni o niej do rana. — Na wycieczkę, synu. Chciała, żebym zabrał ci pieniądze, a potem już byśmy cię nie znali. Zabilibyśmy należycie okna albo zniknęli i nigdy byś nas więcej nie widział. I co byś zrobił, co? — Wzruszył ramionami. — Nic. Chyba że powiedziałabyś ludziom, że chciałeś sobie kupić Cyganicę, a kto wtedy by się nad tobą uzalił, he? Kurwa, nikt. Nie w tym mieście, Sandy. Wtedy miałbyś przerabane, nie? Po uszy, nie? Ale nie bój nic. Twój stary kumpel powiedział ci. Ocalił ci głowę, więc siadaj i napij się z nim. Siadaj sobie.

Poklepał ziemię obok siebie. Trawa była przesiąknięta. Sandy wyczuwał to dłonią. Serce mu waliło. Zrozumiał teraz i wierzył. Głupi był, że wcześniej się nie zorientował. Robbie, ciotka Kitty, jego własna matka — oni *wiedzieli*, instynktownie wiedzieli, że to wszystko jest przegniłe do cna, ponieważ sami to przeżyli na wiele sposobów. Tak, była czuła w stosunku do niego, delikatna, łagodna. Czy możliwe, że to wszystko była po prostu gra, szarada rozegrana na jej korzyść? Robbie znowu mówił.

— Strasznie milczysz, Sandy. Dałeś się nabrać? Naprawdę odkładałeś wszystkie pieniądze? Tak samo jak inni przed tobą. Nie jesteś jedyny. Przeszedłeś oddać Robbiemu wszystko, co do pensa? To zamiast tego zrób nam przysługę i idź kupić jeszcze jedną butelkę. Resztę zostaw sobie. Tę sukę możesz mieć za darmo, ale wątpię, czy uda ci się ją zabrać. — Stracił animusz. — Czasami nieźle zarobi, a wtedy daje mi trochę na małego drinka. Żebym milczał, chyba, więc opiekuję się nią i bronię przed tym ogromnym światem dookoła nas. Ale, Sandy, zdradzę ci sekret. I tak będę się nią opiekował, bez łapówek i wody. To moja siostra, widzisz, i opiekowałem się nią od dzieciństwa. — Wykonał nieokreślony, obszerny ruch ręką. — Ile przyniosłeś, Sandy? Pięćdziesiąt funtów? Powiedziała, że dasz radę uzbierać pięćdziesiąt, i jeszcze, że masz ładne rzeczy w domu. Ja sam wątpiłem, że uda ci się uzbierać więcej niż trzydzieści albo trzydzieści pięć, ale ona upie-

rała się przy pięćdziesięciu. Mówiła, że tak bardzo ją kochasz.

— Zamknij się! — Ostatnie słowo poniosło się echem po ogrodzie i powróciło do uszu Sandy'ego. — Zamknij się, kurwa!

Robbie komicznie zasłonił uszy dłońmi, krzywiąc twarz i upuszczając butelkę na trawę. Sandy przypomniał sobie, że jest tylko o kilka lat młodszy od Cygana. Wyciągnął wolną rękę i spoliczkował Robbiego. Uczucie było szokujące, ale także satysfakcjonujące, jakby zrobił coś naprawdę paskudnego przeciw władzy. Jakby rzucił śmieć na ulicę albo zrobił kupę na placu zabaw. Dotknął opuszkami palców piekającej dłoni. Robbie potarł czerwony plac na szarym policzku. Nie zamierzał się mścić. Sandy zastanawiał się, czy to jest ta sama silna, czupurna osoba, którą spotkał w mrocznym pokoju przed kilkoma miesiącami. Zupełnie jakby przyglądał się ofierze nowotworu, starzejącej się zbyt szybko. To tak, jakby przyglądał się swojej babci, która zapłakała się na śmierć.

— Gdzie ona jest? — zapytał. Głos miał mocny jak aktor w filmie. Robbie potrząsnął głową. Teraz przyglądał się stopom Sandy'ego.

— Może być w dwóch lub trzech miejscach — powiedział, nadal pijany, chociaż starał się nie być. — Może być nad rzeką w parku, ale jest zatopiony, nie? Czasami zabiera ich na tyły basenu. Innymi razy chodzi za Instytut Górnictwa. — Wzruszył ramionami. — To nie ma sensu. Co byś zrobił? Nic. Lepiej zostaw ją, Sandy. Tylko zrobisz sobie krzywdę. A nie chcę, żeby mój kumpel cierpiał. Zostań tu. No, chodź, skończymy butelkę i weźmiemy następną. Nie ma co szukać winy. Tak wyszło i już. To przez to kurewskie miasto. Ten kurewski kraj. Wszystko możesz obwiniać. — Pokiwał głową sennie. — Zostań tu, Sandy. Robi się zimno. Możemy wejść do środka, jak uda mi się, cholera, wdrapać po tej rynnie. Możesz poczekać na nią w środku. — Patrz, patrz. — Wyciągnął przed siebie dłonie, spodem do góry, jak Budda.

— Patrz, Sandy, znowu zaczyna padać.

Ale kiedy Robbie podniósł wzrok, Sandy już zniknął. Wyteżył wzrok w mroku, ale nic nie zobaczył.

— Sandy — zawołał. — Sandy, ty tylko... — Robbie osunął się pod ścianą i zasnął.

Nie było jej przy Instytucie. Poszedł dalej, w dół wzgórza w stronę basenu. Był to dar górników dla miasta, zbudowany w latach sześćdziesiątych, kiedy zaczęło dźbiać się źle. Przez pewien czas cieszył się popularnością w ca-

łym Fife, ale wtedy w Kirkcakiy zbudowano jeszcze większy basen i szybko zostało tu tylko echo niesione po prysznicach. Teraz korzystał z niego miejscowy klub pływacki i paru emerytów. Basen popadał w ruinę. Gangi malowały na ścianach niby sekciarskie hasła i zbierały się na tyłach, aby ogrzać się przy wylotach ciepłego powietrza. W pobliżu stały zamknięte toalety publiczne, w dużej mierze zniszczone, a basen dzielił od parku ogólnie dostępny teren do gry w kręgle.

Sandy poszedł na skróty za salą do gry w bingo, strzegąc się cieni. Carsi mogli być niedaleko. Mógł z łatwością pokonać ich wszystkich w taką noc. Policzek, który wymierzył Robbiemu, piekł w pamięci.

Deszcz w ogóle mu nie dokuczał. Kierował wzrok na tyły budynków. Wyglądało na to, że ktoś włamał się do cukierni, ale to go nie obchodziło. Ona była okrutna. Niepotrzebnie była taka okrutna. Każda jej cząstka przegniła od doświadczeń. Może spłonąć w piekle, ale wpierw, będzie musiała mu się wytłumaczyć. Zacisnął palce w twarde pięści.

Mary szła skrajem zalanego parku. Buty miała przemoczone od mokrej trawy, ale nie odczuwała wzbierającej dookoła wilgoci. Przestała płakać i postawiła niezbędne bariery między sobą a żalem. Pokona to, ale chciała, żeby ta noc już się skończyła. Pragnęła przenieść się o kilka tygodni w przyszłość, tam, gdzie wszystko będzie zaleczone i będzie się wydawać, że działo się w czasie nierzeczywistym. Niech tak się stanie, albo niech ona rozplynie się w przeszłości sprzed lat, sprzed tamtej Gwiazdki, w czasach, kiedy świat wiele obiecywał, a mało żądał. Zatrzymała się przy barierze. Znieruchomiały, prawie martwy strumień wypełnił się deszczem. Zupełnie jakby nabrał życia. Przez chwilę znowu miała dziesięć lat i patrzyła, jak Tom gra w piłkę. Przypomniała sobie tamten dzień. Gobliny w potoku. Płonące włosy. Teraz było jak we śnie, jakby ta noc była...

Sandy usłyszał zwierzęce głosy. Rozpoznał je. Żołądek mu się przewrócił, jakby był na wzburzonym morzu. Skręcił za róg. Stała pod ścianą, poruszając się wymuszonym ruchem w górę i w dół. Szyb wentylacyjny szumiał nad nią i wydalał drobną ilość pary, która spowijała ją i postać, która bezwstydnie przypierała ją do szorstkiego muru. Znał tę postać. To było najgorsze, co mógł sobie wyobrazić. Jęki były nie do wytrzymania. Patrzył zafascynowany na postępujący rytm. Nieomal zaśmiał się. Banalne. Zupełnie jakby dorośli bawili się w dzieci. Wtedy podszedł do nich. Odwróciła głowę i zobaczyła, jak się zbliża. Odepchnęła Martina Bebecha, ale jego ciężar

spoczywał na niej niczym ciężka, zimowa kołdra. Opierał o nią głowę, gdy powracał do rzeczywistości.

Rzeczywistość była zdumiewająca. Sandy ściągnął go z Rian za włosy, cienkie i tłuste. Zabrał go z biernej już teraz dziewczyny. Rzucił go, stękając, o ścianę, odwrócił i kopnął potężnie w absurdalnie dziecięce genitalia. Pisk był zadowolający. Zatopił pięść w nieczułą masę przypominającą nie wypieczone ciasto. Cofnął się i kopnął ponownie, a Bebech znowu wrzasnął i padł na kolana, żeby wymiotować.

Sandy, ciężko dysząc, spojrział wtedy na nią. Wygładziła spódnicę. Pochyliła głowę, usta miała czerwone i mokre.

— Dziwka — wyrzucił z siebie. Zupełnie jakby ją uderzył. Drgnęła, ale oczy miała wbite w ziemię. Zauważył, że ma na sobie chustę, zabrudzoną i ciężko zwisającą z ramion od deszczu. Nie chciał tego dotykać. Nagle poczuł się pokonany, zmęczony. Mózg miał zmęczony, nogi miał zmęczone i chciał, żeby to wszystko się skończyło. Oparł się o ścianę obok niej i potarł czoło. Wokół niego nadal było czuć pastę do butów, cygański brud. Ona nie poruszyła się.

— Sandy... — Głos miała cichszy od torsji Bebecha. — Sandy, to przez Robbiego...

Potrząsnął głową z odrazą.

Bebech przeklinał go resztą sił. Sandy pchnął to obrzydlistwo nogą i patrzył, jak się toczy. Zwinał się w embrionalną, obronną pozycję, bardziej jak ślimak i przestał się ruszać.

— Sandy, to nie jest tak, jak myślisz.

— Rian, koniec oszustw. Za długo byłem, kurwa, głupi... — Ale w takim razie, dlaczego w ogóle jej słuchał? I dlaczego dudniło mu w głowie, jakby to był jakiś werbel? Powinien teraz iść. Powinien na tym tylko skorzystać. Ale jak skorzystać? Odepchnął się od ściany i minął ją. Położyła mu delikatnie rękę na plecach.

— Nie, Sandy, posłuchaj mnie. Ciebie pragnę. Ciebie, Sandy.

Kiedy odwrócił się, była tuż za nim i zrobiła krok do niego, aby pocałować go w usta. Przesunęła językiem po jego zębach, rękę wsunęła mu na kark, pieszcząc głowę, usuwając napięcie. Poczuł jej chłodną ślinę. Jak dużo jej, pomyślał z nagłą odrazą, należało do Bebecha? Odepchnął ją, ale oparła się o ścianę, a dookoła niej unosiła się para.

Niczym rama obrazu obrysowywało ją graffiti. Dłonie miała za plecami,



w zapraszającej pozie, całe jej ciało było dla niego otwarte. Stał przed nią, tryumfując, jak wojownik domagający się nagrody. Ale ona była... Powinien... To nie miało sensu... Przeniosła rękę na jego udo. Znowu był dzieckiem, gapiącym się na to, co nie do końca rozumiał.

Wtedy usłyszał krzyk. Nigdy do tej pory nie słyszał, aby jego matka krzyczała, a jednak wiedział, że to ona. Trwało to tylko dwie sekundy, ale to była jego matka i wiedział, że odgłos dobiega z parku. Odwrócił się od tych szeroko rozłożonych, doświadczonych ramion i zaczął biec.

To był cud, zupełnie, jakby z bożej woli. Oto ona sama, była tu, na jego łasce, złożona przed nim niby w ofierze. Ona nie miała skrupułów i on też nie będzie miał. Biedny George. Co ona mu zrobiła? Zwiodła go, tak samo jak zwiodziła innych. Zgubiła Matty'ego, a teraz zniszczyła George'a. Nikt mu w życiu nie został. Systematycznie ich zabierała. Sprowadziła plagę na miasto i na jego życie. Biedny George...

Poszedł do cukierni późno. Wcześniej powiedział George'owi, że w ogóle nie przyjdzie, ale jakoś mu się później to udało. Drzwi były zamknięte na klucz. To dziwne, że zamknął o tak wczesnej porze. Zastukał, ale bezskutecznie. Spróbował od tyłu, stając na palcach, aby zajrzeć przez małe, zasłonięte okienko. George pochylał się nad biurkiem, jakby pisał. Zastukał w okno lekko, potem mocniej i zawołał, ale nikt nie poruszył się w środku. Dopiero wtedy zobaczył butelki. Wybił kamieniem okno, podniósł haczyk i sięgnął do zasuwy w drzwiach. Przedostał się do środka. Przyjaciel był zimny, stygły. Nie mógł w to uwierzyć. Obok leżała koperta zaadresowana do Mary Miller. Matt Duncan, oszołomiony i zrozpaczony, otworzył ją. Rozłożył list.

Mary, nigdy mi nie wybaczysz, wiem, i myślisz, że w zasadzie poszedłem na łatwiznę. Cierpiałem przez te wszystkie lata, uwierz mi. Cierpiałem. Może jesteś usatysfakcjonowana. Może nie chodzi tu o satysfakcję. Ale mam nadzieję, że znajdziesz w sercu wybaczenie dla mnie. Proszę, wybacz mi. Ostatnie słowa twego ojca przed śmiercią były takie: „Kochałem ją mimo wszystko” i uwierz mi, że tak było. Nie jesteśmy złymi ludźmi, Mary. Tylko bardzo głupimi.

Tak więc doprowadziła go do śmierci, suka. Czarownica. Był nią otumaniony. A w niej było zło. Samo zło. Zadzwonił po lekarza i złożył krótkie zeznanie przed miejscowym policjantem, sierżantem Johnsonem. Potem,

osamotniony w swoim nieszczęściu, poszedł do parku. I tam była ona, wpadła mu prosto w ręce.

Podszedł do niej od tyłu, rozpryskując wodę. Najwyraźniej go nie słyszała. Włosy miała zaplecione z tyłu głowy w kok. Rozedrgany, chwycił go.

— Morderczyni! — wycodził. — Suka. Morderczyni...

Krzyknęła, kiedy ciągnął na dół jej głowę, a za nią jej całe ciało, w stronę wody. Rozległ się lekki plusk, jakby w wannie, kiedy zanurzyła się jej głowa. Wepchnął ją dalej. Nogi miał coraz bardziej przemoczone i twarz pokrytą deszczem. Ona jednak nie walczyła. Wierzgała rękami w wodzie, ale nie starała się. Trzymał ją mocno, wykrzywiając twarz z wysiłku. Upadł na kolana, ciągle trzymając ją pod wodą. W końcu poczuł satysfakcję i uwolnienie od starego ciężaru.

Jej usta otarły się o trawę. Nos miała boleśnie wciśnięty w ziemię, ale to była jedyna rzeczywista niewygodą. Otworzyła oczy na ciemność, ale gdzieś ponad nią musi być słabe światło. Na to wspomnienie zapiekły ją włosy, jakby teraz tylko przeżywała sen sprzed lat. Trawa obok niej żyła. Pieściła ją i mówiła do niej pęcherzykami uwalnianego powietrza. Była cała przemoczona... Stawała się częścią tego świata. Chciała wydalić z siebie ostatnie tchnienie i skończyć ten akt, ale coś ją powstrzymywało. Nie potrafiła powiedzieć, co to takiego jest, ale wiedziała, że to działa wbrew jej woli. Włosy płonęły za nią, każde pasemko prosiło o spokój. Gdyby tylko Sandy i ona... Gdyby tylko...

Wtedy, z nagłym szarpnięciem, jej włosy zostały uwolnione. Uniosły się na wodzie, a siła działająca na jej głowę i plecy ustąpiła. Podniosła się z płycizny niczym ryba na cienkiej żyłce i przez wodę lejącą się po jej twarzy zobaczyła starca, zgarbionego jak wielbłąd, podczas gdy chłopiec wyżywał się na jego plecach. Przez chwilę wydawało się to śmieszne. Wtedy zrozumiała, że ten człowiek właśnie próbował ją zabić, a tym chłopcem był jej syn. Sandy krzyczał na mężczyznę, siłując się z nim. Z jej uszu wyciekła woda i słyszała teraz krzyki.

— Zostaw ją! Zostaw moją mamę! Zostaw nas w spokoju!

Stawał nogami na zamartwych plecach mężczyzny i kopał go. Zauważyła, że jest bardzo ubrudzony, jakby właśnie wyszedł z Buszu. Nie rozumiała, co się dzieje, nie dokładnie, ale zobaczyła, jak Sandy zgrzyta białymi zębami w determinacji, i wiedziała, że cokolwiek myśli, ma to związek z bólem, a może nawet, lub po prostu, ze zmartwychwstaniem.